



Matt Haig



BIBLIOTEKA
O PÓŁNOCY



Matt Haig



**BIBLIOTEKA
O PÓŁNOCY**

Przełożyła
Ewa Wojtczak

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

Matt Haig
Biblioteka o Północy

Tytuł oryginału
The Midnight Library

ISBN

Copyright © Matt Haig, 2020
All rights reserved

Published by arrangement with Canongate Books Ltd, 14 High Street, Edinburgh EH1 1TE

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2021

Cover art and design by Sara Wood and Jim Tierney

Redaktor prowadzący Dariusz Wojtczak
Redakcja Marta Stołowska
Projekt typograficzny i łamanie Grzegorz Kalisiak

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Dla wszystkich pracowników służby zdrowia.

Oraz dla pracowników opieki społecznej.

Dziękuję wam.

„Nigdy nie będę tymi wszystkimi ludźmi, którymi chcę być, i nie przeżyję tych
żyć, które chciałabym przeżyć. Nigdy nie nauczę się tych wszystkich rzeczy,
które chcę umieć. A dlaczego tego chcę? Chcę przeżyć i odczuć wszystkie
możliwe w moim życiu odcienie, tony i odmiany fizycznego i duchowego
doświadczenia”.

Sylvia Plath

„Między życiem a śmiercią znajduje się biblioteka — tłumaczyła. — A w tej bibliotece półki ciągną się w nieskończoność. Każda książka daje ci szansę na wypróbowanie życia innego, niż prowadziłaś. Możesz w ten sposób sprawdzić, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś dokonała innych wyborów... Czy postąpiłabyś inaczej, gdybyś mogła cofnąć decyzje, których teraz żałujesz?”

Rozmowa o deszczu

Na dziewiętnaście lat przed tym, zanim postanowiła umrzeć, Nora Seed siedziała w ciepłe małej szkolnej biblioteki w Hazeldene School, w mieście Bedford i wpatrywała się w szachownicę rozłożoną na niskim stoliku.

— Noro, moja droga, to naturalne, że martwisz się o swoją przyszłość — powiedziała bibliotekarka, pani Elm, której oczy migotały jak promienie słońca odbite od powierzchni pokrytej szronem.

Kobieta wykonała swój pierwszy ruch, przenosząc skoczka nad schludnym rzędem białych pionków.

— To naturalne, że będziesz się przejmowała egzaminami — podjęła. — Ale, Noro, możesz zostać, kimkolwiek zechcesz. Pomyśl o wszystkich możliwościach. Jakież to ekscytujące.

— Tak. Chyba tak.

— Przed tobą całe życie.

— Całe życie.

— Możesz robić wszystko, zamieszkać wszędzie. Gdzieś, gdzie jest trochę mniej zimno i mokro.

Nora pchnęła pionek o dwa pola do przodu.

Trudno było nie porównywać pani Elm z matką, która traktowała Norę jak błąd wymagający korekty. Na przykład, kiedy Nora była niemowlęciem, matkę tak bardzo denerwowało, że jej lewe ucho mocniej odstaje niż prawe, że przyklejała je córce do głowy taśmą klejącą, co następnie ukrywała pod wełnianą czapeczką.

— Nienawidzę zimna i wilgoci! — stwierdziła z mocą bibliotekarka.

Miała krótkie siwe włosy i życzliwą, lekko pomarszczoną owalną twarz, która prezentowała się blado nad jaskrawozielonym golfem. Pani Elm była kobietą dość wiekową, ale właśnie z nią — ze wszystkich osób w szkole —

Nora dogadywała się najlepiej i nawet w te dni, kiedy nie padało, spędzała popołudniową przerwę w małej bibliotece.

— Chłód i wilgoć nie zawsze idą w parze — oznajmiła teraz bibliotekarce.
— Antarktyda jest najbardziej suchym kontynentem na Ziemi. Formalnie rzecz ujmując, to pustynia.

— No proszę, najwyraźniej jest to miejsce w sam raz dla ciebie.

— Nie sądzę, by znajdowała się dostatecznie daleko stąd.

— Cóż, może powinnaś więc zostać astronautką. Podróżować po Galaktyce.

Nora uśmiechnęła się.

— Na innych planetach deszcz jest jeszcze gorszy.

— Gorszy niż w Bedfordshire?

— Na Wenus z nieba spada czysty kwas.

Pani Elm wyjęła z rękawa papierową chusteczkę i delikatnie wydmuchała nos.

— Widzisz? Z takim umysłem jak twój można wszystko.

W tym momencie za nakrapianym deszczem oknem przebiegł jasnowłosy chłopiec. Nora wiedziała, że jest dwie klasy niżej od niej. Albo gonił kogoś, albo ktoś ścigał jego. Odkąd jej brat wyjechał, czuła się niepewnie. A biblioteka była dla niej azylem.

— Tato uważa, że wszystko zaprzepaściłam, gdy przestałam pływać.

— Cóż, nie będę się z nim spierać, ale powiem ci, że na świecie istnieje wiele ciekawszych zajęć niż szybkie pływanie. Masz przed sobą wiele różnych możliwości. Tak jak ci powiedziałam w ubiegłym tygodniu, możesz zostać glaciolożką. Trochę poszperałam i...

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

— Jedną minutkę — powiedziała cicho pani Elm. — Lepiej odbiorę.

Chwilę później Nora patrzyła, jak kobieta rozmawia przez telefon.

— Tak. Ona jest teraz tutaj. — Na obliczu bibliotekarki odmalował się

szok. Odwróciła się do Nory tyłem, ale jej słowa i tak głośno rozbrzmiały w wyciszonym pomieszczeniu: — O nie. Nie, o mój Boże! Oczywiście...

Dziewiętnaście lat później

Mężczyzna przy drzwiach

Na dwadzieścia siedem godzin przed tym, zanim postanowiła umrzeć, Nora Seed siedziała na swojej zniszczonej kanapie i, czytając w komórce o szczęśliwym życiu innych ludzi, czekała, aż coś się wydarzy. A potem nagle, ni z tego, ni z owego, rzeczywiście coś się wydarzyło.

Ktoś, z pewnego szczególnego powodu, zadzwonił do jej drzwi.

Zastanawiała się przez chwilę, czy w ogóle powinna otwierać. Chociaż była dopiero godzina dwudziesta pierwsza, Nora miała już na sobie piżamę. Wstydziała się swojej zbyt dużej koszulki z napisem „ECO WORRIER” i kraciastych spodni.

Chcąc wyglądać na osobę nieco bardziej cywilizowaną, wsunęła kapcie i odkryła, że osoba przy drzwiach to mężczyzna, którego zresztą rozpoznała.

Był wysoki, tyczkowaty, chłopięcy, o uprzejmej twarzy, lecz jego spojrzenie było bystre i przeszywające, jakby potrafił przeniknąć wzrokiem przez ścianę.

Dobrze go było zobaczyć, choć Nora była trochę zaskoczona, zwłaszcza że gość miał na sobie sportowe ubranie i mimo zimnej, deszczowej pogody wyglądał na zgrzanego i spoconego. Kontrast między nimi sprawił, że Nora wydała się sobie jeszcze bardziej zaniedbana niż pięć sekund wcześniej.

Czuła się też bardzo samotna. Wprawdzie odpowiednio długo studiowała filozofię egzystencjalną, więc wiedziała, że samotność stanowi fundamentalną część ludzkiego życia w zasadniczo pozbawionym znaczenia kosmosie, to jednak na widok mężczyzny szczerze się ucieszyła.

— Ash — powiedziała z uśmiechem. — Jesteś Ash, prawda?

— Tak, zgadza się.

— Co tu robisz? Miło cię widzieć.

Kilka tygodni temu siedziała i grała na swoim pianinie elektrycznym, a on przebiegał akurat Bancroft Avenue, zobaczył ją w oknie, tutaj, pod numerem

33A, i pomachał do niej. A kiedyś — parę lat wcześniej — zaprosił ją na kawę. Może znów zamierzał to zrobić.

— Mnie też miło... — odpowiedział, lecz jego zmarszczone czoło sugerowało coś innego.

Kiedy odzywała się do niego w sklepie, zawsze mówił wesołym głosem, teraz jednak, wnosząc z tonu, coś wyraźnie leżało mu na sercu.

Podrapał się po czole. Wydał z siebie kolejny dźwięk, choć nie zdołał wypowiedzieć pełnego słowa.

— Biegasz? — rzuciła bez sensu. Bez wątpienia wyszedł na jogging.

Ale przez chwilę rzeczywiście wyglądał na zadowolonego, że może podjąć ten trywialny temat.

— Tak, przygotowuję się do półmaratonu w Bedford. Odbędzie się w tę niedzielę.

— Och, racja. Wspaniale. Też myślałam, żeby się do niego przygotować, ale potem sobie przypomniałam, że nie znoszę biegać.

Wcześniej w jej głowie zdanie to zabrzmiało zabawnie. Gdy je wypowiedziała, już zabawne nie było. Właściwie nie miała aż tak negatywnego stosunku do biegania. A mimo to zaniepokoiła ją powaga na twarzy gościa. Milczenie szybko zmieniło się w coś więcej niż tylko niezręczną ciszę.

— Mówiłaś mi, że masz kota — odezwał się w końcu Ash.

— Tak, mam.

— Zapamiętałem jego imię. Wolter. Rudy pręgowany?

— Tak. Nazywam go Wolts. Uznał imię Wolter za zbyt pretensjonalne. Okazuje się, że on nie interesuje się osiemnastowieczną francuską filozofią i literaturą. Jest całkiem przyziemny. Wiesz, jak na kota.

Ash patrzył na jej kaptcie.

— Obawiam się, że nie żyje.

— Co?

— Leży nieruchomo na poboczu drogi. Zobaczyłem imię na obróżce...

Myślę, że potrącił go samochód. Przykro mi, Noro.

Tak bardzo przestraszyła ją ta nagła zmiana nastroju, że ciągle się uśmiechała, jakby uśmiech mógł ją utrzymać w świecie, w którym przebywała wcześniej, w którym Wolts nadal żył, a ten mężczyzna, któremu sprzedawała gitarowe śpiewniki, zadzwonił do jej drzwi z innego powodu.

Przypomniała sobie, że Ash jest chirurgiem. Nie weterynarzem. Leczył ludzi, więc jeśli twierdził, że jakaś istota jest martwa, to ta istota wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rzeczywiście nie żyła.

— Tak mi przykro.

Norę ogarnęło znajome uczucie żalu. Powstrzymywała się od płaczu chyba tylko dzięki przyjętej wcześniej dawce sertraliny.

— O Boże.

Ledwo mogła oddychać, kiedy wyszła na mokre, popękane płyty chodnikowe Bancroft Avenue i ujrzała swojego biednego rudego futrzaka, który leżał na połyskującym od deszczu asfalcie obok krawężnika. Głowa stworzenia dotykała boku chodnika, a łapy zatrzymały się w połowie galopu, jakby kot ścigał właśnie wyimaginowanego ptaka.

— Och, Wolts. O nie. O Boże!

Wiedziała, że powinna odczuwać rozpacz i litość, bo przecież zginął jej koci przyjaciel — i naprawdę tych emocji doświadczała — ale musiała się równocześnie przyznać do czegoś innego. Kiedy patrzyła na nieruchomy, spokojny wyraz pyszczka Woltera — na ten całkowity brak bólu — z ciemności wyłoniło się inne nieodparte uczucie.

Zazdrość.

Teoria Strun

Kiedy Nora była młodsza, jej tato miał zwyczaj stawać przy bocznej krawędzi basenu, zaciskając szczęki i spoglądając raz na stoper, a raz na córkę, która próbowała pobić rekord życiowy. O tym dawno zapomnianym surowym spojrzeniu, którym ojciec często taksował ją po treningu, pomyślała teraz, gdy spóźniła się na popołudniową zmianę w Teorii Strun.

— Przepraszam — powiedziała Neilowi, który przebywał w biurze, brudnym, małym pomieszczeniu pozbawionym okien. — Umarł mój kot. Ubiegłej nocy. Musiałam go pochować. To znaczy... ktoś pomógł mi go pogrzebać. Potem zostałam sama w mieszkaniu, nie mogłam zasnąć i zapomniałam nastawić budzik, więc obudziłam się dopiero przed południem, a potem musiałam się spieszyć...

Wszystko to było prawdą i wyobrażała sobie, że uwiarygodni to oświadczenie swoim wyglądem — twarz bez makijażu, prowizoryczny luźny kucyk i ta sama nabyta w ciucholandzie zielona sztruksowa sukienka z fartuszką, którą nosiła przez cały tydzień — oraz otaczającą ją ogólną atmosferą zmęczenia i rozpaczy.

Neil podniósł wzrok znad komputera i odchylił się na krześle. Połączył dłonie i zetknął ze sobą palce wskazujące, a następnie podłożył je sobie pod brodę, jakby był Konfucjuszem rozważającym głęboką filozoficzną prawdę o wszechświecie, a nie rozmawiającym ze spóźnioną pracownicą szefem sklepu ze sprzętem muzycznym. Na ścianie za nim wisiał ogromny plakat Fleetwood Mac, którego prawy górny róg odkleił się i opadał niczym ucho szczeniaczka.

— Słuchaj, Noro, lubię cię.

Neil był nieszkodliwy. Pięćdziesięciokilkuletni miłośnik gitar, który lubił

opowiadać kiepskie żarty i całkiem znośnie grał na żywo w sklepie covery Dylana.

— I wiem, że masz pewne problemy ze zdrowiem... psychicznym.

— Wszyscy mają teraz takie problemy.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Czuję się znacznie lepiej... ogólnie — skłamała. — To nie jest problem natury psychiatrycznej. Lekarz mówi, że mam depresję sytuacyjną. Tyle że ciągle mi się przydarzają nowe... sytuacje. Ale nie wzięłam przez to wszystko ani jednego wolnego dnia. Poza tym, kiedy moja mama... Tak. Poza tym.

Neil westchnął. Ilekroć to robił, zawsze z jego nosa dobywał się gwizd. Złowrogi dźwięk B.

— Noro, jak długo tu pracujesz?

— Dwanaście lat i... — wiedziała to aż nazbyt dobrze — ...jedenaście miesięcy oraz trzy dni. Z przerwami.

— To dużo czasu. Czuję, że zostałam stworzona do lepszych rzeczy. A masz już pod czterdziestkę.

— Mam trzydzieści pięć lat.

— Tak wiele się wokół ciebie dzieje. Uczysz ludzi gry na pianinie...

— Jedną osobę.

Strzepnął okruch ze swetra.

— Czy wyobrażałaś sobie, że utkniesz w rodzinnym mieście i będziesz pracowała w jakimś sklepie? Wiesz, kiedy miałaś czternaście lat? Kim chciałaś wtedy zostać?

— Jako czternastolatka? Chciałam uprawiać pływanie. — Była najszybszą czternastolatką pływającą stylem klasycznym i wicemistrzynią kraju w kraulu. Przypomniała sobie, jak stała na podium podczas mistrzostw w pływaniu.

— Więc co się stało?

Zamknęła oczy. Przypomniała sobie cuchnące chlorem rozczarowanie związane z zajęciem drugiego miejsca.

— Byłam pod wielką presją.

— Ale presja nas tworzy. Zaczynasz jako bryłka węgla, a presja zmienia cię w diament.

Nie poprawiła go w kwestii wiedzy na temat diamentów. Nie powiedziała mu, że chociaż po spaleniu diament zamienia się w węglowy proszek, węgiel jest substancją za bardzo niejednorodną, by w wyniku jakiegokolwiek nacisku stać się diamentem. Według nauki zaczynasz jako węgiel i kończysz jako węgiel. I może tak właśnie brzmiała prawdziwa lekcja życia.

Wygładziła pasmo swoich kruczoczarnych włosów w stronę kucyka.

— Co masz na myśli, Neil?

— Nigdy nie jest za późno, by zacząć spełniać swoje marzenia.

— Jestem przekonana, że na to konkretne marzenie jest już zdecydowanie za późno.

— Masz naprawdę dobre wykształcenie, Noro. Dyplom z filozofii...

Popatrzyła w dół i przyglądała się małemu pieprzykowi na swojej lewej ręce. Był świadkiem wszystkiego, przez co przeszła. I, ot tak, tam pozostał, o nic nie dbając. Po prostu był pieprzykiem.

— W Bedford nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania na filozofów, Neil. Jeśli mam być szczerą.

— Wyjechałaś na uniwersytet, spędziłaś rok w Londynie, a potem wróciłaś.

— Nie miałam wielkiego wyboru.

Nie chciała rozmawiać o swojej zmarłej matce. Ani o Danie. Ponieważ gdy Neil się dowiedział, że Nora zrezygnowała ze ślubu na dwa dni przed wyznaczoną datą, uznał to za najbardziej fascynującą historię miłosną od czasu Kurta Cobaina i Courtney Love.

— Każdy człowiek ma wybór, Noro. Istnieje coś takiego jak wolna wola.

— Cóż, no chyba że podpisujesz się pod deterministycznym poglądem na wszechświat.

— Ale dlaczego tutaj?

— Mogłam się zatrudnić tutaj albo w schronisku dla zwierząt. Ty lepiej płacisz. Poza tym, no wiesz, muzyka.

— Grałaś w zespole. Z bratem.

— Tak. W The Labyrinths. Nie mieliśmy przyszłości.

— Twój brat mówi co innego.

To ją zaskoczyło.

— Joe tak twierdzi? Skąd wiesz...

— Kupił wzmacniacz. Marshall DSL40.

— Kiedy?

— W piątek.

— Był w Bedford?!

— O ile nie był to jego hologram. Jak w przypadku Tupaca¹.

Pomyślała, że prawdopodobnie Joe odwiedzał Raviego. Ravi był najlepszym przyjacielem jej brata. Joe porzucił grę na gitarze i przeniósł się do Londynu dla gównianej roboty w branży IT, której nienawidził, a Ravi z kolei utknął w Bedford. Występował teraz z zespołem o nazwie Slaughterhouse Four, z którym grał covery w tutejszych pubach.

— Zgadza się. To interesujące.

Brat zapewne wiedział, że piątek jest jej dniem wolnym. Tak, była tego prawie pewna. Ten fakt coś w niej poruszył.

— Jestem tutaj szczęśliwa.

— Tyle że to... nieprawda.

Miał rację. Cierpiała w środku. Jej umysł się buntował.

Uśmiechnęła się szerzej.

— Chciałam powiedzieć, że jestem zadowolona z pracy tutaj. Zadowolona w sensie... no wiesz... usatysfakcjonowana. Neil, potrzebuję tej roboty.

— Jesteś dobrym człowiekiem. Martwisz się o świat. O bezdomnych, o środowisko.

— Potrzebuję pracy.

Wrócił do swojej pozy Konfucjusza.

— Potrzebujesz wolności.

— Nie chcę wolności.

— To nie jest instytucja charytatywna. Chociaż muszę powiedzieć, że szybko się taką staje.

— Posłuchaj, Neil, czy chodzi o to, co powiedziałam w ubiegłym tygodniu? O tym, że powinieneś zmodernizować firmę? Mam kilka pomysłów, jak dotrzeć do młodych ludzi...

— Nie — odrzekł defensywnym tonem. — Ten sklep sprzedawał kiedyś tylko gitary. Teoria Strun, rozumiesz? Potem rozszerzyłem ofertę. Udało się. Niestety, czasy są trudne i nie mogę ci płacić za to, że odstręczasz klientów, patrząc na nich z miną ponurą jak deszczowy weekend.

— Co takiego?

— Obawiam się, Noro... — Zamilkł na chwilę, wziął wdech i ją dobił: — Będę musiał pozwolić ci odejść.

Życie to cierpienie

Gdy Nora wędrowała po Bedford, szukając powodów, by mimo wszystko żyć dalej, niebo było pełne ciężkich, szarych jak sadza chmur, jakby stanowiło odbicie jej nastroju i myśli. Miasto było jednym wielkim pasmem rozpacz. Pokryte tynkiem mozaikowym centrum sportowe, w którym jej nieżyjący tato patrzył kiedyś, jak przepływała kolejne długości basenu, meksykańska restauracja, do której zabrała Dana na *fajitas*, szpital, w którym leczono jej mamę...

Dan przysłał jej wczoraj esemesa.

Noro, tęsknię za twoim głosem. Możemy porozmawiać? D x

Odpisała, że jest „strasznie zajęta” (kupa śmiechu). Nie mogła odpisać nic innego. Nie dlatego, że już mu nie współczuła, ale dlatego, że nie chciała ryzykować, iż ponownie go zrani. Zrujnowała mu przecież życie.

W pijackich esemesach, które dostawała wkrótce po niedoszłym ślubie, powiadał ją, że jego życie to chaos.

Ale wszechświat zmierza w kierunku chaosu i entropii. To było podstawowe prawo termodynamiki. Może było to również podstawowe prawo egzystencji.

Tracisz pracę, a potem jest tylko gorzej.

Wiatr szeptał między drzewami.

Zaczęło padać.

Pragnąc się schronić przed deszczem, ruszyła w kierunku kiosku z głębokim przeczuciem — jak się okazało, całkowicie uzasadnionym — że sytuacja pogorszy się jeszcze bardziej.

Drzwi

Przez czas powolnego mrugnięcia Nora widziała w wyobraźni ducha ojca, wpatrującego się w swój stoper, jakby czekał, aż córka do niego dopłynie. Otworzyła oczy i weszła do kiosku z gazetami.

— Postanowiłaś się schronić przed deszczem, co? — zapytała kobieta za ladą.

— Tak. — Nora trzymała głowę pochyloną. Rozpacz rosła w niej jak ciężar, którego nie była w stanie unieść.

Na widoku stały egzemplarze „National Geographic”.

Kiedy patrzyła teraz na okładkę czasopisma — wizerunek czarnej dziury — zdała sobie sprawę, że zdjęcie przedstawia ją samą. Była czarną dziurą. Umierającą, rozpadającą się gwiazdą.

Jej tato subskrybował kiedyś „National Geographic”. Nora pamiętała, jak zafascynował ją artykuł o Svalbardzie, norweskim archipelagu na Oceanie Arktycznym. Nigdy nie widziała miejsca, które byłoby tak odległe. Przeczytała wtedy o naukowcach prowadzących badania wśród lodowców i zamarzniętych fiordów oraz o ptakach — maskonurach. Potem, pod wpływem sugestii pani Elm, zdecydowała, że chce zostać glaciolożką.

*

Zobaczyła w kiosku, obok czasopism, niechlujną, skuloną postać Ravięgo — przyjaciela brata i ich dawnego kolegi z zespołu — pogrążonego w lekturze jakiegoś artykułu. Przyglądała mu się najwyraźniej o ułamek sekundy za długo, bo kiedy odchodziła, usłyszała jego pytanie:

— Nora?

— Cześć, Ravi. Słyszałam, że Joe był w Bedford.

Krótkie kiwnięcie głową.

— Tak.

— Czy on... hm... Widziałeś go?

— Właściwie to tak.

Zapadła cisza, którą Nora odczuła jako ból na całym ciele.

— Nie powiedział mi, że przyjeżdża.

— Był tylko przejazdem.

— Jak się miewa?

Ravi się zawahał. Kiedyś Nora go lubiła, a on był lojalnym przyjacielem jej brata. Ale, podobnie jak w przypadku Joego, teraz wyrosła między nimi bariera. Nie rozstali się w najlepszym stylu. (Kiedy Nora mu powiedziała, że odchodzi z zespołu, rzucił na podłogę swoje pałki do gry na perkusji i wyszedł z sali prób).

— Myślę, że jest przygnębiony.

Kiedy przemknęło jej przez głowę, że Joe czuje się, być może, tak źle jak ona, wyimaginowane brzemie, które jej ciążyło, stało się jeszcze cięższe.

— Nie jest sobą — kontynuował Ravi gniewnym tonem. — Będzie się musiał wyprowadzić ze swojego małego mieszkania w Shepherd's Bush. Pewnie dlatego, że nie może grać na gitarze prowadzącej w popularnym zespole rockowym! Chociaż powiem ci, że ja też jestem bez grosza. Koncerty w pubach nie bardzo się opłacają. Nawet jeśli zgadzasz się przy okazji czyścić toalety. Czyściłaś kiedyś toalety w pubie, Noro?

— Jeśli to mają być zawody w uzalaniu się nad sobą, ja również mam beznadziejny okres.

Ravi zarechotał. Potem przybrał surową minę.

— „Grają najmniejsze skrzypce świata” — zacytował.

Nie była w nastroju na wysłuchiwanie takich tekstów.

— Więc chodzi o The Labyrinths? Nadal?

— Zespół wiele dla mnie znaczył. I dla twojego brata również. Dla nas

wszystkich. Mieliśmy podpisać umowę z Universalem. Tak. Dokładnie. Album, single, trasa koncertowa, promocja. Bylibyśmy teraz jak Coldplay.

— Nienawidzisz Coldplay.

— Nie o to chodzi. Moglibyśmy mieszkać w Malibu. Zamiast tego... Bedford. Dlatego twój brat nie jest niestety gotów na spotkanie z tobą.

— Miałam ataki paniki! W końcu wszystkich was bym zawiodła. Powiedziałam wytwórni, że powinna kontynuować współpracę z zespołem beze mnie. Zgodziłam się pisać piosenki. Nie moja wina też, że się wtedy zaręczyłam. Że byłam z Danem. Nie mogłam tego połączyć.

— No tak. I jak się udało?

— Ravi, to nie fair!

— Jasne, „nie fair”. Świetne określenie.

Kobieta za ladą gapiała się na nich z zainteresowaniem.

— Zespoły muzyczne nie działają długo. Bylibyśmy jak deszcz meteorów. Błysnęlibyśmy i zgaśli.

— Deszcze meteorów są cholernie piękne.

— Daj spokój. Wciąż jesteś z Ellą, prawda?

— Ale mógłbym być z Ellą i grać w popularnym zespole, mieć kasę! Dostaliśmy szansę. Właśnie tak! — Wskazał na swoją dłoń. — Nasze piosenki to był ogień!

Nora bezwiednie poprawiła go w myślach: nie „nasze”, a „moje” i od razu się za to znienawidziła.

— Twoim problemem nie była trema. Ani ślubna gorączka. Myślę, że twój problem polega na tym, że boisz się żyć.

To zabolalo. W odpowiedzi słowa same popłynęły z jej ust:

— A twoim problemem — odrzekła drżącym głosem — jest ciągła chęć obwiniania innych za gówniane życie, jakie prowadzisz.

Pokiwał głową, jakby go spoliczkowała. Odłożył czasopismo.

— Do zobaczenia, Noro.

— Przekaż Joemu pozdrowienia — rzuciła za nim, kiedy wychodził ze

sklepu na deszcz. — Proszę.

Dostrzegła okładkę magazynu „Twój Kot”. Był na niej rudy, pręgowany kocur. W jej głowie coś krzyczało głośno niczym symfonia z okresu *Sturm und Drang*. Jak gdyby duch jednego z niemieckich kompozytorów utknął w jej umyśle, wywołując w nim chaos i intensyfikując emocje.

Kobieta za ladą powiedziała coś, czego Nora nie dosłyszała.

— Słucham? — spytała.

— Nora Seed?

Kobieta — blond bob, sztuczna opalenizna — była uśmiechnięta, swobodna i zrelaksowana tak, jak Nora już się zrelaksować nie potrafiła. Oparta na łokciach pochylała się nad swoją ladą i patrzyła na nią niczym na lemura w zoo.

— Tak.

— Jestem Kerry-Anne. Pamiętam cię ze szkoły. Pływaczka. Supermózg. Czy pan, jak mu tam... Blandford... nie poświęcił ci kiedyś apelu? Mówił, że w końcu weźmiesz udział w olimpiadzie, no nie?

Nora skinęła głową.

— I co? Wzięłaś?

— Zrezygnowałam z pływania. Wolałam zająć się muzyką... Wtedy. Potem, no wiesz, życie.

— Więc co robisz teraz?

— Jestem... w trakcie zmiany.

— Czyli że masz kogoś? Faceta? Dzieci?

Nora pokręciła głową. Miała ochotę schować ją w piasek. Własną głowę. W piasek. Tak żeby już nigdy więcej nie musiała rozmawiać z nieznanymi.

— Wiesz, nie czekaj z tym. Czas leci. Tik-tak, tik-tak.

— Mam trzydzieści pięć lat! — Żałowała, że nie ma tu z nią Izzy, która nie znosiła takich głupich gadek. — I nie jestem pewna, czy chcę...

— Ja i Jake, gdy się poznaliśmy, byliśmy jak króliki. Mamy dwa małe

potwory. Ale warto, wiesz? Po prostu czuję się teraz kompletna! Mogę ci pokazać kilka fotek.

— Boli mnie głowa od... patrzenia na ekran.

Dan pragnął mieć dzieci. Nora nie wiedziała, czy chce. Macierzyństwo ją przerażało. Bała się pogłębienia depresji. Nie umiała zająć się sobą, a co dopiero kimś innym.

— Ciągłe mieszkasz w Bedford?

— Tak.

— Myślałam, że wyjechałaś.

— Wróciłam. Moja mama była chora.

— Ojej, przykro mi. Mam nadzieję, że do tej pory wydobrzała?

— Lepiej już pójdę.

— Ale nadal pada.

Kiedy Nora uciekła ze sklepu, żałowała, że nie ma przed sobą kolejnych drzwi, przez które mogłaby przechodzić, jedno po drugim, jedno po drugim, aż pozostawi za sobą... wszystko.

Jak być czarną dziurą

Nora czuła się jak na równi pochyłej i nie miała z kim o tym porozmawiać.

Jej ostatnią nadzieją była dawna przyjaciółka Izzy, która teraz znajdowała się prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów od niej, w Australii. Na dodatek ich stosunki mocno się rozluźniły.

Wyjęła telefon i wysłała Izzy wiadomość.

Cześć, Izzy, dawno nie gadałyśmy. Tęsknię, przyjaciółko. Byłoby CUDOWNIE nadrobić zaległości. X

Dodała kolejny „X” i wysłała esemesa.

W ciągu minuty Izzy odczytała wiadomość. Nora na próżno jednak czekała na pojawienie się trzech kropek wskazujących na to, że przyjaciółka pisze odpowiedź.

Minęła kino, w którym dziś wieczorem wyświetlano nowy film z Ryanem Baileym. Ckliwą komedię romantyczną z Dzikiego Zachodu pod tytułem *Saloon ostatniej szansy*.

Twarz Ryana Baileya sugerowała, że jest on kimś, kto zna „głębką istotę rzeczy”. Nora uwielbiała go, odkąd zobaczyła go w telewizji w roli zamyślnego Platona w *Ateńczykach* i przeczytała w jakimś wywiadzie, że aktor studiował filozofię. Wyobrażała sobie, jak we dwoje poważnie dyskutują na temat Henry’ego Davida Thoreau, otoczeni gorącą parą z jacuzzi Ryana w West Hollywood.

„Podążaj śmiało w kierunku swoich marzeń — napisał kiedyś Thoreau. — Żyj takim życiem, jakie sobie wyobraziłeś”.

Gdy Nora studiowała, Thoreau był jej ulubionym filozofem. Ale kto rzeczywiście „podąża śmiało w kierunku swoich marzeń”? Kto oprócz Thoreau, który porzucił pracę i przeniósł się do lasu, gdzie zamieszkał

w zbudowanej przez siebie chacie. Nie miał tam kontaktu ze światem zewnętrznym, po prostu siedział, pisał, rąbał drewno i łowił ryby. Ale dwa wieki temu w Concord, w stanie Massachusetts życie było prawdopodobnie prostsze niż obecna egzystencja w Bedford w brytyjskim Bedfordshire.

A może nie.

Może rzeczywiście Nora sobie z tym nie radziła. To znaczy z życiem.

Minęły całe godziny. Chciała mieć cel, coś, co dałoby jej powód do dalszego istnienia. I niczego takiego nie znajdowała. Nawet tego niewielkiego celu, jakim było odbieranie leków dla pana Banerjee, co zrobiła jeszcze dwa dni temu. Próbowała dać pewnemu bezdomnemu trochę pieniędzy, ale zdała sobie sprawę, że jest bez grosza.

— Rozchmurz się, kochanie, być może to się nigdy nie wydarzyło — powiedział ktoś.

„Nic nigdy się nie wydarzyło — pomyślała Nora. — I na tym polega cały problem”.

Antymateria

Na pięć godzin przed tym, zanim postanowiła umrzeć, ruszyła właśnie w stronę domu, gdy w dłoni zawibrował jej telefon.

Może to była Izzy. A może Ravi poprosił Joego, żeby się z nią skontaktował.

Nie.

— Och, cześć, Doreen.

Wzburzony głos.

— Gdzie byłaś?!

Kompletnie zapomniała!

„Która godzina?”

— Miałam naprawdę fatalny dzień. Tak mi przykro.

— Przez godzinę czekaliśmy przed twoim mieszkaniem.

— Lekcja z Leo się odbędzie. Jak tylko wrócę. Będę za pięć minut.

— Za późno. Będzie teraz przez trzy dni u swojego ojca.

— Och, przepraszam. Strasznie mi przykro.

Była wodospadem przeprosin. Tonęła w nich.

— Szczerze mówiąc, Leo zastanawia się, czy całkowicie nie zrezygnować...

— Ale jest taki dobry.

— Naprawdę mu się podobało. Tyle że teraz jest zbyt zajęty. Egzaminy, koledzy, piłka nożna. Wszystkiemu nie podoła...

— Ma prawdziwy talent. Wciągnęłam go w cholernego Chopina. Proszę...

Głębokie, bardzo głębokie westchnienie.

— Do widzenia, Noro.

Wyobraziła sobie, jak ziemia się rozwiera, a ona leci w dół przez litosferę

i płaszcz, nie zatrzymując się, aż dociera do jądra z ciężkiego, twardego, bezdusznego metalu.

*

Na cztery godziny przed samobójstwem Nora minęła swojego starszego sąsiada.

Pan Banerjee miał osiemdziesiąt cztery lata. Był kruchy, chociaż od operacji biodra zdawał się nieco bardziej ruchliwy.

— Na dworze jest okropnie, nieprawdaż?

— Tak — wymamrotała Nora.

Spojrzał na swój kwietnik.

— Ale za to irysy zakwitły.

Spojrzała na skupiska fioletowych kwiatów i zmusiła się do uśmiechu, zadając sobie pytanie, jaką pociechę mogą zaoferować irysy.

W jego oczach za okularami dostrzegła zmęczenie. Stał przy drzwiach i szukał kluczy. W reklamówce, która wyglądała na zbyt ciężką dla niego, miał butelkę mleka. Nora rzadko widywała go poza domem. Domem, który odwiedziła podczas pierwszego miesiąca pobytu tutaj, gdy pomagała starszemu panu założyć internetowy sklep spożywczy.

— Och — odezwał się. — Mam dobre wieści. Nie będziesz już więcej musiała odbierać dla mnie pigułek. Chłopak z apteki przeprowadził się niedaleko stąd i mówi, że sam mi je będzie podrzucał.

Próbowała coś odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Więc tylko pokiwała głową.

Pan Banerjee zdołał otworzyć drzwi, a następnie je za sobą zamknął, wycofując się do miejsca kultu poświęconego ukochanej zmarłej żonie.

To było to. Nikt jej, Nory, nie potrzebował. Była zbędna.

Kiedy znalazła się w swoim mieszkaniu, cisza okazała się jeszcze głośniejsza niż hałas. Pachniało jedzeniem dla kotów. Na Woltera wciąż czekała miska z na wpół zjedzoną karmą.

Nora naląła sobie trochę wody, połknęła dwie tabletki przeciwdepresyjne i w zamyśleniu zapatrzyła się na resztę proszków.

Na trzy godziny przed podjęciem decyzji o własnej śmierci czuła się obolała, jakby rozpacz z jej umysłu rozlała się również po jej tułowiu i kończynach. Jakby skolonizowała każdą część ciała.

Stwierdziła wtedy, że wszystkim będzie lepiej bez niej. Człowiek zbliża się do czarnej dziury i siła grawitacji wciąga go w jej ponurą, mroczną rzeczywistość.

Ta myśl była jak nieustanne skurcze umysłu, coś za bardzo niewygodnego, by można to było wytrzymać, a jednocześnie tak silnego, że nie sposób było tego uniknąć.

Przejrzała swoje konta w mediach społecznościowych. Żadnych wiadomości, żadnych komentarzy, żadnych nowych obserwujących, żadnych zaproszeń do znajomych. Była antymaterią i coraz bardziej się nad sobą użalała.

Weszła na Instagram i zobaczyła, że wszyscy już odkryli, jak żyć. Wszyscy oprócz niej. Napisała rozwlekły post na Facebooku, na koncie, którego właściwie już nie używała.

Na dwie godziny przed decyzją o samobójstwie otworzyła butelkę wina.

Stare podręczniki do filozofii patrzyły na nią z góry, z mebli-widm pamiętających studenckie czasy, kiedy życie wciąż jeszcze miało potencjał. Juka i trzy małe, pękate kaktusiki. Norze przyszło do głowy, że bycie nieczującą formą życia, tkwiącą przez cały dzień w doniczce, jest prawdopodobnie łatwiejsze...

Usiadła przy małym elektrycznym pianinie, ale niczego nie zagrała. Myślała o tym, jak siedziała obok Leo i uczyła go chopinowskiego Preludium e-moll. Gdy weźmie się pod uwagę czas, szczęśliwe chwile mogą się zamienić w bolesne.

Był taki stary frazes powtarzany przez muzyków o tym, że nie ma złych nut na fortepian. Ale jej życie było kakofonią nonsensów. Utworem, który mógł

się wspaniale rozwinąć w wielu kierunkach, lecz teraz utknął i nie rozwijał się w ogóle.

Czas mijał. Nora patrzyła w przestrzeń.

Kiedy piła wino, przyszło zrozumienie. Nie została stworzona do tego życia.

Każdy ruch był błędem, każda decyzja — katastrofą, każdy dzień — odwrotem od tego, kim chciała kiedyś zostać.

Pływaczka. Muzyczka. Filozofka. Małżonka. Podróżniczka. Gla-cjo-łoż-ka!
Osoba szczęśliwa. Kochana.

Nic.

Nie udało jej się nawet pozostać „właścicielką kota”. Ani „korepetytorką, która raz w tygodniu przez godzinę naucza gry na pianinie”. Ani „istotą ludzką, z którą można porozmawiać”.

Tabletki nie działały.

Wypiła wino. Całe.

— Tęsknię za wami — oznajmiła w powietrze, jak gdyby duchy wszystkich osób, które niegdyś kochała, były w pokoju razem z nią.

Zadzwoiła do brata, a kiedy nie odebrał, zostawiła mu wiadomość głosową.

— Kocham cię, Joe. Chciałam tylko, żebyś o tym wiedział. Nic nie mogłeś zrobić. To moja wina. Dziękuję, że byłeś moim bratem. Kocham cię. Pa.

Znowu zaczął padać deszcz, więc siedziała przy odsłoniętych roletach, wpatrując się w krople na szybie.

Było dwadzieścia dwie minuty po godzinie dwudziestej trzeciej.

Z absolutną pewnością wiedziała tylko jedno: nie chciała dożyć jutra.
Wstała. Znalazła długopis i kartkę papieru.

Uznała, że to bardzo dobry moment na śmierć.

Drogi znalazco tego listu,

Miałam wszelkie szanse, by zrobić coś ze swym życiem, i wszystkie spieprzyłam. Świat odsunął się ode mnie z powodu mojego niedbalstwa i pecha, więc uznałam, że powinnam się z tego świata wycofać.

Gdybym czuła, że mogę zostać, zostałabym. Ale nie czuję tego. I nie mogę zostać. Niszczę ludziom życie.

Przykro mi, ale nie mam nic do zaoferowania.

Bądźcie dla siebie mili.

Żegnajcie,

Nora

00:00:00

Na początku mgła była tak wszechobecna, że Nora nie widziała nic poza nią — do czasu, aż powoli zaczęła dostrzegać pojawiające się po obu jej stronach słupy. Stała na ścieżce, a może to była kolumnada. Słupy były szare jak substancja mózgowa, z drobinkami w jaskrawym odcieniu błękitu. W końcu mgliste opary zniknęły niczym duchy, które chciały pozostać niewidoczne, i pojawił się wyraźny kształt.

Solidny, prostokątny.

W kształcie budynku. Mniej więcej wielkości kościoła lub małego supermarketu. Miał kamienną fasadę, w tym samym odcieniu co filary, z dużymi drewnianymi głównymi drzwiami i aspirującym do wielkości dachem, misternymi detalami i zegarem okazale prezentującym się na szczycie frontowej ściany, ozdobionym czarnymi rzymskimi cyframi i wskazówkami ustawionymi na godzinę dwunastą. Północ. Frontową ścianę przerywały obramowane kamiennymi ceglami równo oddalone od siebie wysokie ciemne okna łukowe.

Kiedy Nora spojrzała na nie po raz pierwszy, wydało się jej, że widzi tylko cztery, ale chwilę później było ich pięć. Pomyślała, że pewnie wcześniej źle policzyła.

Ponieważ w pobliżu nie było niczego innego, a ona nie miała dokąd pójść, ostrożnie podeszła do budynku.

Spojrzała na cyfrowy wyświetlacz swojego zegarka.

00:00:00.

Północ, tak jak pokazał jej już wcześniej zegar na gmachu.

Poczekala, aż przeskoczy następna sekunda, ale nic takiego się nie zdarzyło. Nawet kiedy Nora podeszła bliżej do budynku, nawet kiedy otworzyła drewniane drzwi, nawet kiedy weszła do środka, cyfry na wyświetlaczu ani

drgnęły. Albo coś było nie tak z jej zegarkiem, albo z czasem. W tych okolicznościach mogło chodzić zarówno o jedno, jak i o drugie.

„Co się dzieje? — zadała sobie pytanie. — Co się, do cholery, dzieje?”

„Może w tym miejscu znajdują się odpowiedzi?” — zastanowiła się, wchodząc do środka.

Wnętrze było dobrze oświetlone, a podłogę wyłożono jasnym kamieniem — w kolorze starej kartki w książce, powiedzmy w odcieniu pomiędzy jasnożółtym a wielbłądzim brązem — ale okien, które Nora widziała z zewnątrz, tutaj nie było. Właściwie, chociaż przeszła ledwie kilka kroków, już nie widziała ścian. Zamiast nich wszędzie znajdowały się półki z książkami. Rzędy regałów sięgających sufitu i ciągnących się w szerokim otwartym korytarzu, którym szła. W jednym z przejść skręciła, zatrzymała się i skonsternowana patrzyła na nieskończoną liczbę książek.

Były dosłownie wszędzie, na półkach tak cienkich, że niemal niewidocznych. Wszystkie woluminy były zielone. W najrozmaitszych odcieniach zieleni. Niektóre miały barwę ciemnej zieleni bagiennej, inne były jaskrawe, żółtozielone, kolejne — krzykliwie szmaragdowe, a zieleń jeszcze innych przywodziła na myśl trawę letnich trawników.

Co do letnich trawników... Książki wyglądały na stare, a jednak powietrze w bibliotece było świeże. Miało bujną, trawiastą woń otwartych przestrzeni, a nie zakurzony zapach starych tomisk.

Nora odnosiła wrażenie, że regały ciągną się bez końca, proste i długie, skierowane w stronę odległego horyzontu, niczym linie wskazujące perspektywę jednozbiegową w szkolnym projekcie artystycznym, tylko od czasu do czasu przerywane korytarzem.

Na chybił trafił wybrała jedno z przejść i nim ruszyła. Na następnym rozwidleniu skręciła w lewo i trochę się zgubiła. Szukała wyjścia na zewnątrz, lecz nigdzie go nie widziała. Próbowwała wrócić po śladach do drzwi, ale okazało się to niemożliwe.

W końcu musiała uznać, że nie jest w stanie opuścić budynku.

— To nienormalne — powiedziała do siebie, starając się znaleźć niejaką pociechę w dźwięku własnego głosu. — Zdecydowanie nienormalne.

Stanęła, a później podeszła do jednego z regałów.

Na grzbietach książek nie było żadnych tytułów ani nazwisk autorów. Oprócz odmiennych odcieni książki różniły się jedynie rozmiarem: miały podobną wysokość, ale różną szerokość. Grzbiety jednych miały po pięć centymetrów, innych — znacznie mniej. Kilka było publikacjami niewiele grubszymi niż broszury.

Wyjęła jeden z tomów, wybierając taki w średnim rozmiarze i okładce o barwie jasnoszarooliwkowej. Wolumin wyglądał na nieco zakurzony i podniszczony.

Zanim wyciągnęła książkę z półki, usłyszała za sobą głos i odskoczyła.

— Bądź ostrożna — powiedział ktoś.

Odwróciła się, chcąc zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Bibliotekarka

— Bardzo cię proszę. Musisz zachować ostrożność.

Na pozór kobieta zjawiła się dosłownie znikąd. Elegancko ubrana, o krótkich siwych włosach i w żółtozielonym golfie. Gdyby Nora miała określić jej wiek, oceniłaby ją na około sześćdziesiąt lat.

— Kim pani jest?

Ale zanim skończyła pytanie, zdała sobie sprawę, że już zna odpowiedź.

— Bibliotekarką — odrzekła skromnie przybyła. — Oto kim jestem.

Jej twarz była życzliwa, a równocześnie surowa. Kobieta miała tak samo jak zawsze schludnie przycięte siwe włosy, jej oblicze zaś wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętała je Nora.

Bo tam, tuż przed nią, stała bibliotekarka z jej podstawówki.

— Pani Elm.

Kobieta lekko się uśmiechnęła.

— Być może.

Nora pamiętała te deszczowe popołudnia, gdy grały w szachy.

Wróciła pamięcią do dnia, w którym zmarł jej ojciec, a pani Elm delikatnie przekazała jej tę wiadomość w bibliotece. Ojciec Nory zmarł nagle, z powodu ataku serca. Stało się to na boisku do rugby w szkole z internatem dla chłopców, w której uczył. Nora odrętwiała wtedy na jakieś pół godziny i tylko tępo wpatrywała się w niedokończoną partię szachów. Straszna rzeczywistość po prostu ją przytłoczyła i Nora nie była w stanie od razu przyswoić sobie tej informacji, ale potem prawda uderzyła ją twardo i na odlew, bezpowrotnie spychając ze znanej ścieżki. Mocno przytuliła się wówczas do pani Elm i wypłakiwała się w jej golf, aż skóra na buzi zaczęła ją piec od łez i kontaktu z akrylem.

Pani Elm trzymała ją wtedy mocno, tuliła i gładziła po głowie, jakby miała

przed sobą małe dziecko, a przy tym nie oferowała frazesów czy fałszywych słów pocieszenia, lecz wyłącznie troskę. Nora przypomniała sobie teraz, jakim tonem kobieta jej wtedy powiedziała: „Wszystko się ułoży, Noro. Wszystko będzie dobrze”.

Nora czekała ponad godzinę na matkę, która przyjechała z jej bratem. Joe tkwił na tylnym siedzeniu naćpany i otępiały. Nora usiadła z przodu, obok niemej, drżącej matki i oznajmiła, że ją kocha, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymała.

— Co to za miejsce? Gdzie jestem?

Pani Elm uśmiechnęła się bardzo oficjalnie.

— Biblioteka, oczywiście.

— To nie jest biblioteka szkolna. I nie ma z niej wyjścia. Umarłam? Czy to życie pozagrobowe?

— Niezupełnie — odparła pani Elm.

— Nie rozumiem.

— Pozwól, że ci wyjaśnię.

Biblioteka o Północy

W miarę jak pani Elm mówiła, jej oczy ożywały, aż w końcu błyszcząły niczym kałuże w świetle księżyca.

— Między życiem a śmiercią znajduje się biblioteka — tłumaczyła. — A w tej bibliotece półki ciągną się w nieskończoność. Każda książka daje ci szansę na wypróbowanie życia innego, niż prowadziłaś. Możesz w ten sposób sprawdzić, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś dokonała innych wyborów... Czy zrobiłabyś coś inaczej, gdybyś mogła cofnąć decyzje, których teraz żałujesz? — spytała w końcu.

— A więc naprawdę umarłam? — odpowiedziała pytaniem Nora.

Pani Elm potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Słuchaj uważnie. Jesteś pomiędzy życiem a śmiercią. — Wskazała gdzieś ogólnie wzdłuż przejścia, w dal. — Śmierć jest na zewnątrz.

— Cóż, powinnam tam pójść. Ponieważ chcę umrzeć. — Nora zaczęła odchodzić.

Ale pani Elm pokręciła głową.

— Śmierć tak nie działa.

— Dlaczego nie?

— To nie ty idziesz w stronę śmierci. To ona przyjdzie po ciebie.

Wyglądało na to, że Nora nie potrafiła nawet porządnie umrzeć.

To było znajome doznanie. To poczucie niekompletności niemal pod każdym względem. Niedokończonej ludzkiej układanki. Niekompletnego życia i niekompletnego umierania.

— To dlaczego nie jestem martwa? Dlaczego śmierć po mnie nie przyszła? Wystosowałam jawne zaproszenie. Chciałam umrzeć! Ale nie, wciąż istnieję. Nadal jestem wszystkiego świadoma.

— Cóż, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, bardzo prawdopodobne, że

rzeczywiście umrzesz. Ludzie, którzy przechodzą przez bibliotekę, zwykle nie zostają tu długo.

Kiedy Nora myślała o sobie — a myślała coraz więcej — potrafiła postrzegać siebie jedynie w kategoriach tego, kim nie była. Kim nie umiała się stać. A pretensji było naprawdę sporo. W kółko ubolewała nad swoimi wcześniejszymi decyzjami. „Nie zostałam pływaczką i nie pojechałam na olimpiadę. Nie zostałam glaciolożką. Nie wyszłam za Dana. Nie zostałam matką. Przestałam śpiewać w The Labyrinths. Nie potrafiłam się stać naprawdę dobrą ani naprawdę szczęśliwą osobą. Nie umiałam się opiekować Wolterem”. A teraz, na koniec, nie zdołała nawet umrzeć. To było naprawdę żalosne, te liczne możliwości, które zmarnowała.

— Biblioteka o Północy, Noro, póki stoi, zapewnia ci ochronę przed śmiercią. Teraz musisz zdecydować, jak chcesz dalej żyć.

Ruchome półki

Półki po obu stronach Nory zaczęły się przesuwać. Nie skręcały, po prostu przesuwały się w poziomie. Możliwe, że regały wcale się nie poruszały, sunęły jedynie same książki, nie było jednak oczywiste, dlaczego czy nawet jak to robią. Nie było widać żadnego mechanizmu, który byłby za to odpowiedzialny, Nora nie widziała też ani nie słyszała odgłosów sugerujących, że książki spadają z końców — czy raczej z początków — półek. Tomy przesuwały się w różnym tempie, w zależności od półki, na której się znajdowały, chociaż żadne nie przemieszczały się szczególnie szybko.

— Co się dzieje?

Pani Elm się wyprostowała, rysy jej twarzy się napięły, podbródek nieco się cofnął. Kobieta podeszła do Nory i złożyła ręce.

— Czas zacząć, kochanie.

— Jeśli mogę spytać... Co mam zacząć?!

— Na każde życie składają się miliony decyzji. Niektóre są poważne, inne znaczą niewiele. Ale za każdym razem, gdy podejmujemy taką a nie inną decyzję, zmienia się ciąg dalszy. Następuje nieodwracalna zmiana, która z kolei prowadzi do następnych zmian. Te książki są portalami prowadzącymi do każdego możliwego życia, które mogłabyś wieść.

— Jak to?

— Ile możliwości, tyle masz potencjalnych żywotów. Dokonujesz w nich różnych wyborów. A te wybory dają różne efekty. Gdybyś tylko jedną rzecz zrobiła inaczej, historia twojego życia byłaby zupełnie inna. I wszystkie one istnieją w Bibliotece o Północy. Wszystkie są równie realne jak życie, które przeżyłaś.

— Życia równoległe?

— One nie zawsze są równoległe. Niektóre są bardziej... prostopadłe. Więc co? Chciałabyś zobaczyć, jak mogłoby wyglądać twoje inne życie? Chcesz coś zmienić? Zrobiłaś coś w sposób niewłaściwy?

To było łatwe pytanie.

— Tak. Absolutnie wszystko.

Wyglądało na to, że jej odpowiedź spowodowała u bibliotekarki łaskotanie w nosie. Kobieta szybko wyciągnęła z rękawa golfa papierową chusteczkę, podniosła ją do twarzy i kichnęła.

— Na zdrowie — powiedziała Nora, obserwując, jak chusteczka, niczym za sprawą jakiejś dziwnej, „higienicznej” magii, natychmiast po użyciu znika z ręki pani Elm.

— Nie martw się. Chusteczki są jak te żywoty. Zawsze jest ich więcej — wyjaśniła bibliotekarka i wróciła do wcześniejszego wyводу: — Jeśli jedną rzecz zrobisz inaczej, często rezultat jest taki, jakbyś wszystko zrobiła inaczej. Takiego pojedynczego działania nie sposób cofnąć przez całe życie, chociaż bardzo się staramy... Ale ty nie żyjesz już tamtym życiem. Wyskoczyłaś na zewnątrz. To jest twoja szansa, Noro. Możesz teraz sprawdzić, jak mogłoby być.

„To się nie dzieje naprawdę” — pomyślała Nora.

Wydawało się, że pani Elm czyta jej w myślach.

— Owszem, tak, dzieje się, Noro Seed. Tyle że nie do końca jest to rzeczywistość, tak jak ty ją pojmujesz. Z braku lepszego słowa używam określenia „coś pomiędzy”. To nie jest życie. To nie jest śmierć. To nie jest prawdziwy świat w konwencjonalnym sensie. Ale nie jest to również sen. Ani jedno, ani drugie. Mówiąc w skrócie, jest to Biblioteka o Pólnocy.

Sunące powoli półki nagle się zatrzymały. Nora zauważyła na jednej z nich, po prawej stronie na wysokości swojego ramienia, dużą szczelinę. Wszystkie pozostałe tomy wokół stały mocno ściśnięte jeden obok drugiego, ale tutaj, na cienkiej białej półce leżała tylko jedna książka.

A jej okładka nie była zielona tak jak inne. Była szara. Szara jak kamień

fasady budynku, który Nora widziała wcześniej przez mgłę.

Bibliotekarka wzięła z półki właśnie ten tom i podała go Norze, patrząc na nią z dumą i nieco wyczekująco, jakby wręczała jej bożonarodzeniowy prezent.

Gdy książkę trzymała pani Elm, ta wyglądała na lekką, ale w rzeczywistości okazała się znacznie cięższa. Nora natychmiast zaczęła ją otwierać.

Kobieta potrząsnęła głową.

— Zawsze musisz poczekać na moją zgodę.

— Dlaczego?

— Wszystkie książki w tej bibliotece... wszystkie, z wyjątkiem jednej... są wersjami twojego życia. To twoja biblioteka. Stoi tutaj dla ciebie. Zrozum, życie każdej osoby może się zakończyć na nieskończoną liczbę sposobów. Te książki na półkach to twoje życie, wszystkie zaczynają się od tego samego momentu. Od teraz. Od północy. We wtorek, dwudziestego ósmego kwietnia. Ale możliwości w nich nie są takie same. Jedne są podobne do twojego życia, inne bardzo się od niego różnią.

— To wariactwo — mruknęła Nora. — Wszystkie z wyjątkiem jednej? Tej?
— Pokazała kobiecie książkę w szarej jak kamień okładce.

Pani Elm uniosła brew.

— Tak. Chodzi o nią. Stworzyłaś ją, chociaż nie napisałaś ani słowa.

— Jak to?

— To dzieło stanowi źródło wszystkich twoich problemów i tu znajdziesz odpowiedzi.

— Ale czym jest?

— Nazywa się ono, moja droga, *Księga żalów*.

Księga żalów

Nora wpatrywała się w tytuł. Teraz go widziała. Wytłoczono go na okładce małym drukiem.

Księga żalów

— Zarejestrowany został tutaj każdy żal, jaki kiedykolwiek odczuwałaś, od dnia, w którym się urodziłaś — wyjaśniła pani Elm, stukając palcem w okładkę. — Teraz udzielam ci pozwolenia. Możesz otworzyć tom.

Ponieważ książka była ciężka, Nora, zanim ją otworzyła, usiadła po turecku na kamiennej podłodze. I zaczęła przewracać kartki.

Księgę żalów podzielono na rozdziały, uporządkowane chronologicznie zgodnie z latami życia Nory. Rok zerowy, pierwszy, drugi, trzeci, aż do trzydziestego piątego. Kolejne rozdziały z roku na rok były coraz dłuższe. Ale żal, który Nora zgromadziła, nie był związany z konkretnym rokiem.

— Pretensje ignorują chronologię. Krążą wokół. Kolejność tych list przez cały czas się zmienia.

— No tak, to chyba ma sens.

Nora szybko zdała sobie sprawę, że księga zawiera żale od drobnych i codziennych („Szkoda, że dzisiaj nie poćwiczyłam”) po bardzo istotne („Szkoda, że nie powiedziałam ojcu, jak bardzo go kocham, zanim umarł”).

Były też ciągle, drugorzędne pretensje, które powtarzały się na wielu stronach. „Żałuję, że nie zostałam w The Labyrinths, bo zawiodłam mojego brata”. „Żałuję, że nie zostałam w The Labyrinths, bo zawiodłam siebie”. „Żałuję, że nie zrobiłam więcej dla środowiska”. „Żałuję czasu, który spędziłam w mediach społecznościowych”. „Żałuję, że nie pojechałam z Izzy do Australii”. „Żałuję, że nie bawiłam się więcej, kiedy byłam młodsza”. „Żałuję wszystkich kłótni z tatą”. „Żałuję, że nie pracuję wśród zwierząt”.

„Żałuję, że na uniwersytecie nie studiowałam geologii zamiast filozofii”.
„Żałuję, że nie nauczyłam się, jak być szczęśliwszym człowiekiem”. „Żałuję,
że mam tak wielkie poczucie winy”. „Żałuję, że porzuciłam naukę
hiszpańskiego”. „Żałuję, że na maturze nie wybrałam przedmiotów ścisłych”.
„Żałuję, że nie zostałam glaciologką”. „Żałuję, że nie wyszłam za mąż”.
„Żałuję, że nie próbowałam zostać magistrem filozofii w Cambridge”.
„Żałuję, że nie dbałam o zdrowie”. „Żałuję, że przeniosłam się do Londynu”.
„Żałuję, że nie pojechałam do Paryża uczyć angielskiego”. „Żałuję, że nie
ukończyłam powieści, którą zaczęłam pisać na uniwersytecie”. „Żałuję, że
wyprowadziłam się z Londynu”. „Żałuję, że mam pracę, która nie daje
perspektyw”. „Żałuję, że nie byłam lepszą siostrą”. „Żałuję, że nie zrobiłam
sobie w trakcie studiów roku przerwy”. „Żałuję, że rozczarowałam ojca”.
„Żałuję, że więcej uczę grać na pianinie, niż sama na nim gram”. „Żałuję, że
źle zarządzałam swoimi finansami”. „Żałuję, że nie zamieszkałam na wsi”.

Niektóre żale były nieco słabsze niż inne. Jeden pojawiał się, a potem znów
zanikał, jakby błyskał i gasł, akurat gdy Nora na niego patrzyła. A brzmiał:
„Szkoda, że nie mam jeszcze dzieci”.

— To żal, który czasami się pojawia, a czasem go nie ma — wyjaśniła pani
Elm, znowu najwyraźniej czytając jej w myślach. — Jest tu kilka takich.

Od trzydziestego czwartego roku życia, w najdłuższym rozdziale na końcu
książki, Nora znalazła wiele żalów związanych z Danem. Były głębokie
i grały w jej głowie jak ciągły akord fortissimo z koncertu Haydna.

„Żałuję, że byłam okrutna wobec Dana”. „Żałuję, że zerwałam z Danem”.
„Żałuję, że nie zamieszkałam z Danem nad wiejskim pubem”.

Patrząc na te strony, pomyślała teraz o mężczyźnie, za którego omal nie
wyszła za mąż.

Nadmiar żalu

Spotkała Dana, gdy mieszkała wraz z Izzy w londyńskiej dzielnicy Tooting. Wielki uśmiech, krótka bródka. Z wyglądu weterynarz, który opowiada w telewizji o zwierzakach. Zabawny, interesujący. Sporo pił, ale zawsze wydawał się odporny na kaca.

Studiował historię sztuki i wykorzystał swoją dogłębną wiedzę na temat Rubensa i Tintoretta, gdy został... szefem działu PR marki białkowych herbatników z płatkami owsianymi. Miał jednak marzenie. A było nim prowadzenie pubu na wsi. I to marzenie chciał spełnić z nią. Z Norą.

A ją porwał jego entuzjazm. Zaręczyli się. Aż potem nagle Nora zdała sobie sprawę, że nie chce go poślubić.

W głębi duszy obawiała się, że stałaby się wtedy taka jak jej matka. A nie chciała, by jej małżeństwo było takie jak małżeństwo rodziców.

Teraz, nadal wpatrując się tępo w *Księgę żalów*, zadawała sobie pytanie, czy jej rodzice w ogóle się kiedyś kochali, czy może pobrali się, ponieważ małżeństwo jest decyzją, którą po prostu podejmuje się w odpowiednim czasie, wybierając tę osobę, która jest najbliżej i również chce związku. Niczym zabawa, w trakcie której — gdy muzyka ustanie — łapiemy najbliższego towarzysza.

Nora nigdy nie chciała grać w tę grę.

Bertrand Russell napisał: „Bać się miłości to bać się życia, a kto boi się życia, jest już w trzech czwartych martwy”. Może na tym polegał jej problem. Może po prostu bała się żyć. Ale Bertrand Russell miał za sobą więcej małżeństw i romansów niż ona randek, więc może nie on powinien udzielać jej rad.

Kiedy na trzy miesiące przed zaplanowanym ślubem zmarła jej mama, smutek Nory był ogromny. Chociaż sama zasugerowała, że należy przesunąć termin ceremonii, nigdy nie wyznaczyli nowego, a żal Nory stopił się w jedno z depresją, niepokojem i poczuciem powolnej utraty kontroli nad własnym życiem. Ślub wydawał się wtedy Norze wielkim symbolem tego chaotycznego doznania. Poczła się jak osoba przywiązana do torów kolejowych i za jedyny sposób „poluzowania lin”, uwolnienia się i uniknięcia tragedii uznała zerwanie z Danem. Choć w rzeczywistości wszystkie te kwestie: powrót do Bedford, pozostanie singielką, odmowa wyjazdu z Izzy do Australii, rozpoczęcie pracy w Teorii Strun i zdobycie kota wydawały się raczej przeciwieństwem wolności.

— O nie — powiedziała pani Elm, wrywając Norę z zamyślenia. — To dla ciebie zbyt wiele.

I nagle Norę znów ogarnęły wyrzuty sumienia, wrócił cały ból związany z faktem, że zawiodła innych i samą siebie, ten ból, przed którym niecałą godzinę temu próbowała uciec. Pretensje zaczęły się łączyć w grupy. Gdy wpatrywała się w otwarte strony książki, ból był tak naprawdę silniejszy niż wcześniej, kiedy wałęsała się po Bedford. Poddanie się mocy wszystkich tych żalów jednocześnie emanujących z kart książki okazało się męczarnią. Ciężar poczucia winy, wyrzutów sumienia i smutku przytłaczał. Nora oparła się na łokciach, upuściła ciężką księgę i zacisnęła powieki. Ledwo mogła oddychać, jakby jej szyję obejmowały czyjeś niewidzialne ręce.

— Proszę to powstrzymać!

— Zamknij ją teraz — poinstruowała ją pani Elm. — Zamknij książkę. Nie tylko oczy. Zamknij! Musisz to zrobić sama.

Więc Nora, odnosząc wrażenie, że zaraz zemdleje, usiadła i położyła dłoń pod przednią okładką. Teraz książka wydawała się jeszcze cięższa, na szczęście udało się ją zamknąć. A wtedy Nora odetchnęła z ulgą.

Każde życie zaczyna się teraz

— No i?

Bibliotekarka założyła ręce na piersi. Choć wyglądała identycznie jak kobieta, którą Nora znała od zawsze, styl bycia miała zdecydowanie bardziej szorstki. To była pani Elm, ale równocześnie nie ona. Nora była z tego powodu nieco zdezorientowana.

— Ale co? — odpowiedziała pytaniem, wciąż z trudem łapiąc powietrze i wciąż odczuwając ulgę, że nie musi już znosić intensywności zmasowanego ataku wszystkich żalów.

— Który żal się wyróżnia? — naciskała bibliotekarka. — Którą decyzję chciałabyś cofnąć? Które życie chciałabyś przymierzyć?

Dokładnie takiego określenia użyła. „Przymierzyć”. Jakby znajdowały w sklepie z ubraniami, a Nora mogła sobie wybrać nowe życie równie łatwo jak nowy podkoszulek z krótkim rękawem. Miała wrażenie, że pani Elm okrutnie się z nią bawi.

— To była męka — zwierzyła się kobiecie. — Miałam wrażenie, że się uduszę. Jaki jest sens tego wszystkiego?

Gdy podniosła wzrok, po raz pierwszy zauważyła światła. Tylko nagie żarówki zwisające z drutów przymocowanych do sufitu, który wydawał się normalny, jasnoszary. Tyle że ten sufit nie łączył się ze ścianami. Podobnie jak tutejsza podłoga ciągnął się bez końca.

— Wiesz, po prostu istnieje duże prawdopodobieństwo — podjęła bibliotekarka — że twoje stare życie skończyło się na dobre. Chciałaś umrzeć i być może umrzesz. I może będziesz musiała gdzieś pójść. Gdzieś wylądować. W innym życiu. Dlatego powinnaś się dobrze zastanowić. To miejsce nazywa się Biblioteką o Północy, ponieważ każde nowe życie, które jest ci tutaj oferowane, zaczyna się właśnie teraz. A teraz jest północ.

Wszystko zaczyna się w tej chwili. Wszystkie te przyszłości. To one się tutaj znajdują. Reprezentowane przez twoje książki. Jest tu każda inna teraźniejszość i wynikająca z niej przyszłość, jakich mogłaś doświadczyć.

— Więc nie ma w nich przeszłości?

— Nie. Są tylko konsekwencje. Ale tamte książki również napisano. I ja je wszystkie znam. Ty jednak nie możesz ich przeczytać.

— A kiedy każde życie się kończy?

— Niektóre za kilka sekund. Inne za kilka godzin. Jeszcze inne potrwiają dni. Miesiące. Albo i dłużej. Jeśli znajdziesz wśród nich takie, które naprawdę chciałabyś przeżyć, możesz je kontynuować do czasu, aż umrzesz ze starości. Jeśli naprawdę wystarczająco mocno zapragniesz któregoś życia, nie musisz się martwić. Pozostaniesz w nim, jakbyś zawsze w nim była. Ponieważ w jednym ze światów rzeczywiście zawsze żyłaś tamtym życiem. Ta książka, że się tak wyrażę, nigdy nie wróci na półkę. Stanie się nie pożyczką, a raczej darem. W chwili, gdy zdecydujesz, że chcesz jakiegoś konkretnego życia, że naprawdę go chcesz, wtedy wszystko, co istnieje teraz w twojej głowie, łącznie z Biblioteką o Północy, w końcu stanie się jedynie wspomnieniem tak niejasnym i nieuchwytnym, aż w końcu zniknie.

Jedno ze światła nad ich głowami zamigotało.

— Niebezpieczeństwo grozi ci tylko — ciągnęła pani Elm bardziej złowieszczym tonem — kiedy jesteś tutaj. Między poszczególnymi żywotami. Jeśli stracisz wolę kontynuowania, wpłynie to na twoje życie podstawowe... pierwotne. I możesz w ten sposób doprowadzić do zniszczenia biblioteki. Odejdiesz wówczas na zawsze. Umrzesz. Stracisz też dostęp do tego wszystkiego.

— Tego właśnie chcę. Chcę umrzeć. Będę martwa, ponieważ tego chcę. Dlatego wzięłam tak dużo tabletek. Pragnęłam umrzeć.

— No cóż, może i tak. A może nie. Mimo wszystko nadal tu jesteś.

Nora próbowała się nad tym zastanowić.

— Jak mogę wrócić do biblioteki? Jeśli utknę w życiu, które okaże się

jeszcze gorsze od tego, które dopiero co opuściłam?

— Wpływ będą miały twoje emocje, nawet te subtelne. Jak tylko ogarnie cię rozczarowanie, wrócisz tutaj. Czasami twoje zniechęcenie będzie rosło stopniowo, a innym razem po prostu cię zaleje. Jeśli go nigdy nie poczujesz, pozostaniesz w tamtym życiu i będziesz szczęśliwa. To proste. Pomyśl zatem o czymś, co chciałabyś zrobić inaczej, czymś, co chciałabyś zmienić, a ja ci znajdę książkę. To znaczy życie.

Nora wpatrywała się w *Księgę żalów*, która leżała zamknięta na żółto-brązowych płytkach podłogowych.

Pamiętała, jak omawiała późno w nocy z Danem szczegóły jego marzenia o posiadaniu uroczego małego pubu na wsi. Entuzjazm mężczyzny był zaraźliwy i jego pragnienie niemal stało się jej pragnieniem.

— Żałuję, że zostawiłam Dana. Chciałabym nadal być w tym związku. Żałuję, że się rozstaliśmy i że nie popracowaliśmy nad realizacją jego marzenia. Czy istnieje życie, w którym wciąż jesteśmy razem?

— Oczywiście — odpowiedziała pani Elm.

Książki w bibliotece znów zaczęły się poruszać, a półki skojarzyły się Norze z taśmociągami bagażowymi. Tym razem jednak, zamiast sunąć powoli, niczym goście w marszu weselnym, przemieszczały się coraz szybciej, że nie sposób było zobaczyć pojedynczych tomów. Po prostu szumiały w strumieniach zieleni.

A potem, równie nagle, wszystkie się zatrzymały.

Bibliotekarka przykucnęła i wzięła książkę z najniższej półki po lewej stronie. Okładka książki była ciemnozielona. Kobieta wręczyła Norze tom. Był o wiele lżejszy niż *Księga żalów*, mimo że miał podobny rozmiar. I tu na grzbiecie nie było tytułu, bo został wytłoczony z przodu i był dokładnie w tym samym odcieniu zieleni co okładka.

Brzmiał: *Moje życie*.

— Ale to nie jest moje życie...

— Och, Noro, one wszystkie są twoje.

— Co mam teraz robić?

— Otwierasz książkę i przechodzisz na pierwszą stronę.

Tak zrobiła.

— Bardzo dobrze — pochwaliła ją powoli pani Elm. — Teraz przeczytaj pierwsze zdanie.

Nora spuściła wzrok i przeczytała.

Wyszła z pubu w chłodne nocne powietrze...

Ledwie miała dość czasu, by pomyśleć: „Z pubu?”. A później to się wydarzyło. Tekst zaczął wirować coraz szybciej, aż stał się nieczytelny, Nora zaś poczuła, że słabnie. Nigdy rozmyślnie nie upuściła książki, lecz w pewnym momencie przestała być czytelniczką, a w następnym w ogóle nie było już żadnej książki ani biblioteki.

Trzy Podkowy

Nora stała na zewnątrz w ostrym, rześkim powietrzu. Ale w przeciwieństwie do Bedford, tutaj nie padało.

— Gdzie jestem? — zapytała szeptem.

Po drugiej stronie łagodnie krętej drogi ciągnął się niewielki rząd staroświeckich kamiennych szeregowców. Ciche, stare budynki, wszystkie ze zgaszonymi światłami, wtulone w skraj osady, zatopione w wiejskiej ciszy. Niebo było czyste, upstrzone punkcikami gwiazd i ozdobione słabnącym sierpem księżyca. Pachniało polami. W kilku różnych miejscach rozległo się pohukiwanie puszczyków. A potem znów zapadła cisza. Cisza tak ciężka, że aż namacalna.

„Dziwne”.

Nora najpierw znajdowała się w Bedford. Potem w tej osobliwej bibliotece. A teraz przebywała tutaj, na ładnej wiejskiej drodze. Przemieszczała się, choć nie wykonała nawet kroku.

Po swojej stronie drogi dostrzegła złote światło przesączające się z parterowych okien. Podniosła wzrok i zobaczyła skrzypiący cicho na wietrze elegancko pomalowany szyld pubu. Nałożone na siebie podkowy i staranny napis.

Przed nią, na chodniku, stała tablica. Nora rozpoznała własne, bardzo staranne pismo.

TRZY PODKOWY

Wtorek wieczorem — Noc Quizów

od 20:30

„Prawdziwa wiedza polega na tym, że wiesz, że nic nie wiesz”.

— Sokrates (po przegraniu naszego quizu!!!!)

Czyli że w tym życiu stawiała cztery wykrzykniki pod rząd. Tak zapewne postępują ludzie od niej szczęśliwsi i mniej spięci.

Obiecujący omen.

Spojrzała w dół i oceniła swoje ubranie. Dżinsowa koszula z rękawami podwiniętymi do połowy przedramion, dżinsy oraz buty na koturnie; żadnej z tych rzeczy w swoim pierwotnym życiu nigdy nie zakładała. Miała gęsią skórę z zimna, więc chyba nie zamierzała w tym stroju przebywać zbyt długo na dworze.

Spojrzała na swój palec serdeczny. Obok starego pierścionka zaręczynowego z szafirem — tego samego, który z drzeniem i we łzach zdjęła ponad rok temu — nosiła prostą srebrną obrączkę ślubną.

„Szaleństwo!”.

Na ręce miała też zegarek. Nie cyfrowy, nie w tym życiu. Ten był elegancki, wąski, analogowy, z rzymskimi cyframi. I pokazywał, że minutę temu minęła północ.

„Jak to się dzieje?”

W tym życiu Nora miała gładsze dłonie. Pewnie używała kremu do rąk. Jej pokryte przezroczystym lakierem paznokcie lśniły. Nieco pocieszył ją widok znajomego małego pieprzyka na lewej ręce.

Na żwirze zachręściły kroki. Ktoś szedł podjazdem w jej stronę. Mężczyzna, widoczny w światłach padających z okien pubu i samotnej latarni ulicznej. Miał zaróżowione policzki, siwe dickensowskie bokobrody i woskowaną kurtkę przeciwdeszczową. Jego oblicze skojarzyło się Norze z jednym z tych kufli w kształcie ludzkiej twarzy. Zważywszy na nadmiernie ostrożny chód, mężczyzna był lekko pijany.

— Dobranoc, Noro. Wróć w piątek. Dla tego śpiewaka folkowego. Zdaniem Dana jest dobry.

W tym życiu Nora pewnie знаła nazwisko swojego rozmówcy.

— Zgadza się. Oczywiście, piątek. To będzie wspaniała noc.

Przynajmniej jej głos brzmiał jak zwykle. Patrzyła, jak mężczyzna

przechodzi przez całkowicie pustą jezdnię, kilkakrotnie zerkając to w lewo, to w prawo, a następnie znika w alejce między domkami.

To się naprawdę działo. Naprawdę żyła tym życiem. Tym, w którym prowadzili z Danem pub. To marzenie się urzeczywistniło.

— Jakie to strasznie dziwne — rzuciła w noc. — Takie. Strasznie. Dziwne.

Z lokalu wyszła również trzyosobowa grupka. Dwie kobiety i mężczyzna. Przechodząc obok Nory, uśmiechnęli się do niej.

— Następnym razem wygramy — oświadczyła jedna z kobiet.

— Tak — odparła Nora. — Zawsze jest następny raz.

Podeszła do budynku i zajrzała do pubu przez okno. Wnętrze wydawało się puste, ale światła nadal pozostawały włączone. Prawdopodobnie tych troje było ostatnimi gośćmi, którzy wyszli.

Lokal wyglądał bardzo zachęcająco. Ciepły i wyrazisty. Nora widziała małe stoły, drewniane belki i koło wozu przymocowane do ściany. Był też dywan w głębokim odcieniu czerwieni i obity drewnianą boazerią bar zastawiony imponującym szeregiem dystrybutorów do piwa.

Odsunęła się od okna i zobaczyła znak tuż za pubem, w miejscu, gdzie chodnik przechodził w trawę.

Szybko podbiegła i przeczytała napis.

LITTLEWORTH

Witamy uważnych kierowców

Potem zauważyła w górnej części znaku mały herb, wokół którego widniały słowa „Rada Hrabstwa Oxfordshire”.

— Udało się nam — wyszeptała w wiejskie powietrze. — Naprawdę tego dokonaliśmy.

To było marzenie, o którym Dan wspomniał jej po raz pierwszy, gdy spacerowali nad Sekwaną w Paryżu, jedząc makaroniki, które kupili na Boulevard Saint-Michel.

Marzył nie o Paryżu, lecz o angielskiej wsi, gdzieś, gdzie zamieszkają we

dwoje.

O wiejskim pubie w hrabstwie Oxfordshire.

Kiedy rak, z powodu którego cierpiała matka Nory, wrócił w najbardziej agresywnej formie, atakując węzły chłonne i kolejne narządy, realizację marzenia odsunęli na później i Dan przeprowadził się wraz z nią z Londynu z powrotem do Bedford. Mama wiedziała o ich zaręczynach i planowała doczekać ślubu córki. Niestety, zmarła o cztery miesiące za wcześnie.

Może to było to. Może to było właściwe życie. Może Nora dostała drugą szansę.

Pozwoliła sobie na nieśmiały uśmiech.

*

Ruszyła z powrotem ścieżką, z chrzęstem przemieszczając się po zwirowej nawierzchni i kierując się w stronę bocznych drzwi, którymi niedawno wyszedł podpity zarośnięty mężczyzna w przeciwdeszczowej kurtce.

Wzięła głęboki oddech i weszła.

W środku było ciepło.

I cicho.

Znajdowała się w jakimś krótkim korytarzu lub w sieni. Podłogę pokrywały płytki z terakoty. Ściany do pewnej wysokości wyłożono boazerią, a powyżej naklejono tapetę ze wzorkiem liści klonu.

Nora przeszła krótkim korytarzem do głównego pomieszczenia pubu, tego, do którego zaglądała przez okno. Aż podskoczyła, gdy nagle znikąd pojawił się kot.

Elegancki, kanciasty, ciemnobrązowy birmańczyk. Pochyliła się, pogłaskała go i spojrzała na plakietkę przymocowaną do obrożi. Wygrawerowano na niej imię. „Wolter”.

Inny kot o tym samym imieniu. Podobnie jak miało to miejsce w przypadku jej ukochanego pręgowanego rudzielca, wątpiła, by ten Wolter mógł ją przed czymś uratować.

Kot zaczął mrużyć.

— Cześć, Wolterze numer dwa. Chyba jesteś tu szczęśliwy. Czy my wszyscy jesteśmy tak samo szczęśliwi jak ty?

Mruczenie sugerowało odpowiedź twierdzącą. Kot otarł się głową o jej nogę. Nora podniosła Woltera i podeszła do baru. W stojących na kontuarze beczkach z kranikami znajdowały się piwa jasne, rzemieślnicze, portery, *india pale ale* i cydry. Nazywały się „Ulubieniec pastora”, „Zgubione i znalezione”, „Panna Marple”, „Sleeping Lemons”, „Broken Dream”.

Obok stała puszka charytatywna Butterfly Conservation.

Nora usłyszała brzęk szkła. Jakby ktoś napełniał zmywarkę. Poczowała, jak jej klatkę piersiową ściska niepokój. To było znajome uczucie. Niespodziewanie zza baru wyskoczył patykowaty dwudziestokilkulatek w luźnej koszulce polo i, ledwo zwracając na nią uwagę, zebrał ostatnie brudne szklanki, po czym włożył je do zmywarki. Włączył urządzenie, a następnie zdjął kurtkę z haczyka, włożył ją i wyjął kluczyki od samochodu.

— No to cześć, Noro. Skończyłem z krzesłami i wytarłem wszystkie stoły. Zmywarka włączona.

— Ach, dzięki.

— Do czwartku.

— Tak — odpowiedziała, czując się jak szpieg, który zaraz zdradzi swoją przykrywkę. — Do zobaczenia.

Chwilę po odejściu mężczyzny usłyszała kroki dochodzące z dołu. Ktoś nadchodził z tyłu pubu, stąpając po kaflach, po których właśnie przeszła. I w końcu go ujrzała.

Prezentował się inaczej.

Zniknęła broda, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki i cienie. W dłoni trzymał prawie opróżniony kufel z ciemnym piwem. Nadal wyglądał jak weterynarz z telewizyjnego serialu, tylko z późniejszych sezonów, bo się postarzał.

— Dan — powiedziała, jakby mężczyzna wymagał identyfikacji. — Chcę

tylko powiedzieć, że jestem z ciebie taka dumna. Taka dumna z nas.

Spojrzał na nią tępo.

— Właśnie wyłączałem agregaty chłodnicze. Muszę jutro wszystko przeczyścić. Zostawiliśmy je na dwa tygodnie.

Nora nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Pogłaskała kota.

— Racja. Tak. Oczywiście. Przeczyścić.

Jej mąż — bo w tym życiu nim był — rozejrzał się, oceniając wszystkie stoły i odwrócone do góry nogami krzesła. Miał na sobie wyblakły podkoszulek z motywem z filmu *Szczęki*.

— Czy Blake i Sophie poszli do domu?

Nora się zawahała. Wyczuła, że mówi o ludziach, którzy dla nich pracowali. Młody mężczyzna w luźnej koszulce polo był prawdopodobnie Blakiem. Nie widziała tu przecież nikogo innego.

— Tak — przyznała, siląc się na naturalny ton, mimo niezwykle dziwnych okoliczności. — Myślę, że tak. Chyba uporali się ze wszystkim.

— To ekstra.

Pamiętała, jak kupiła mu ten podkoszulek w prezencie na dwudzieste szóste urodziny. Dziesięć lat temu.

— Dziś wieczorem odpowiedzi były niesamowite. Jeden z zespołów... ten z Pete'em i Jolie... myślał, że Maradona pomalował sufit Kaplicy Sykstyńskiej.

Nora pokiwała głową i pogłaskała Woltsa numer dwa. Nie miała pojęcia, kim, do cholery, są Pete i Jolie.

— Prawdę mówiąc, dzisiejsze pytania były podchwytliwe. Może następnym razem wybiorę je z innej stronki. No bo sama powiedz, kto tak naprawdę zna nazwę najwyższej góry w paśmie Kara-coś-tam?

— Karakorum? — zapytała Nora. — To by było K2.

— No tak, ty oczywiście wiesz — wytknął jej nieco zbyt opryskliwym tonem. I nieco za bardzo podpitym głosem. — Właśnie tego rodzaju

szczegółiki znasz. Ponieważ w czasie, gdy większość osób interesowała się muzyką rockową, ciebie ciekawiła geografia i takie tam ważne sprawy.

— Hej — odburknęła. — Przecież naprawdę grałam w zespole.

Przypomniała sobie wtedy, że Dan nie życzył sobie, żeby w nim grała.

Zaśmiał się. Rozpoznała ten rodzaj śmiechu i nie bardzo jej się spodobał. Już zapomniiała, jak często, gdy byli parą, humor Dana zależał od postępowania innych ludzi, szczególnie od jej zachowania. Kiedy byli razem, Nora starała się nie zastanawiać nad tym aspektem jego osobowości. Dan miał przecież wiele innych zalet — był wspaniały dla jej matki, gdy chorowała, potrafił swobodnie rozmawiać na każdy temat, miał tyle marzeń związanych z przyszłością, był atrakcyjny i przyjazny, pasjonował się sztuką, zawsze też zatrzymywał się i rozmawiał z bezdomnymi. Troszczył się o los świata. A ludzie są trochę jak miasta. A do miasta nie można się zrażać z powodu kilku mniej przyjemnych kwartałów. Może nie lubimy paru dzielnic, paru podejrzanych bocznych uliczek czy przedmieść, ale dzięki dobrym elementom całość uważamy za interesującą.

Dan słuchał także kiedyś wielu irytujących podcastów i uważał, że Nora również powinna ich słuchać, poza tym śmiał się w sposób, który ją drażnił, i głośno gulgotał, ilekroć płukał usta płynem. Owszem, zagarniał całą kołdrę i od czasu do czasu arogancko przedstawiał swoje opinie na temat sztuki, filmu i muzyki, ale przecież nie miał jakichś wielkich wad. No cóż — przypomniała sobie teraz, gdy się nad tym zastanowiła — nigdy nie wspierał jej kariery muzycznej i twierdził, że granie w zespole oraz podpisanie kontraktu muzycznego byłoby ze szkodą dla jej zdrowia psychicznego, mówił również, że brat Nory jest w tej kwestii nieco samolubny. Wtedy jednak postrzegała te cechy Dana jako zalety. Myślała, że mężczyzna o nią dba, że miło jest mieć kogoś, komu na niej zależy, kogoś, dla kogo nie liczy się sława czy inne płytkie sprawy i kto mógłby pomóc jej w żeglowaniu po wodach życia. Tak więc, gdy poprosił ją o rękę w barze koktajlowym na najwyższym piętrze Oxo Tower, Nora się zgodziła.

Dan wszedł teraz do sali, odstawił kufel i zaczął szukać w telefonie lepszych pytań do następnego quizu.

Nora zadała sobie pytanie, ile dzisiaj wypił. I czy marzenie o posiadaniu pubu nie było tak naprawdę marzeniem o wypijaniu nieskończonych zapasów alkoholu.

— Jak nazywa się wielobok dwudziestokątny?

— Nie wiem — skłamała, nie chcąc ryzykować reakcji podobnej do tej sprzed chwili.

Dan włożył telefon do kieszeni.

— Dobrze nam poszło. Wszyscy dziś wieczorem mnóstwo pili. Nieźle jak na wtorek. Sprawy wyglądają coraz lepiej. I to właśnie mogę powiedzieć jutro bankowi. Może dostaniemy prolongatę spłaty pożyczki...

Zapatrzył się na swój kufel, wypił spory łyk piwa, a potem opróżnił zawartość do dna.

— Chociaż muszę powiedzieć A.J., żeby zmienił menu na lunch. W Littleworth nikt nie chce jeść sałatki z kandyzowanych buraczków i bobu ani smażonych placków. To nie jest pieprzona londyńska Fitzrovia. I chociaż schodzą dobrze, myślę, że te wina, które wybrałaś, nie są warte swojej ceny. Zwłaszcza kalifornijskie.

— Okej.

Odwrócił się i spojrzał za siebie.

— Gdzie jest tablica?

— Co?

— Tablica. Myślałem, że ją przyniosłaś?

Pewnie właśnie po nią wyszła na zewnątrz.

— Nie. Nie... Mam zamiar zrobić to teraz.

— Zdawało mi się, że wychodziłaś.

Nora uśmiechnęła się nerwowo.

— Tak, no cóż, wychodziłam. Musiałam... Niepokoiłam się o naszego kota.

Nie mogłam znaleźć Woltera, więc wyszłam go poszukać na zewnątrz, no i go znalazłam.

Dan wrócił za bar i nalał sobie szkockiej.

Najwyraźniej wyczuł, że Nora go ocenia.

— To dopiero moja trzecia. Może czwarta. Był wieczór quizów. Wiesz, że denerwuję się podczas rywalizacji. Dzięki szkockiej jestem zabawniejszy. I byłem zabawny, prawda?

— Tak. Bardzo zabawny. Niezwykle zabawny.

Dan spowaźniał.

— Widziałem, że rozmawiałaś z Erin. Co ci powiedziała?

Nora nie była pewna, w jaki sposób najlepiej odpowiedzieć na to pytanie.

— Och, nic wielkiego. Zwykłe rzeczy. Znasz Erin.

— Zwykłe rzeczy? Sądziłem, że nigdy wcześniej z nią nie rozmawiałaś.

— Miałam na myśli zwykłe rzeczy, które mówią ludzie. Nie to, co mówi Erin... Zwykli ludzie...

— Jak sobie radzi Will?

— Eeee, naprawdę dobrze — zgadywała Nora. — Pozdrawia.

Dan ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

— Naprawdę?

Nora nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Może Will był niemowlęciem. A może leżał w śpiączce.

— Wybacz, nie, nie pozdrawia. Przepraszam, nie pomyślałam. No dobra... pójde i przyniosę tę tablicę.

Postawiła kota na podłodze i wyszła. Tym razem zauważyła coś, co przeoczyła wcześniej, gdy wchodziła.

Oprawiony w ramkę artykuł z „Oxford Times” ze zdjęciem jej i Dana stojących przed Trzema Podkowami. Dan obejmował ją ramieniem. Miał na sobie garnitur, którego nigdy przedtem nie widziała, a ona była w eleganckiej sukience, której w swoim pierwotnym życiu nigdy by nie założyła (rzadko nosiła sukienki).

WŁAŚCICIELE PUBU SPEŁNIAJĄ SWOJE MARZENIE

Według artykułu kupili lokal tanio, gdyż był zapuszczony, a następnie go odnowili, wszystko dzięki skromnemu spadkowi (Dana), oszczędnościom i pożyczkom bankowym. Artykuł przedstawiał historię ich sukcesu, chociaż pochodził sprzed dwóch lat.

Nora wyszła na zewnątrz, zadając sobie pytanie, czy można naprawdę oszacować czyjeś życie jedynie na podstawie kilku minut we wtorek po północy. Albo ocenić, czy tego właśnie potrzebowała.

Wiatr się wzmagił. Podmuchy atakowały tablicę stojącą na cichej, wiejskiej uliczce, niemal ją przewracając. Zanim Nora ją podniosła, poczuła brzęczenie telefonu w kieszeni. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że go tam ma. Wyjęła. Esemes od Izzy.

Zauważyła, że tapetę na komórce stanowi zdjęcie przedstawiające ją i Dana w jakimś egzotycznym gorącym miejscu.

Odblokowała telefon za pomocą funkcji rozpoznawania twarzy i otworzyła wiadomość. Było to zdjęcie wieloryba wyskakującego wysoko nad wody oceanu, biała mgiełka strzelała w powietrze jak z butelki szampana. Zdjęcie było przepiękne i Nora na sam jego widok aż się uśmiechnęła.

Izzy coś pisała.

I po chwili pojawiła się wiadomość tekstowa:

To jedno ze zdjęć, które zrobiłam wczoraj z łodzi.

I kolejny esemes:

Samica humbaka.

Następna fotka przedstawiała dwa wyskakujące nad wodę wieloryby.

Z młodym.

Ostatnia wiadomość zawierała także emotikony przedstawiające wieloryby

i fale.

Nora poczuła ciepło na sercu. Nie tylko ze względu na fotografie, które były niewątpliwie piękne, ale z powodu samego kontaktu z Izzy.

Kiedy postanowiła, że nie wyjdzie za Dana, przyjaciółka zaczęła nalegać, żeby Nora poleciała razem z nią do Australii.

Niby wszystko ustaliły, wymyśliły plan, zgodnie z którym miały zamieszkać w pobliżu Byron Bay i znaleźć jakąś pracę przy rejsach wycieczkowych, które oferowały możliwość obserwacji wielorybów. W oczekiwaniu na tę nową przygodę wymieniały się licznymi filmikami z humbakami.

Ale potem Nora się zawahała, a następnie wycofała się z przedsięwzięcia. Dokładnie tak samo jak wcześniej zrezygnowała z kariery pływackiej, gry w zespole i ślubu z Danem. W przeciwieństwie jednak do tamtych sytuacji, tutaj nawet nie potrafiła podać przyczyny. Tak, zaczęła pracę w Teorii Strun, tak, czuła potrzebę opieki nad grobami rodziców, ale wiedziała, że pozostając w Bedford, wybiera gorszą opcję. A mimo to ją wybrała. Powodem była jakaś dziwna nostalgia, która zaostrzała się wraz z depresją, sugerując, że Nora nie zasługuje na szczęście. To, że zraniła Dana, i to życie w rodzinnym mieście, w świecie mżawki i przygnębienia, było jej karą, a ona nie miała ani chęci, ani woli, ani, cholera, energii, żeby cokolwiek z tym wszystkim zrobić!

W efekcie zamieniła swoją najlepszą przyjaciółkę na kota.

W swoim pierwotnym życiu nigdy nie pokłóciła się z Izzy. Nie, nic tak dramatycznego. Ale gdy Izzy poleciała do Australii, ich kontakty się rozluźniły, a przyjaźń stała się jedynie smugą sporadycznych polubień na Facebooku i Instagramie oraz ciągiem przepelnionych emotikonami urodzinowych esemesów.

Przejrzała teraz wcześniejsze wiadomości tekstowe, jakie wymieniła z Izzy, i zdała sobie sprawę, że chociaż nadal dzieliło je piętnaście tysięcy kilometrów, w tym życiu miały znacznie lepsze relacje.

*

Kiedy wróciła do pubu, tym razem wraz z szyldem, nigdzie nie widziała Dana, więc zamknęła tylne drzwi i poczekała chwilę w sieni pubu, zastanawiając się, gdzie są schody; zresztą wcale nie była pewna, czy naprawdę chce podążyć za swoim podchmielonym niby-mężem.

Znalazła schody na tyłach budynku, za drzwiami z napisem: „Tylko dla personelu”. Gdy szła po beżowym dywanie z rafii w ich kierunku, tuż za oprawionym plakatem z *Rzeczy, których uczysz się w ciemnościach* — jednego z ich ulubionych filmów z Ryanem Baileym, który oglądali razem w Odeonie w Bedford — na ślicznym małym parapecie zauważyła mniejszy obrazek.

To było ich zdjęcie ślubne. Czarno-białe, w stylu reportażowym. Wychodzili na nim z kościoła w deszczu konfetti. Trudno było zobaczyć dokładnie ich twarze, ale oboje się śmiali i to był wspólny śmiech. Wydawali się — o ile można wnioskować z fotografii — zakochani. Pamiętała, co jej mama mówiła o Danie. („Jest dobry. Masz dużo szczęścia. Trzymaj się go”).

Zobaczyła również swojego brata Joego. Ogolony, wyglądał na bardzo szczęśliwego; w ręku trzymał kieliszek z szampanem, a towarzyszył mu Lewis, jego koszmarny, przelotny chłopak z banku inwestycyjnego. Była tam też Izzy. I Ravi — stojąc obok okularnicy, której Nora nigdy wcześniej nie widziała, prezentował się bardziej jak księgowy niż perkusista.

Podczas gdy Dan był w toalecie, Nora zlokalizowała sypialnię. Chociaż wyraźnie martwili się o pieniądze — co potwierdziła nerwowa informacja o spotkaniu w banku — pokój był umeblowany kosztownie. Sterowane rolety na oknach. Szerokie, wygodne łóżko. Czysta, wykrochmalona biała pościel.

Po obu stronach łóżka leżały książki. W prawdziwym życiu Nora nie miała przy łóżku żadnej książki przynajmniej od sześciu miesięcy. Od pół roku niczego nie przeczytała! Ale może w tym życiu potrafiła się skupić przez dłuższy czas.

Wzięła jedną z książek, *Medytacja dla początkujących*. Pod nią znajdował

się egzemplarz biografii jej ulubionego filozofa, Henry'ego Davida Thoreau. Po stronie Dana również były książki. Pamiętała, że w tamtym życiu ostatnim dziełem, jakie czytał, była biografia Toulouse-Lautreca, w tym świecie jednak wybrał książkę biznesową *Od zera do bohatera: Jak osiągnąć sukces w pracy, zabawie i życiu* oraz najnowsze wydanie *Przewodnika po dobrych pubach*.

Czuła się tu w swoim ciele inaczej. Było trochę zdrowsze, trochę silniejsze, lecz mięśnie miała napięte. Poklepała się po brzuchu i uświadomiła sobie, że w tym życiu bardziej pracowała nad mięśniami. Jej włosy też się różniły. Nosiła ciężką grzywkę i — czuła to — włosy dłuższe z tyłu. Była lekko zamoczona. Pewnie wypila kilka kieliszków wina.

Chwilę później usłyszała, że Dan spłukuje toaletę, a potem płucze usta. Te odgłosy wydawały się nieco głośniejsze, niż było to konieczne.

— Wszystko w porządku? — zapytał Dan, kiedy wszedł do sypialni. Jego głos, zdała sobie sprawę, był trochę inny, niż go zapamiętała. Brzmiał bardziej pusto. Nieco chłodniej. Może z powodu zmęczenia. Może z powodu stresu. Może z powodu piwa. Może z powodu ich małżeństwa.

A może chodziło o coś zupełnie innego.

Właściwie nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć, jaki Dan miał wcześniej głos. Jaki w ogóle był. Ale taka była natura pamięci. Na uniwersytecie Nora napisała esej zatytułowany sucho: „Zasady koncepcji pamięci i wyobraźni Thomasa Hobbesa”. Hobbes postrzegał pamięć i wyobraźnię jako coś niemal identycznego, a Nora, odkąd to odkryła, nigdy już nie umiała całkowicie zaufać swoim wspomnieniom.

Za oknem żółty blask ulicznej latarni oświetlał opustoszałą wiejską drogę.

— Nora? Dziwnie się zachowujesz. Dlaczego stoisz na środku pokoju? Szykujesz się do łóżka czy medytujesz na stojąco?

Zaśmiał się. Uważał, że jest zabawny.

Podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Potem zdjął dzinsy i powiesił je na oparciu krzesła. Przyjrzała mu się i usiłowała wzbudzić w sobie pożądanie,

które kiedyś czuła. Najwyraźniej wymagało to od niej iście herkulesowego wysiłku. A tego się nie spodziewała.

„Życie każdej osoby może się zakończyć na nieskończoną liczbę sposobów”.

Dan opadł ciężko na łóżko niczym wieloryb w wody oceanu. Podniósł *Od zera do bohatera*. Próbował się skoncentrować. Odłożył książkę. Wziął z szafki laptopa i włożył sobie do ucha słuchawkę. Może zamierzał wysłuchać jakiegoś podcastu.

— Po prostu o czymś myślę.

Zaczęło jej się robić słabo. Jakby przebywała tu jedynie w połowie. Przypomniała sobie, co mówiła pani Elm — że rozczarowanie w danym życiu zaprowadzi ją z powrotem do biblioteki. Uznała, że naprawdę dziwnie byłoby położyć się do jednego łóżka z mężczyzną, którego nie widziała od dwóch lat.

Zauważyła godzinę na cyfrowym budziku. 0:23.

Dan, wciąż ze słuchawką w uchu, spojrzął na nią ponownie.

— No dobra, słuchaj, jeśli nie chcesz dziś robić dzieci, możesz po prostu powiedzieć, wiesz?

— Że co?

— To znaczy, wiem, że będziemy musieli poczekać kolejny miesiąc do następnej owulacji...

— Staramy się o dziecko? Ja chcę mieć dziecko?

— Nora, co z tobą? Dlaczego jesteś dzisiaj taka dziwna?

Zdjęła buty.

— Nie jestem.

Przypomniała sobie pewne zdarzenie związane z koszulką, którą miał na sobie Dan.

A właściwie pewną melodię. *Piękne niebo*.

Tego samego dnia, gdy kupiła Danowi tę koszulkę, zagrała też dla niego piosenkę, którą napisała dla The Labyrinths. *Piękne niebo*. Była przekonana, że to najlepszy utwór, jaki kiedykolwiek stworzyła. I — co więcej — była to

wesoła piosenka odzwierciedlająca jej optymizm w tamtym konkretnym momencie życia. Piosenka zainspirowana nowym życiem Nory z Danem. A on wysłuchał jej z nieco pogardliwą obojętnością, którą ją wtedy zranił i którą by mu wówczas wygarnęła, gdyby nie były to jego urodziny.

„Tak — powiedział tylko. — Fajna”.

Nora zastanowiła się, dlaczego zupełnie zapomniała o tej sprawie i dlaczego teraz nagle wspomnienie to wyłoniło się z odmętów pamięci jak wielki biały rekin na wyblakłym podkoszulku.

Wracały też do niej inne szczegóły. Jego przesadna reakcja, gdy kiedyś powiedziała mu o kliencie, Ashu, chirurgu i gitarzyście-amatorze, który przyszedł do Teorii Strun po jakiś okazjonalny śpiewnik i od niechcienia zapytał ją, czy nie poszłaby z nim na kawę.

(„Oczywiście, że odmówiłam. Przestań krzyczeć”.)

Gorzej jednak było, gdy człowiek zajmujący się wyszukiwaniem nowych artystów dla dużej wytwórni (czy raczej dawnej niezależnej wytwórni, która podjęła współpracę z Universalem) chciał podpisać z The Labyrinths kontrakt. Dan powiedział wtedy Norze, że w takim wypadku najprawdopodobniej nie przetrwają jako para. Przywołał też straszliwą historię zasłyszaną od jednego ze swych przyjaciół z uczelni. Chłopak grał w zespole, który podpisał umowę z wytwórnią, a później wytwórnia zespół oszukała i wszyscy jego członkowie skończyli jako bezrobotni alkoholicy czy coś w tym stylu.

„Mogłabym zabierać cię ze sobą w trasę — nalegała. — Wpisałabym ten punkt w kontrakt. Moglibyśmy wszędzie jeździć razem”.

„Wybacz, Noro, ale nie. To twoje marzenie, nie moje”.

Z perspektywy czasu to wspomnienie jeszcze bardziej ją bolało, szczególnie gdy sobie przypominała, jak bardzo — przed ślubem — starała się przekonać siebie do jego marzenia o posiadaniu pubu na wsi w Oxfordshire.

Dan stale powtarzał, że po prostu martwi się o Norę: w okresie, gdy grała w zespole, miewała ataki paniki, zwłaszcza tuż przed wyjściem na scenę. Ale,

gdy się teraz nad tym zastanowiła, ta jego troska świadczyła raczej o chęci, by nią manipulować.

— Myślałem — powiedział właśnie — że znów zaczniesz mi ufać.

— Ufać ci? Dan, dlaczego miałabym ci nie ufać?

— Wiesz dlaczego.

— Oczywiście, że wiem — skłamała. — Chcę tylko usłyszeć, jak to mówisz.

— Cóż, od sprawy z Erin.

Zagapiła się na niego niczym na plamę atramentową z testu Rorschacha², w której nie potrafiła dostrzec żadnego wyraźnego obrazu.

— Z Erin? Tą, z którą rozmawiałam dziś wieczorem?

— Czy będziesz mnie winić do końca życia za jedną głupią pijacką chwilę?

Na ulicy za oknem wiatr się wzmagił, wyjąc wśród gałęzi drzew, jak gdyby próbował przemówić.

To było życie, które oplakiwała? Żałowała, że go nie wybrała? Takie życie chciała prowadzić?

— Jeden głupi błąd? — spytała.

— No dobra, dwa.

Mnożyły się.

— Dwa?

— Byłem w kiepskim stanie. Wiesz, presja. Z powodu lokalu. I byłem bardzo pijany.

— Uprawiałeś seks z kimś innym i nawet nieszczególnie zabiegasz o wybaczenie.

— Och, już dobra, po co znowu wywlekasz tę sprawę? Przetrwaliśmy to. Pamiętasz, co nam powiedział terapeuta. Powinniśmy skupić się na tym, dokąd chcemy iść, a nie na tym, gdzie byliśmy.

— Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że może po prostu do siebie nie pasujemy?

— Że co?

— Kocham cię, Dan. Potrafisz być bardzo miły. I byłeś wspaniały dla mojej mamy. A kiedyś... świetnie nam się gadało. Ale czy kiedykolwiek czujesz, że doszliśmy tam, gdzie chcieliśmy być? Przecież się zmieniliśmy.

Usiadła na brzegu łóżka. W najdalszym kącie od Dana.

— Czy kiedykolwiek pomyślałeś, jakie to szczęście, że mnie masz? Zdajesz sobie sprawę, jak blisko byłam porzucenia cię na dwa dni przed ślubem? Wiesz, jak bardzo byłbyś pogubiony, gdybym się na tym ślubie nie pojawiła?

— No, no, no. Serio? Masz o sobie naprawdę wysokie mniemanie, Noro.

— A nie powinnam? Co jest złego w tym, że mam poczucie własnej wartości? A poza tym, to jest prawda. Istnieje inny świat, w którym wysyłasz mi przez WhatsAppa wiadomości świadczące o tym, że kompletnie sobie nie radzisz, że beze mnie jesteś zagubiony. I dużo pijesz... chociaż wygląda na to, że przy mnie również sporo w siebie wlewasz. Tam wysyłasz mi esemesy, w których piszesz, że tęsknisz za moim głosem.

Wydał z siebie lekceważący dźwięk, było to coś pomiędzy śmiechem a chrząknięciem.

— Cóż, w tej chwili zdecydowanie nie brakuje mi twojego głosu.

Nie, nie potrafiła się przy nim rozebrać. Byłoby jej trudno zdjąć z siebie jakiś inny element odzieży poza butami; może nawet było to niemożliwe.

— I przestań mi wytykać picie.

— Jeśli używasz picia jako pretekstu do pieprzenia się z kimś innym, mam prawo ci to wytykać.

— Jestem właścicielem wiejskiego pubu — zadrwił. — Oto, co robią tacy jak ja. Są jowialni, weseli i chętni spożywać liczne i różnorodne napoje alkoholowe, które sprzedają. Jezuuu.

„Od kiedy mówił w ten sposób? Czy zawsze tak mówił?”

— Do jasnej cholery, Dan!

Nawet nie wydawał się zaniepokojony. Chyba mu się w tym świecie podobało. A Nora tak długo czuła się winna, że nie pozwoliła się temu światu

wydarzyć. Dan, wciąż z laptopem na kółdrze, sięgnął po telefon. Nora obserwowała go, gdy przewijał wiadomości.

— Czy tak to sobie wyobrażałeś? Czy twoje marzenie się spełnia?

— Nora, przestań już mnie, cholera, męczyć. Po prostu włącz do pieprzonego łóżka.

— Jesteś szczęśliwy, Dan?

— Nikt nie jest szczęśliwy, Noro.

— Niektórzy ludzie są. Ty też kiedyś byłeś. Promieniałeś, gdy o tym opowiadałeś. Wiesz, o pubie... Zanim go kupiłeś. To jest życie, o którym marzyłeś. Chciałeś mieć mnie i chciałeś mieć pub, a jednak jesteś niewierny i pijesz jak szewc. Mam wrażenie, że doceniasz mnie tylko wtedy, gdy mnie nie ma, co nie świadczy o tobie zbyt dobrze. A co z moimi marzeniami?!

Prawie jej nie słuchał. Albo udawał, że nie słucha.

— Wielkie pożary w Kalifornii — mruknął niemal do siebie.

— No cóż, a więc dobrze, że jesteśmy tutaj.

Odłożył telefon. Odłożył laptopa.

— Kładziesz się do łóżka czy nie?

Czyli ona się dla niego poświęciła, a on i tak się tym nie zadowolił. Dość tego.

— Dwudziestokąt — powiedziała mu.

— Co?

— Do quizu. Pytałeś wcześniej. Wielobok dwudziestokątny nazywa się dwudziestokąt. Znałam odpowiedź, ale ci nie powiedziałam, bo nie chciałam, żebyś ze mnie drwił. Ale teraz naprawdę mnie to nie obchodzi, ponieważ uważam, że moja wiedza na jakikolwiek temat nie powinna cię w żaden sposób denerwować. Idę do łazienki.

Zostawiła Dana z otwartymi ustami i wyszła z pokoju, lekko stąpając po szerokich deskach podłogowych.

Dotarła do łazienki. Zapaliła światło. W rękach, nogach i tułowiu czuła mrowienie. Jak odgłosy zakłóceń elektrostatycznych, które słyszymy w trakcie

poszukiwania stacji radiowej. Była pewna, że właśnie stąd zniknie. Długo już tu nie pobędzie. Rozczarowanie było całkowite.

Łazienka okazała się pomieszczeniem imponującym. Nora dostrzegła lustro. Na widok swojego odbicia aż sapnęła. Prezentowała się zdrowiej, ale również starzej. A ta fryzura... Wyglądała jak obca kobieta.

„Nie tak wyobrażałam sobie to życie”.

Życzyła sobie w lustrze: „Powodzenia”.

Chwilę później znajdowała się już w jakimś punkcie Biblioteki o Północy, a z niewielkiej odległości pani Elm, zaciekawiona, przypatrywała się Norze z uśmiechem.

— No i jak ci poszło?

Przedostatnia aktualizacja, którą Nora opublikowała, zanim znalazła się pomiędzy życiem a śmiercią

Czy kiedykolwiek zastanawiacie się: „Jak się tutaj znalazłem/znalazłam?”. Jakbyście byli w labiryncie, kompletnie zagubieni i to wyłącznie z waszej winy, ponieważ to właśnie wy źle skręciliście? Wiecie, że istnieje wiele dróg, którymi moglibyście wyjść z labiryntu, gdyż słyszycie wszystkich tych ludzi, którzy go przeszli i teraz przebywają na zewnątrz, śmiejąc się i gawędząc. Czasem widujecie ich uśmiechniętych przez żywopłot. Ulotne kształty wśród liści. Wydają się tak cholernie szczęśliwi, bo im się udało, i nie macie pretensji do nich, lecz do siebie — za to, że nie posiadacie ich zdolności, które by wam pozwoliły stamtąd wyjść. Nie jest tak? A może ten labirynt jest tylko dla mnie?

PS Mój kot umarł.

Szachownica

Półki Biblioteki o Północy były znów nieruchome, jakby nigdy wcześniej się nie przemieszczały.

Nora wyczuła, że wraz z panią Elm znajdują się teraz w innej części budynku. Paradoks polegał na tym, że było tu tylko jedno nieskończenie rozległe pomieszczenie. Ponieważ książki nadal były zielone, Norze trudno było stwierdzić, czy naprawdę przebywa w innej części biblioteki. Odnosiła jednak wrażenie, że teraz jest chyba bliżej korytarza niż wcześniej. I z tego miejsca zobaczyła właśnie coś nowego. Za książkami stało biurko z komputerem, nieograniczone żadnymi ściankami, proste, prowizoryczne biuro usytuowane w przejściu między rzędami regałów.

Pani Elm nie było jednak przed komputerem. Siedziała przy niskim drewnianym stolyczku naprzeciwko Nory i grała w szachy.

— Było inaczej, niż sobie wyobrażałam — wyznała Nora.

Bibliotekarka była w połowie rozgrywki.

— Trudno przewidzieć, prawda? — zapytała, patrząc obojętnie przed siebie, a następnie przesunęła po szachownicy czarnego gońca i zbiła białego pionka. — Trudno przewidzieć, co nas uszczęśliwi — uściśliła.

Obróciła szachownicę o sto osiemdziesiąt stopni. Najwidoczniej grała sama ze sobą.

— Tak — zgodziła się z nią Nora. — Rzeczywiście, trudno. Ale co się z nią stanie? Ze mną... z tamtą? Jak skończy?

— Skąd mam wiedzieć? Znam tylko ten dzień. Dzisiaj. Wiem o nim dużo. Ale nie mam pojęcia, co będzie nazajutrz.

— Ale ona odkryje, że jest w łazience i nie będzie wiedziała, w jaki sposób się tam znalazła.

— A ty nigdy nie weszłaś do jakiegoś pokoju i nie zadawałaś sobie pytania,

po co tam przyszedłaś? Nigdy nie zapomniałaś tego, co przed chwilą zrobiłaś? Nigdy nie zapomniałaś, co właśnie robisz?

— Tak, ale byłam w tamtym życiu przez pół godziny.

— A ta druga wcale się o tym nie dowie. Zapamięta twoje czyny i słowa jako własne.

Nora głęboko wypuściła powietrze.

— Dan kiedyś nie był taki.

— Ludzie się zmieniają — odpowiedziała pani Elm, wciąż wpatrując się w szachownicę. Jej dłoń spoczywała na gońcu.

Nora ponownie zastanowiła się nad całą sprawą.

— A może dokładnie taki był, tyle że ja tego nie widziałam.

— Zatem — spytała bibliotekarka, nagle patrząc na Norę. — Co właściwie czujesz?

— Wydaje mi się, że wciąż pragnę umrzeć. Chcę tego od dłuższego czasu. Starannie wykalkulowałam, że ból spowodowany faktem, iż moje życie to cholerna katastrofa, którą i ja sama jestem, jest większy niż ten, który po mojej ewentualnej śmierci poczują inni. Prawdę powiedziawszy, sądzę, że poczują ulgę. Nikomu do niczego się nie przydaję. Kiepsko wykonywałam swoją pracę. Wszystkich rozczarowałam. Jestem tylko niepotrzebnym elementem śladu węglowego. Krzywdzę ludzi. Nie mam już nikogo. Nawet biednego starego Woltsa, który zginął, ponieważ nie potrafiłam odpowiednio o niego zadbać. Chcę umrzeć. Moje życie to katastrofa. I chcę, żeby się skończyło. Nie nadaję się do życia. Nie ma sensu przez to wszystko przechodzić. Moim przeznaczeniem jest najwyraźniej doświadczanie nieszczęścia także w każdym innym życiu. Wina tkwi we mnie. I tyle. Nie mam nic więcej do dodania. Coraz bardziej się nad sobą użalam. Pragnę umrzeć.

Pani Elm przyglądała się jej z uwagą czytelnika, który ponownie zagłębia się we fragment przeczytanej wcześniej książki, ponieważ okazało się, że ów fragment zawiera w sobie nowe znaczenie.

— „Pragnąć” — zauważyła typowym dla siebie wyważonym tonem — co

za ciekawe słowo. Oznacza brak czegoś. Czasami jeśli wypełnimy ten brak czymś innym, pierwotne pragnienie całkowicie znika. Może masz problem z brakiem, a nie z potrzebą. Może istnieje życie, które naprawdę by cię zadowoliło.

— Myślałam, że chodzi właśnie o takie. O to z Danem. Ale nie.

— Rzeczywiście. Z tym, że wybrałaś tylko jedną z licznych, potencjalnych możliwości, która wobec nieskończoności stanowi zaledwie maleńki ułamek.

— W każdym potencjalnym życiu, które mogłabym prowadzić, będę ja. Więc tak naprawdę nie jest to każde potencjalne życie.

Pani Elm nie słuchała.

— No dobrze, powiedz mi, dokąd chcesz teraz iść?

— Nigdzie, bardzo panią proszę.

— Chcesz jeszcze raz zerknąć na *Księgę żalów*?

Nora zmarszczyła nos i nieznacznie potrząsnęła głową. Przypomniała sobie, że pod wpływem ogromnej ilości żalu dosłownie się dusiła.

— Nie.

— A co z twoim kotem? Jak się wabił?

— Wolter. Imię było trochę pretensjonalne, a ponieważ kot wcale taki nie był, używałam zdrobnienia i mówiłam do niego Wolts. Czasami Woltsy, jeśli było mi wesoło. Co oczywiście zdarzało się rzadko. Cóż, nie potrafiłam nawet zdecydować, jak ostatecznie powinien mieć na imię.

— Hm, wspomniałaś, że nie radziłaś sobie z kotem. Co zrobiłabyś w tej kwestii inaczej?

Nora zastanowiła się nad pytaniem. Miała wrażenie, że pani Elm zaczęła z nią jakąś grę, ale chciała też zobaczyć ponownie swojego kota, a nie po prostu kota o tym samym imieniu. Właściwie pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego.

— Okej. Chciałabym trafić do świata, w którym nie wypuszczałam Woltera z domu. Ale mojego Woltera! Chciałabym prowadzić życie, w którym nie próbowałam się zabić i w którym byłabym dobrą właścicielką kota i nie

pozwalalabym mu wychodzic w nocy na zewnatrz. Chce takiego zycia, tylko na chwile. Takie zycie istnieje, prawda?

Jedynym sposobem na naukę jest życie

Nora rozejrzała się i odkryła, że leży we własnym łóżku.

Spojrzała na zegarek. Minuta po północy. Włączyła światło. To było dokładnie jej życie, ale miało być lepsze, ponieważ Wolter miał w nim wciąż żyć. Jej prawdziwy Wolter.

Ale gdzie był?

— Wolts?

Wyskoczyła z łóżka.

— Wolts?

Przeszła całe mieszkanie i nigdzie go nie znalazła. Deszcz uderzał o szyby — to się nie zmieniło. Jej nowy kartonik z lekami przeciwdepresyjnymi stał na szafce kuchennej. Pianino elektryczne milcząco trwało przy ścianie.

— Woltsy?

Stały tu jej juka i trzy maleńkie kaktusy w doniczkach, były też półki z książkami wypełnione dokładnie taką samą mieszaniną dzieł z zakresu filozofii, powieści i nietkniętych podręczników do jogi, biografii gwiazd rocka i publikacji popularnonaukowych. Stary egzemplarz „National Geographic” z rekinem na okładce i numer „Elle” sprzed pięciu miesięcy, który Nora kupiła głównie ze względu na wywiad z Ryanem Baileyem. Od bardzo dawna nic nowego się nie pojawiło.

Nadal stała tam miska z karmą dla kotów.

Nora zajrzała wszędzie, wołając kota. Dopiero gdy wróciła do sypialni i spojrzała pod łóżko, zobaczyła go.

— Wolts!

Kot się nie poruszał.

Ponieważ nie mogła go dosięgnąć, przesunęła łóżko.

— Woltsy. Chodź, Woltsy — szepnęła.

W chwili, gdy dotknęła jego zimnego ciała, wiedziała; od razu ogarnęły ją smutek i zmieszanie. I natychmiast znalazła się z powrotem w Bibliotece o Północy, naprzeciwko pani Elm, która tym razem siedziała w wygodnym fotelu, głęboko pochłonięta lekturą jednej z książek.

— Nie rozumiem — wyznała kobiecie Nora.

Bibliotekarka nie odrywała wzroku od czytanej strony.

— Jest wiele spraw, których nie rozumiesz.

— Poprosiłam o życie, w którym Wolter ciągle żyje.

— Właściwie to nie.

— Co takiego?

Kobieta odłożyła książkę.

— Prosiłaś o życie, w którym trzymasz kota w domu. To jest zupełnie inna sprawa.

— Czyżby?

— Tak. Kompletnie inna. Gdybyś poprosiła o życie, w którym twój kot żyje, musiałabym odmówić.

— Dlaczego?

— Ponieważ takie życie nie istnieje.

— Myślałem, że każde istnieje.

— Każde możliwe życie. Widzisz, okazuje się, że Wolter cierpiał z powodu poważnego schorzenia... — przeczytała uważnie z książki — „kardiomiopatii restrykcyjnej”, z którą się urodził i to ona spowodowała u niego niewydolność serca.

— Przecież został potrącony przez samochód.

— Noro, istnieje różnica między śmiercią na drodze a potrąceniem przez samochód. W twoim pierwotnym życiu Wolter żył dłużej niż niemal w każdym innym twoim życiu, z wyjątkiem tego, które właśnie odwiedziłaś, gdzie zmarł zaledwie trzy godziny wcześniej. Chociaż miał za sobą kilka trudnych wczesnych lat, rok, w którym mieszkał u ciebie, był jego najlepszym. Wierz mi, gdzie indziej Wolter ma znacznie gorsze życie.

— Przed chwilą nawet nie знаła pani jego imienia. A teraz pani wie, że cierpiał na restrykcyjną kardio-coś?

— Znałam jego imię. I to nie było przed chwilą. To było w tej samej chwili, sprawdź na zegarku.

— Dlaczego pani kłamała?

— Nie kłamałam. Zapytałam cię, jak ma na imię twój kot. Nigdy nie twierdziłam, że nie znam jego imienia. Rozumiesz różnicę? Chciałam tylko, żebyś wypowiedziała jego imię w taki sposób, żebyś coś poczuła.

Norę ogarnęło wzburzenie.

— To jeszcze gorzej! Wysłała mnie pani w tamto życie, chociaż wiedziała pani, że Wolts nie żyje. I Wolts rzeczywiście nie żył! Więc nic się nie zmieniło.

Oczy pani Elm ponownie zamigotały.

— Nic poza tobą.

— Co to znaczy?

— No cóż, nie uważasz się już za złą właścicielkę kota. Troszczyłaś się o niego najlepiej, jak mogłaś. Kochał cię równie mocno, jak ty kochałaś jego, i może nie chciał, żebyś patrzyła, jak umiera. Koty są mądre. Wiedzą, gdy ich czas się kończy. Wolter wyszedł na zewnątrz, ponieważ miał umrzeć i zdawał sobie z tego sprawę.

Nora próbowała zrozumieć te informacje. Kiedy zastanowiła się nad wypadkiem kota, przypomniała sobie, że nie miał żadnych zewnętrznych oznak świadczących o potrąceniu przez samochód. Po prostu doszła do tego samego wniosku co Ash. Martwy kot leży na drodze, prawdopodobnie miał wypadek. A skoro chirurg mógł tak pomyśleć, nic dziwnego, że tak samo pomyślała osoba zupełnie niezwiązana z medycyną. Jediną sensowną przyczyną śmierci wydało im się potrącenie przez jakiś pojazd.

— Biedny Wolts — mruknęła żałośnie.

Bibliotekarka uśmiechnęła się do niej niczym nauczycielka, która widzi, że uczeń nie pojął lekcji.

— On cię kochał, Noro. Opiekowałaś się nim tak dobrze, jak można było. Idź i spójrz na ostatnią stronę *Księgi żalów*.

Nora zobaczyła, że wolumin leży na podłodze. Uklękła obok niego.

— Nie chcę jej ponownie otwierać.

— Nie martw się. Tym razem będzie bezpieczniej. Po prostu zajrzyj na ostatnią stronę.

Gdy Nora to zrobiła, dostrzegła, że jeden z jej ostatnich żalów — „Źle opiekowałam się Wolterem” — powoli znika z kartki. Litery blakły jak nieznajomi odchodzący we mgle.

Zamknęła tom, zanim ogarnęłoby ją uczucie, że zdarzy się coś złego.

— No widzisz? Czasami nasze żale w ogóle nie opierają się na faktach. Czasami żal jest po prostu... — Poszukała w głowie odpowiedniego określenia i je znalazła. — ...Głupim pieprzeniem!

Nora usiłowała wrócić pamięcią do szkolnych czasów, ponieważ chciała sobie przypomnieć, czy pani Elm używała takich słów jak „pieprzenie”, i była pewna, że nie.

— Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego pozwoliła mi pani wejść w tamto życie, skoro pani wiedziała, że Wolts i tak będzie w nim martwy? Mogła mi pani po prostu o tym powiedzieć. Mogła mi pani po prostu powiedzieć, że nie zaniebdywałam kota. Dlaczego pani tego nie zrobiła?

— Ponieważ, Noro, czasami jedynym sposobem, by się czegoś dowiedzieć albo o czymś przekonać jest po prostu... przeżyć to.

— Brzmi boleśnie.

— Usiądź — powiedziała pani Elm. — Zajmij odpowiednie miejsce. Nie powinnaś klęczeć na podłodze. — Nora odwróciła się i zobaczyła za sobą fotel, którego wcześniej nie zauważyła. Był zabytkowy, z mahoniu i ozdobionej guzikami skóry, może z epoki edwardiańskiej, z mosiężną podstawką na książkę na jednej z poręczy. — Odsapnij chwilkę.

Usiadła.

Przez moment wpatrywała się w zegarek. Bez względu na to, jak długo

patrzyła, ciągle pokazywał północ.

— Nadal mi się to nie podoba. Wystarczyło jedno smutne życie. Po co ryzykować ich więcej?

— Świetnie. — Pani Elm wzruszyła ramionami.

— Co?

— Zatem nie róbmy nic. Możesz po prostu zostać w bibliotece, otoczona wszystkimi czekającymi na półkach wcieleniami, i nie wybierać żadnego z nich.

Nora wyczuła, że bibliotekarka znów gra z nią w jakąś grę. Ale przystała na to.

— Dobrze.

Tkwiała więc po prostu w miejscu, a pani Elm wróciła do lektury swojej książki.

Norze wydawało się niesprawiedliwe, że kobieta może czytać o jej życiu i nie musi w nie wchodzić.

Czas mijał.

Chociaż w sensie technicznym oczywiście nie.

Mogłaby pozostać tu na zawsze, nie doświadczając głodu, pragnienia ani zmęczenia. Ale podejrzewała, że w końcu zaczęłaby się nudzić.

Podczas gdy czas właściwie stał w miejscu, jej ciekawość powoli rosła. Pobyt w bibliotece najwyraźniej nierozzerwalnie łączył się z chęcią zdjęcia książki z półki.

— Może pokaże mi pani życie, o którym pani wie, że jest dobre? — spytała nagle.

— Nie tak działa ta biblioteka.

Nora miała już następne pytanie.

— Z pewnością w większości z nich w tej chwili śpię, prawda?

— W wielu tak.

— A jeśli któreś z nich wybiorę?

— Będziesz spała. A potem się w tamtym życiu obudzisz. Nie masz się

czym martwić. Ale jeśli się denerwujesz, możesz spróbować takiego, w którym jest inna pora.

— Co pani ma na myśli?

— No cóż, nie wszędzie jest noc, prawda?

— Tak?

— Jest nieskończona liczba możliwych światów, w których żyjesz. Naprawdę uważasz, że wszystkie istnieją w czasie słonecznym Greenwich?

— Oczywiście, że nie — odrzekła Nora. Uświadomiła sobie, że zaraz ustąpi kobiecie i wybierze kolejne życie. Pomyślała o humbakach. I o wiadomości bez odpowiedzi. — Chciałbym polecieć do Australii z Izzy. Chciałbym doświadczyć tego życia.

— Bardzo dobry wybór.

— Tak? Wybrałam bardzo dobre życie?

— Och, tego nie powiedziałam. Po prostu czuję, że dokonujesz coraz lepszych wyborów.

— Czyli że to życie jest złe?

— Tego również nie powiedziałam.

Półki znów się zaczęły przesuwać coraz szybciej, aż kilka sekund później się zatrzymały.

— Ach, tak, oto i ono — powiedziała bibliotekarka, biorąc książkę z półki drugiej od dołu. Kobieta rozpoznała ją natychmiast, co było dziwne, ponieważ książka wyglądała prawie identycznie jak wszystkie wokół niej.

Podalała tom Norze z taką czułością, jakby wręczała jej prezent urodzinowy.

— Proszę bardzo. Wiesz, co robić.

Nora zawahała się.

— A jeśli tam nie żyję?

— Że co?

— No w tym innym życiu. Na pewno istnieją takie, w których umarłam przed dniem dzisiejszym.

Pani Elm wyglądała na zaintrygowaną.

— Czy nie tego chciałaś?

— No tak, ale...

— Tak, nieskończoną liczbę razy umarłaś przed dniem dzisiejszym. Wypadek samochodowy, przedawkowanie narkotyków, utonięcie, przypadek śmiertelnego zatrucia pokarmowego, zadławienie się kawałkiem jabłka, zadławienie się ciastkiem, zadławienie się wegańskim hot dogiem, zadławienie hot dogiem niewegańskim, każda choroba, którą mogłaś złapać lub się zarazić... Umarłaś już na każdy z możliwych sposobów i o każdej możliwej porze.

— Więc być może otworzę książkę i po prostu umrę?

— Nie, nie tak od razu. Podobnie jak w przypadku Woltera dostępne jest tutaj tylko... no cóż, życie. Możesz w jakimś życiu umrzeć, ale nie umrzesz, zanim w jakieś życie nie wejdiesz, a to dlatego, że Biblioteka o Północy nie jest Biblioteką Duchów. Nie jest Biblioteką Zwłok. To biblioteka wszelakich możliwości. A śmierć jest przeciwieństwem możliwości. Rozumiesz?

— Chyba tak.

Nora zapatrzyła się na okładkę książki, którą trzymała w dłoni. Zielona jak igliwie, o gładkiej fakturze, z ponownie wytłoczonym tym szerokim i frustrująco pozbawionym znaczenia tytułem: *Moje życie*.

Otworzyła książkę i zobaczyła pustą kartę, więc przeszła do następnej strony, zastanawiając się, co się tym razem zdarzy.

„Na basenie panował nieco większy tłok niż zazwyczaj...”

A potem już tam była.

Ogień

Nora nabrała powietrza. Emocje zalały ją tak nagle. Hałas i woda. A ponieważ miała otwarte usta, zakrztusiła się. Owionął ją zapach i poczuła na skórze ukłucie słonej wody.

Próbowała dotknąć stopami dna basenu, ale było za głęboko, więc zaczęła płynąć stylem klasycznym.

Basen, ale ze słoną wodą. Na zewnątrz, tuż przy brzegu oceanu. Na pierwszy rzut oka wyrzeźbiony w skale stanowiącej element linii brzegowej. Tak, obok basenu widziała ocean. Nad nią świeciło słońce. Woda była chłodna, ale biorąc pod uwagę gorące powietrze, chłód był przyjemny.

Dawno, dawno temu Nora była najlepszą czternastoletnią pływaczką w Bedfordshire.

Wygrała wcześniej dwa wyścigi w swojej kategorii wiekowej na krajowych mistrzostwach juniorów w pływaniu, styl dowolny, dystans 400 metrów. Styl dowolny, 200 metrów. Tata prowadził ją codziennie na lokalną pływalnię. Czasami i przed szkołą, i po lekcjach. Potem, ponieważ jej brat grał na gitarze piosenki Nirvany, zamieniła basen na gamy i nauczyła się grać na pianinie nie tylko dzieła Chopina, lecz także klasyki muzyki popularnej, takie jak *Let It Be* czy *Rainy Days and Mondays*. Zaczęła również — jeszcze zanim bratu choćby przemknęła przez głowę myśl o The Labyrinths — komponować muzykę.

Tak naprawdę nie zrezygnowała wtedy z pływania, a tylko ze związanej z nim presji.

Dotarła do brzegu basenu. Zatrzymała się i rozejrzała. W oddali poniżej widziała półkolistą plażę i wciskający się w piasek ocean. Dalej, za plażą, rosła trawa. Park, palmy, ludzie spacerujący z psami.

Jeszcze dalej znajdowały się domy i niskie bloki mieszkalne oraz droga z przejeżdżającymi pojazdami. Nora widziała kiedyś zdjęcia Byron Bay. To

miejsce nie było ani trochę podobne. Tutaj okolica, gdziekolwiek to było, wydawała się nieco bardziej zabudowana i idealna dla surferów, ale jednak było to miasto.

Zwróciła ponownie uwagę na basen i zauważyła uśmiechniętego mężczyznę, który poprawiał okulary. Czy go znała? Czy w tym życiu powitałaby ten uśmiech z zadowoleniem? Ponieważ nie znała odpowiedzi na te pytania, uśmiechnęła się nieznacznie do mężczyzny. Czuła się jak turysta, który płaci nieznaną walutą i nie wie, w jakiej wysokości dać napiwek.

Potem uśmiechnęła się do niej starsza kobieta w czepku, sunąca w jej stronę przez wodę.

— Dzień dobry, Noro — powiedziała do niej pomiędzy kolejnymi ruchami żabki.

To powitanie sugerowało, że Nora bywa tu regularnie.

— Dzień dobry — odparła.

Chcąc uniknąć niezręcznej pogawędki, zapatrzyła się na ocean. Grupka porannych surferów, widocznych w postaci kropek, pływała na swoich deskach, witając duże szafirowobłękitne fale.

To był obiecujący początek australijskiego życia. Wpatrzyła się w tarczę swojego zegarka. Jasnopomarańczowego, wyglądającego na tani, marki Casio. Radośnie prezentujący się czasomierz sugerujący, że Nora spodziewa się szczęśliwego życia. Było tuż po dziewiątej rano. Obok zegarka na jej nadgarstku widniała plastikowa opaska na rękę z kluczykiem.

Najwyraźniej tak tutaj wyglądał poranny rytuał Nory. W odkrytym basenie przy plaży. Zastanawiała się, czy jest tu sama. Zlustrowała wzrokiem basen w nadziei na jakikolwiek ślad Izzy, ale nikogo więcej nie zauważyła.

Przepłynęła jeszcze kawalek.

W pływaniu kiedyś najbardziej kochała znikanie. W wodzie potrafiła się skupić do tego stopnia, że nie myślała o niczym innym. Znikały wszelkie zmartwienia związane ze szkołą czy z domem. Sztuka pływania — Nora przypuszczała, że tak jak każda sztuka — polegała na pełnym oddaniu. A im

bardziej człowiek się koncentrował na wykonywanej czynności, tym mniej się koncentrował na wszystkim innym. W jakimś sensie przestawał być sobą i stawał się tym, co robił.

Trudno było jednak pozostać skupioną, gdy zauważyła, że bolą ją ramiona i klatka piersiowa. Wyczuła, że pływa już od jakiegoś czasu i prawdopodobnie nadeszła pora na wyjście z wody. Zobaczyła znak. „Basen przy plaży Bronte”. Niejasno przypomniała sobie, jak Dan — który był w Australii, gdy zrobił sobie rok przerwy przed studiami — opowiadał o tym miejscu i Nora zapamiętała nazwę plaży, Bronte, ponieważ trudno ją było zapomnieć. Jane Eyre na desce surfingowej.

Nazwa stanowiła wszak potwierdzenie jej wątpliwości.

Bronte Beach znajdowała się w Sydney. Naprawdę daleko od Byron Bay.

Oznaczało to jedną z dwojga rzeczy. Albo w tym życiu nie mieszkała z Izzy w Byron Bay, albo Nora i Izzy nie mieszkały w tym samym miejscu.

Zauważyła, że całe ciało ma opalone na jasnokarmelowo.

Miała oczywiście problem — nie wiedziała, gdzie jest jej ubranie. Wtedy jednak przypomniała sobie plastikową opaskę z kluczem.

„57”. Jej szafka miała numer 57. Nora odszukała szatnię, otworzyła metalową, kwadratową szafkę i zobaczyła, że w tym życiu — podobnie jak w przypadku zegarka — gustowała w rzeczach bardziej kolorowych. W szafce czekał na nią podkoszulek z nadrukowanymi ananasami. Całą masą ananasów. Do tego różowo-fioletowe dżinsowe szorty. I balerinki w kratkę.

„Kim tu jestem? — zastanowiła się. — Prezenterką telewizyjnych programów dla dzieci?”

Krem z wysokim filtrem przeciwsłonecznym. Kolorowy balsam do ust z hibiskusem. Żadnych innych kosmetyków do makijażu.

Kiedy zakładała koszulkę, zauważyła kilka śladów na ramieniu. Blizny w kształcie kresek. Przez chwilę zastanawiała się, czy te rany zadała sobie sama. Tuż pod obojczykiem miała też tatuaż. Feniks i płomień. Tatuaż był

okropny. W tym życiu wyraźnie nie miała gustu. Ale od kiedy gust miał coś wspólnego ze szczęściem?

Ubrała się i wyjęła telefon z kieszeni szortów. Tutaj używała starszego modelu niż w życiu, w którym jako mężatka mieszkała nad pubem. Na szczęście do odblokowania wystarczył odcisk kciuka.

Opuściła szatnię i poszła ścieżką wzdłuż plaży. Dzień był ciepły. Może życie jest automatycznie lepsze, kiedy w kwietniu mocno świeci słońce. Wszystko tu wydawało się bujniejsze, bardziej kolorowe i żywsze niż w Anglii.

Zobaczyła papugę — lorysę górską — która siedziała na szczycie ławki, fotografowana przez turystów. Minął ją wyglądający na surfera rowerzysta z pomarańczowym smoothie w dłoni; uśmiechnął się i powiedział dosłownie: „d-bry”.

To na pewno nie było Bedford.

Nora zauważyła, że coś się dzieje z jej twarzą. Chyba... się uśmiechała (czy to możliwe, że potrafiła?). I to w sposób naturalny, a nie dlatego, że ktoś się tego po niej spodziewał.

Potem zauważyła graffiti na niskiej ścianie. Jeden z napisów głosił: „ŚWIAT PŁONIE”, a drugi — „JEDNA ZIEMIA = JEDNA SZANSA”. I wtedy jej uśmiech zniknął. Mimo wszystko inne życie nie oznaczało innej planety.

Nie miała pojęcia, gdzie mieszka, co tutaj robi ani dokąd zamierzała pójść po basenie, ale było w całej tej sytuacji jakieś poczucie wolności. Istnieć bez żadnych oczekiwań, nawet własnych. Kiedy szła, wpisała do wyszukiwarki swoje nazwisko i dodała „Sydney”, chcąc sprawdzić, czy dowie się o sobie czegoś z Internetu.

Zanim zerknęła na efekty, podniosła wzrok i zauważyła nadchodzącego w jej kierunku kolejnego uśmiechniętego mężczyznę. Niewysoki, opalony, o życzliwym spojrzeniu i długich rzedniejących włosach ściągniętych w luźny kucyk. Nosił koszulę, której nie zapiął prawidłowo.

— Witaj, Noro.

— Cześć — odpowiedziała, starając się nie wydawać zdezorientowana.

— O której dziś zaczynasz?

Jak mogła na to odpowiedzieć?

— Eee. Och. Cholera. Kompletnie zapomniałam.

Roześmiał się bez zdziwienia, jakby zapominanie było dla Nory typowe.

— Widziałem w harmonogramie. Zdaje mi się, że o jedenastej.

— Jedenastej rano?

Mężczyzna o życzliwych oczach znów się zaśmiał.

— Co ty paliłaś? Też chcę trochę tego.

— Cha, cha, cha. Nic — odrzekła sztywno. — Niczego nie paliłam. Po prostu nie jadłam jeszcze śniadania.

— No cóż, do zobaczenia wieczorkiem...

— Tak. Zobaczymy się w... Powiesz mi gdzie?

Znowu się zaśmiał, zmarszczył brwi i odszedł. Może pracowała na statkach, które wypływały z Sydney, i pokazywała turystom wieloryby. Może Izzy również.

Nie miała pojęcia, gdzie mieszka (lub mieszkają), a w Google niczego nie znalazła, uznała jednak, że raczej powinna się oddalić od oceanu. Może dom był niedaleko. Może chodziła tędy wcześniej. A może należał do niej jeden z rowerów przymocowanych przed knajpką obok pływalni. Przeszukała niedużą portmonetkę z zapięciem, a później kieszenie, ale znalazła tylko klucz od domu. Nie miała ani kluczy do samochodu, ani kluczyka od kłódki do roweru. Czyli docierała do domu autobusem lub pieszo. Na kluczu od drzwi domu nie było żadnych informacji, więc usiadła na ławce tyłem do słońca, które mocno świeciło jej w kark, i przejrzała esemesy.

Znalazła imiona osób, których nie znała.

Amy. Rodhri. Bella. Lucy P. Kemala. Luke. Lucy M.

„Kim są ci ludzie?”

Znalazła też zupełnie nieprzydatny kontakt nazwany po prostu: „Praca”.

A z „Pracy” otrzymała ostatnio tylko jedną wiadomość, która brzmiała: „Gdzie jesteś?”.

Wreszcie rozpoznała jakieś imię.

Dan.

Serce jej zamarło, gdy kliknęła na najnowszego esemesa od niego.

Hej, Nor! Mam nadzieję, że Australia dobrze cię traktuje. Zabrzmiało to ckliwie albo dziwacznie, ale zamierzam wyznać wszystko. Którejś nocy miałem sen o naszym pubie. To był taki fajny sen. Byliśmy bardzo szczęśliwi! Tak czy owak, zignoruj niesamowitość tej informacji, ważne jest coś innego. Zgadnij, dokąd lecę w maju? Właśnie do AUSTRALII. Pierwszy raz od ponad dziesięciu lat. W związku z pracą. Pracuję dla MCA. Wspaniale byłoby nadrobić zaległości, choćby tylko przy kawie, jeśli będziesz w okolicy. D x

To było tak dziwne, że Nora o mało się nie roześmiała. Zamiast tego zakaszła. (Pomyślała, że może wcale nie jest w tym życiu w tak dobrej formie, jak sądziła). Zastanowiła się, ilu jest na świecie takich Danów, którzy marzą o czymś, co znienawidzą, gdy rzeczywiście to osiągną. I jak wielu wtłacza inne osoby we własne iluzoryczne wyobrażenie o szczęściu?

Jedynym spośród mediów społecznościowych, w którym znalazła siebie, okazał się Instagram. Zamieszczała tam wyłącznie zdjęcia wierszy.

Przeczytała jeden z nich:

*OGIEŃ
Każdą swoją część
Która się zmieniła
Zdrapała
Z powodu śmiechu na szkolnym podwórku
Lub rad dorosłych
Dawno zapomnianych...
I bólu przyjaciół
Już nieżyjących.
Zebrała te kawałki z podłogi.
Jak wióry.
I zrobiła z nich paliwo.
Dla ognia.*

I zapłonął.

Wystarczająco jasny, więc wiecznie widoczny.

Tekst był niepokojący, lecz — mimo wszystko — był tylko wierszem. Gdy Nora przewijała e-maile, znalazła jeden napisany do Charlotte — flecistki zespołu ludowego, rubasznej dziewczyny, która była jej jedyną przyjaciółką w Teorii Strun, zanim postanowiła wrócić do Szkocji i wyjechała.

Cześć, Charl!

Mam nadzieję, że wszystko okej.

Cieszę się, że urodziny się udały. Szkoda, że nie mogłam się zjawić. W słonecznym Sydney wszystko w porządku. W końcu przeprowadzka do nowego mieszkania. Jest tuż przy plaży Bronte (pięknej). W pobliżu wiele kawiarni i widoczków. Mam też nową pracę.

Każdego ranka chodzę popływać w basenie ze słoną wodą, a co wieczór piję kieliszek australijskiego wina w promieniach słońca. Życie jest piękne!

Adres:

Darling Street 2/29

Bronte

NSW 2024

AUSTRALIA

Nora

X

Coś jej nie pasowało. Ten dziwaczny styl jakby pisała do dawno niewidzianej cioci. Wzmianka o licznych kawiarniach i widoczkach w sąsiedztwie przypominała recenzję z TripAdvisora. Nora nie rozmawiała w ten sposób ani z Charlotte, ani — tak naprawdę — z nikim innym.

W e-mailu nie było też żadnej wzmianki o Izzy. „W końcu przeprowadzka do nowego mieszkania”. Ale ja się przeprowadziłam czy my? Charlotte wiedziała o Izzy. Dlaczego Nora o niej nie wspomniała?

Cóż, wkrótce się dowie. I rzeczywiście, dwadzieścia minut później stała

w przedpokoju swojego apartamentu, wpatrując się w cztery pełne śmieci worki, które należało wynieść. Salon był mały i przygnębiający. Kanapa sfatygowana i stara. Lokal lekko śmierdział pleśnią.

Na ścianie wisiał plakat gry wideo *Angel*, na niskim stoliku leżał waporyzator z naklejką w kształcie liścia marihuany. Jakaś kobieta gapiła się w ekran komputera i strzelała w głowy atakującym zombie. Miała krótkie niebieskie włosy i przez chwilę Nora myślała, że to Izzy.

— Cześć — zagaiła.

Kobieta się odwróciła. To nie była Izzy. Miała senne oczy i pusty wyraz twarzy, jakby zombie, do których strzelała, czymś ją zaraziły. Prawdopodobnie była przyzwoitą osobą, ale Nora na pewno nigdy w życiu jej nie spotkała.

Uśmiechnęła się.

— Hej. Jak ci idzie z nowym wierszem?

— Och. No tak. Dobrze. Dzięki.

Zdezorientowana pokręciła się chwilę po mieszkaniu. Przypadkowo otworzyła jedne z drzwi i zdała sobie sprawę, że to łazienka. Nie musiała skorzystać w tej chwili z toalety, ale z pewnością potrzebowała spokoju i chwili na przemyślenie wszystkiego. Weszła więc, zamknęła za sobą drzwi, umyła ręce i patrzyła, jak woda spływa do otworu w kierunku przeciwnym, niż to się działo w Anglii.

Zerknęła na prysznic. Matowożółta zasłonka była brudna i przypominała tę z akademików. Tak, właśnie z tym skojarzyło się Norze to mieszkanie. Z domem studenckim. Miała trzydzieści pięć lat, a tu żyła jak studentka. Obok umywalki zobaczyła antydepresanty — fluoksetynę — i podniosła pudełko. W górnej części etykiety napisano, że środek został przepisany „N. Seed”. Spojrzała na swoje ramię i znów zobaczyła blizny. Dziwnie było szukać na własnym ciele wskazówek prowadzących do rozwiązania tajemnicy.

Na podłodze obok kosza leżał egzemplarz „National Geographic”. Numer z czarną dziurą na okładce, ten, który czytała w innym życiu, po drugiej

stronie świata, ledwie wczoraj. Wyczuła, że jest to jej czasopismo, biorąc pod uwagę, że zawsze lubiła je czytać, i była znana z kupowania go od czasu do czasu spontanicznie, ponieważ żadna wersja internetowa nigdy w odpowiedni sposób nie oddawała jakości fotografii.

Nora przypomniała sobie, że gdy miała jedenaście lat, w egzemplarzu swojego ojca oglądała zdjęcia Svalbardu, norweskiego archipelagu znajdującego się w Arktyce. Svalbard był rozległy, opuszczony i potężny, a ona zastanawiała się, jak by to było zamieszkać tam i niczym opisani w artykule naukowcy spędzać lato na badaniach geologicznych. Wycięła wtedy zdjęcia, które następnie wylądowały na tablicy korkowej w jej sypialni. I przez wiele lat w szkole bardzo się przykładała do nauk ścisłych i geografii, ponieważ chciała pójść w ślady naukowców z artykułu i spędzać każde lato wśród zamarzniętych gór i fiordów, z latającymi nad głową maskonurami.

Jednak po śmierci ojca i po przeczytaniu *Poza dobrem i złem* Nietzschego zdecydowała, że: a) filozofia jest chyba jedynym przedmiotem, który pasuje do jej nagłej intensywności wewnętrznej, i: b) bardziej chciała zostać gwiazdą rocka niż naukowcem.

*

Po wyjściu z łazienki wróciła do tajemniczej współlokatorki.

Usiadła na kanapie i czekała kilka chwil, obserwując.

Awatar kobiety został w końcu postrzelony w głowę.

— Spieprzaj, pochrzaniony zombie — warknęła radośnie kobieta w stronę ekranu.

Podniosła waporyzator. Nora zadała sobie pytanie, skąd zna tę kobietę. Zakładała, że są współlokatorkami.

— Myślałam o tym, co powiedziałaś.

— A co powiedziałam? — odpowiedziała pytaniem Nora.

— O opiece nad kotem. Pamiętasz, chciałaś się zaopiekować tamtym kotem?

- O tak. Pewnie. Pamiętam.
- Cholernie zły pomysł, stara.
- Naprawdę?
- Koty.
- Co z nimi?
- Mają pasożyty. Toksoplaz-coś.

Nora o tym wiedziała. Dowiedziała się, gdy jako nastolatka pracowała w bedfordzkim schronisku dla zwierząt.

— Toksoplazmoza.

— No właśnie... to! Słuchałam podcastu, wiesz... i tam była taka teoria, że międzynarodowa grupa miliarderów zakaża tą chorobą koty, a kiedy ludzie będą coraz głupszy, oni będą mogli przejąć władzę nad światem. Pomyśl o tym... koty są wszędzie. Rozmawiałam o tym z Jaredem i wtedy Jared spytał: „Jojo, co ty palisz?”. A ja na to: „Towar, który mi dałeś”, a on mówi: „Tak, wiem”. A potem powiedział mi o konikach polnych.

— O konikach polnych?

— Tak. Słyszałaś o nich? — zapytała Jojo.

— Co z nimi?

— One wszystkie same się zabijają. Ten pasożytniczy robak rośnie w nich, aż stanie się dorosłym stworzeniem wodnym, a wtedy przejmuje funkcje mózgu konika polnego. No i wówczas konik polny myśli: „Och, naprawdę bardzo lubię pływać”, nurkuje do wody, tonie i umiera. I to się dzieje przez cały czas. Wygoogluj to sobie. „Samobójstwa koników polnych”. Chodzi w każdym razie o to, że elity zabijają nas poprzez koty i nie powinnam przebywać blisko nich.

Norę zaskoczyło, jak bardzo to życie różni się od wersji, w której je sobie wyobraziła. Widziała siebie wraz z Izzy na łodzi w pobliżu Byron Bay, gdy zachwycały się wspaniałymi humbakami, a jednak znajdowała się tutaj, w małym pachnącym maryśką mieszkaniu w Sydney, ze współlokatorką, która

okazywała się zwolenniczką teorii spiskowych i nie pozwalała jej nawet zbliżyć się do kotów.

— Co się stało z Izzy?

Uprzytomniła sobie, że właśnie wypowiedziała to pytanie na głos.

Jojo wyglądała na zmieszaną.

— Izzy? Twoją starą przyjaciółką Izzy?

— Tak.

— Tą, która umarła?

Słowa padły tak szybko, że Nora początkowo nie zrozumiała ich sensu.

— Hm, że co?

— Pytasz o dziewczynę, która zginęła w wypadku samochodowym?

— Co takiego?

Jojo, za smużkami dymu, które owionęły jej twarz, wydawała się jeszcze bardziej skonfundowana.

— Nic ci nie jest, Noro? — Wyciągnęła jointa w jej stronę. — Chcesz się sztachnąć?

— Nie, dzięki, wszystko w porządku.

Jojo zachichotała.

— Pomoże ci.

Nora chwyciła za telefon. Włączyła przeglądarkę. Wpisała w pole wyszukiwania: „Isabel Hirsh”. Następnie kliknęła „Wiadomości”.

I tak, znalazła. Nagłówek. Nad zdjęciem uśmiechniętej opalonej twarzy Izzy.

BRYTYJKA GINIE W KOLIZJI DROGOWEJ W NOWEJ POŁUDNIOWEJ WALII

Ubiegłej nocy na Pacific Highway 33-letnia kobieta kierująca toyotą corollą zginęła, a trzy inne osoby trafiły do szpitala na południe od Coffs Harbour po zderzeniu samochodu z nadjeżdżającym z przeciwnego kierunku pojazdem.

Ofiara, zidentyfikowana jako obywatelka Wielkiej Brytanii nazwiskiem Isabel Hirsh, zmarła na miejscu wypadku tuż przed godziną 21:00. Toyotą jechała sama.

Według współlokatorki, Nory Seed, Isabel wracała z Sydney do Byron Bay, gdzie miała wziąć udział w urodzinach Nory. Isabel niedawno rozpoczęła pracę w Byron Bay, w centrum organizującym wycieczki połączone z obserwacją wielorybów.

„Jestem zdruzgotana — powiedziała pani Seed. — Przyleciałyśmy razem do Australii zaledwie przed miesiącem, a Izzy planowała zostać tutaj tak długo, jak będzie to możliwe. Była tak pełna życia, że nie sposób sobie wyobrazić świata bez niej. Bardzo się ekscytowała na myśl o nowej pracy. Cała sprawa jest tak nieznośnie smutna i trudna do zrozumienia”.

Obrażenia odnieśli wszyscy pasażerowie drugiego samochodu, a jego kierowcę — Chrisa Dale’a — trzeba było drogą powietrzną przetransportować do szpitala Baringa.

Policja z Nowej Południowej Walii prosi wszystkich świadków zdarzenia o kontakt i pomoc w dochodzeniu.

— O mój Boże — wyszeptała do siebie, czując, że robi jej się słabo. — Och, Izzy.

Wiedziała, że Izzy nie w każdym jej życiu jest martwa. A raczej że w większości z nich zapewne żyje. Ale w tym życiu tak właśnie wyglądała prawda, a rozpacz, którą Nora poczuła, też była prawdziwa. Żal był znajomy, przerażający i podszyty poczuciem winy.

Zanim zdążyła dokładnie wszystko przemyśleć, zadzwoniła jej komórka. Opis brzmiał: „Praca”.

W słuchawce odezwał się mężczyzna. Mówił powoli, przeciągając samogłoski.

— Gdzie jesteś?

— Co?

— Miałaś być pół godziny temu.

— Gdzie?

— Terminal promowy. Sprzedajesz tam bilety. Mam chyba dobry numer, prawda? Rozmawiam z Norą Seed?

— Z jedną z nich — westchnęła, a głos w słuchawce zaczął zanikać.

Akwarium

Bibliotekarka o przenikliwym spojrzeniu znów siedziała przy swojej szachownicy, a na widok Nory ledwie podniosła wzrok.

— Och, to było okropne.

Pani Elm uśmiechnęła się cierpko.

— Los po prostu ci pokazuje...

— Co mi pokazuje?

— No cóż, że możesz wybrać opcję, ale nie skutki. Ale podtrzymuję to, co powiedziałam. Wybór był dobry. Po prostu zabrakło pożądanego efektu.

Nora przyglądała się swojej rozmówczyni z uwagą. Czyżby kobiecie się to wszystko podobało?

— Dlaczego tam zostałam? — zapytała. — Dlaczego nie wróciłam do domu... od razu po śmierci Izzy?

Bibliotekarka wzruszyła ramionami.

— Utknęłaś. Rozpaczałaś. Byłaś w depresji. Wiesz, jak to jest z depresją.

Wiedziała. Przypominała sobie badanie, o którym gdzieś czytała. Dotyczyło ryb. Ryby są bardziej podobne do ludzi, niż większość z nas sądzi.

Miewają depresję. Naukowcy przeprowadzili testy na przedstawicielach gatunku o nazwie danio pręgowany. Na bocznej ścianie akwarium narysowali pisakiem poziomą linię, która od połowy schodziła w dół. Ryby w depresji pozostały poniżej linii. Ale wystarczyło podać tym samym rybom prozac i natychmiast wypływały nad kreskę, ku szczytowi akwarium, wystrzeliwując jak nowo narodzone.

Ryby wpadają w depresję, gdy brakuje im stymulacji. Gdy brakuje im czegoś realnego. Wtedy unoszą się tylko w zbiorniku.

Może po śmierci Izzy Australia stała się dla Nory takim pustym akwarium. Może Nora po prostu nie miała motywacji, żeby wypłynąć ponad linię.

I pewnie nawet prozac czy fluoksetyna nie pomogłyby jej się podnieść. Postanowiła więc zostać w tym mieszkaniu wraz z Jojo i zdecydowała, że się nie przeprowadzi, póki nie zostanie zmuszona do opuszczenia kraju.

Pewnie nawet samobójstwo było dla niej wtedy „zbyt intensywną” aktywnością. Być może w jednym czy drugim życiu Nora tylko się unosiła, nie oczekując niczego innego i nawet nie próbując czegoś zmienić. Może tak było w większości jej wcieleń.

— Tak — powiedziała teraz na głos. — Może utknęłam. Może w każdym życiu utknęłam. Może... może po prostu taka jestem. Rozgwiezda w każdym życiu wciąż pozostaje rozgwiezdą. Nie ma takiego życia, w którym rozgwiezda jest profesorem inżynierii kosmicznej. I może nie ma życia, w którym nie... utknęłam.

— Cóż, myślę, że się mylisz.

— No dobra. Chciałabym zatem spróbować życia, w którym nie utknęłam. Jakie by ono było?

— Czy nie ty powinnaś powiedzieć to mnie? — Pani Elm przesunęła królową, zbijając pionka, a potem odwróciła planszę. — Obawiam się, że jestem tylko bibliotekarką.

— Bibliotekarki mają dużą wiedzę. Kierują nas do właściwych książek. Do właściwych światów. Znajdują najlepsze miejsca. Jak ulepszona wyszukiwarka z duszą.

— Tak, zgadza się. Ale musisz także wiedzieć, co lubisz. Co chcesz wpisać w to metaforyczne pole wyszukiwania. I czasem, zanim będziesz mieć pełną jasność, musisz spróbować kilku... rzeczy.

— Nie dam rady, nie mam na to dość siły.

— Przekonasz się o tym tylko w jeden sposób — żyjąc.

— Dobrze. Więc kontynuujmy.

Westchnęła ciężko. Interesujące było odkrycie, że może w bibliotece zrobić wydech. Że czuje się absolutnie w swoim ciele. Że czuje się normalnie. Ponieważ to miejsce z pewnością normalne nie było. A „prawdziwa” fizyczna

ona wcale się tu nie znajdowała. Bo przecież nie mogła się tu znajdować! A jednak tu była, pod każdym względem. Stała na podłodze, jakby wciąż istniała grawitacja.

— No dobrze — powtórzyła. — Chciałabym takiego życia, w którym odnoszę sukcesy.

Pani Elm cmoknęła z dezaprobatą.

— Jak na kogoś, kto przeczytał sporo książek, nie dobierasz słów ze szczególną precyzją.

— Przepraszam.

— Sukces... Co on dla ciebie oznacza? Pieniądze?

— Nie... Może i tak. Ale nie są najważniejsze.

— No więc czym on jest?

Nora nie miała pojęcia, jak zdefiniować sukces, bo za długo postrzegала siebie jako porażkę.

Bibliotekarka uśmiechnęła się cierpliwie.

— Czy chciałabyś ponownie zajrzeć do *Księgi żalów*? Chciałabyś się zastanowić nad złymi decyzjami, które sprawiły, że nie osiągnęłaś tego, co uważasz za sukces?

Nora szybko pokręciła głową niczym otrząsający się z wody pies. Nie chciała się ponownie konfrontować z tą długą, ciągnącą się bez końca listą błędów i niewłaściwych wyborów. Była już dostatecznie przygnębiona. A poza tym wiedziała, czego żałuje. I wiedziała, że te żale nie znikną. To nie były ugryzienia przez komara. Będą jej zawsze doskwierać.

— Nie, nie będą — obruszyła się pani Elm, znów czytając jej w myślach. — Nie masz już do siebie pretensji o sposób opieki nad kotem. I nie żałujesz, że nie poleciałaś z Izzy do Australii.

Nora pokiwała głową. Tak, kobieta miała rację.

Przypomniała sobie, jak pływała w basenie przy plaży Bronte. Jak dobrze się wtedy czuła, jak dziwnie swojsko.

— Od najmłodszych lat zachęcano cię do pływania — podsunęła

bibliotekarka.

— Tak.

— Twój tato zawsze chętnie zabierał cię na basen.

— To była jedna z niewielu czynności, które go uszczęśliwiały — zadumała się Nora.

Pływanie kojarzyło jej się z aprobatą ojca, cieszyła się też ciszą, która łączyła się z pobytem w wodzie, ponieważ ta cisza stanowiła przeciwieństwo krzyczących na siebie rodziców.

— Dlaczego zrezygnowałaś? — zapytała pani Elm.

— Odkąd zaczęłam wygrywać zawody pływackie, stałam się znana, a wcale tego nie chciałam. Nie dość, że ludzie zwracali na mnie uwagę, to jeszcze wszyscy widzieli mnie ciągle w stroju kąpielowym, a ja, jak każda dziewczyna w tym wieku, miałam obsesję na punkcie swojej figury. Ktoś mi powiedział, że mam chłopięce ramiona. Nastolatki bardzo się przejmują takimi głupimi uwagami. Najbardziej chciałam wtedy być niewidzialna. Nazywano mnie też „rybą”. I to wcale nie był komplement. Byłam nieśmiała. Między innymi z tego właśnie powodu wolałam bibliotekę od areny sportowej. To niby drobiazg, ale fakt, że miałam takie miejsce, w którym dobrze się czułam, naprawdę mi pomógł.

— Nigdy nie należy lekceważyć wielkiego znaczenia drobiazgów — zgodziła się z nią pani Elm. — Zawsze musisz o tym pamiętać.

Wróciła pamięcią do czasów, gdy była nastolatką. Mieszanka nieśmiałości i obnażenia była kombinacją problematyczną, chociaż na szczęście nikt Nory nie prześladował, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy znali jej brata. A Joe, choć przecież nie należał do twardzieli, był chłopakiem lubianym i popularnym, dlatego szkolni tyrani nie zaczepiali jego siostry.

Nora wygrywała wyścigi najpierw podczas lokalnych, a następnie podczas krajowych zawodów, ale kiedy ukończyła piętnaście lat, cała sytuacja zaczęła ją przytłaczać. Również codzienne pływanie, basen za basenem, długość za długością.

— Musiałam to rzucić.

Bibliotekarka pokiwała głową.

— A więź, która do tamtej pory łączyła cię z ojcem, rozluźniła się, a później prawie całkowicie zniknęła.

— Mniej więcej tak.

Pamiętała twarz ojca siedzącego w samochodzie, w wilgotny od mżawki niedzielny poranek przed centrum rekreacyjnym w Bedford, gdy Nora powiedziała, że nie chce już brać udziału w zawodach. Pamiętała to spojrzenie pełne rozczarowania i głębokiej frustracji.

„Ale możesz odnieść sukces w życiu — zaproponował. Tak. Teraz to sobie przypomniała. — Nigdy nie zostaniesz gwiazdą pop, a tu masz realną szansę! Na wyciągnięcie ręki. Jeśli będziesz dalej trenowała, pojedziesz na olimpiadę. Wiem to”.

Była na niego zła, że to powiedział. Jakby istniała bardzo wąska ścieżka do szczęśliwego życia i taką właśnie on wybrał dla córki. Jakby Nora sama nie potrafiła zrobić ze swoim życiem niczego dobrego. Ale jako piętnastolatka nie umiała przewidzieć, jak bardzo będzie swojej decyzji żałowała i jak bardzo źle czuł się z tym jej ojciec, ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że Nora jest blisko realizacji marzenia.

To prawda, jej ojciec był człowiekiem trudnym.

Był też bardzo krytyczny wobec wszystkiego, co robiła, wobec wszystkiego, czego chciała, i wobec wszystkiego, w co wierzyła, o ile nie miało to związku z pływaniem, a poza tym Nora w jego obecności zawsze odnosiła wrażenie, że popełniła właśnie jakieś niewidzialne przestępstwo. Od czasu urazu więzadła, który zakończył jego karierę rugbisty, ojciec żywił szczere przekonanie, że wszechświat sprzysiągł się przeciwko niemu. A ją, swoją córkę — przynajmniej tak to czuła — uważał za część tego samego planu wszechświata. A od chwili na parkingu stała się dla niego tak naprawdę przedłużeniem bólu w lewym kolanie. Chodzącą raną.

Ale może ojciec wiedział, co się stanie. Może potrafił przewidzieć, że jeden

zał doprowadzi do drugiego, aż nagle Nora cała się nimi wypełni. Aż stanie się jedną wielką księgą żalów.

— No dobrze, pani Elm. Chcę wiedzieć, co wydarzyło się w tym życiu, w którym zrobiłam to, czego chciał ode mnie ojciec. W tym, w którym trenowałam tak ostro, jak tylko mogłam. W którym nigdy nie narzekałam na trening o piątej rano albo o dziewiątej wieczorem. W którym pływałam codziennie i ani przez chwilę nie myślałam o rezygnacji ze sportu. W którym nie zarzuciłam pływania na rzecz komponowania muzyki lub pisania niedokończonych nigdy powieści. W którym poświęciłam wszystko inne, składając to na ołtarzu kraula. W którym się nie poddałam. W którym zrobiłam wszystko, aby wziąć udział w igrzyskach olimpijskich. Proszę mnie zabrać tam, gdzie żyję takim właśnie życiem.

Przez chwilę myślała, że bibliotekarka nie zwróciła uwagi na jej krótkie przemówienie, ponieważ ciągle, marszcząc brwi, wpatrywała się w szachownicę, zastanawiając się, jak przechytryć samą siebie.

— Moją ulubioną figurą jest wieża — wyznała nagle kobieta. — Ta, na którą w swoim mniemaniu nie musimy uważać. Wydaje się taka prostolinijna. Mamy oko na królową, na skoczka czy gońca, ponieważ są podstępne. Ale często dopada nas akurat wieża. Prostota nigdy nie jest tym, czym się wydaje.

Nora zdała sobie sprawę, że pani Elm prawdopodobnie mówi nie tylko o szachach. Ale teraz półki się poruszały. Szybko jak pociągi.

— To życie, o które poprosiłaś — wyjaśniła bibliotekarka — jest trochę bardziej odległe od marzenia o posiadaniu pubu i od australijskiej przygody. Tamte były bliższe rzeczywistego życia. Ten przypadek obejmuje natomiast wiele różnych wyborów dokonanych w rozmaitych momentach w czasie. Dlatego książka znajduje się trochę dalej, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Biblioteki muszą posiadać jakiś system. — Książki zwolniły. — Ach, i już ją mamy.

Tym razem kobieta nie wstała. Po prostu uniosła lewą rękę i książka

poleciała w jej stronę.

— Jak pani to zrobiła?

— Nie mam pojęcia. Proszę, oto życie, o które prosisz. Zmykaj.

Nora wzięła książkę. Lekką, świeżą, w kolorze limonki. Otworzyła ją na pierwszej stronie. I tym razem uświadomiła sobie, że nie czuje absolutnie nic.

*Ostatnia aktualizacja, którą Nora opublikowała, zanim
znalazła się między życiem a śmiercią*

Tęsknię za moim kotem. Jestem zmęczona.

Życie pełne sukcesów

Spała.

Głęboko, bez snów, a teraz — dzięki dzwonkowi alarmu w telefonie — obudziła się i nie wiedziała, gdzie się znalazła.

Na ekranie telefonu przeczytała, że jest godzina 6:30. Dzięki poświacie z ekranu zauważyła obok łóżka włącznik światła. Po włączeniu okazało się, że przebywała w pokoju hotelowym. Był dość luksusowy, choć nijaki, raczej smutny, korporacyjny.

Na ścianie w ramie wisiał obraz, na wpół abstrakcyjne jabłko — a może gruszka — przywodzące na myśl styl Cezanne'a.

Obok łóżka stała w połowie pusta cylindryczna szklana butelka z niegazowaną wodą. Oraz nieotwarte pudełko kruchych ciastek. Obok leżało kilka zadrukowanych, zszytych razem kartek. Jakiś harmonogram.

Przejrzała go.

PLAN DLA NORRY SEED (OBE), MÓWCZYNI

KONFERENCJA WIOSENNA GULLIVER RESEARCH, INSPIRUJĄC SUKCES

8.45 Spotkanie z Priyą Navuluri (Gulliver Research), Rorym Longfordem (Celebrity Speakers) oraz J. w holu, hotel InterContinental.

9.00 Próba dźwięku.

9.05 Przegląd techniczny.

9.30 Nora poczeka w strefie dla VIP-ów albo obejrzy pierwszego mówcę

w sali konferencyjnej (J.P. Blythe, twórca aplikacji MeTime i autor książki *Twoje życie, twoje warunki*).

10.15 Prezentacja Nory.

10.45 Pytania od słuchaczy.

11.00 Spotkanie Nory z prasą i zaproszonymi gośćmi.

11.30 Zakończenie

„Nora Seed (OBE)”.

„Inspirując sukces”.

Tak zatem wyglądało życie, w którym odniosła sukces. No cóż, to było coś.

Zastanawiała się przez moment, kim jest „J” oraz te inne osoby, z którymi miała spotkać się w holu, a potem odłożyła kartki i wstała z łóżka. Miała dużo czasu. Dlaczego postanowiła wstać o 6:30? Może pływała każdego ranka? To miałoby sens. Nacisnęła guzik i zasłony rozsunęły się z cichym warkotem, odsłaniając widok na wodę, wieżowce i białą kopułę hali areny O2. Nora nigdy wcześniej nie widziała tak dokładnej panoramy z tego konkretnego kąta. Londyn. Canary Wharf. Jakieś dwadzieścia pięter nad ziemią.

Weszła do łazienki — beżowe płytki, wielka kabina prysznicowa, puszyste białe ręczniki — i uświadomiła sobie, że nie czuje się tak źle, jak zwykle w godzinach porannych. Połowę przeciwnej ściany wypełniało lustro. Na swój widok aż sapnęła. A potem się roześmiała. Wyglądała na tak absurdalnie zdrową. I silną. A poza tym w tym życiu miała okropny gust, jeśli chodzi o dobór bielizny nocnej (piżama, kratka, musztardowo-zielona).

Łazienka była dość duża. Na tyle duża, że Nora mogłaby wykonać na podłodze kilka pompek. Zrobiła dziesięć bez żadnej przerwy — nie podpierając się na kolanach — i nawet się nie zadyszała.

Potem oparła się na łokciach i trzymała pozycję. Następnie spróbowała tego

samego, lecz na jednej ręce. I na drugiej, z leciutkim drżeniem. Później wykonała kilka ćwiczeń „padnij–powstań”.

Żadnego problemu.

„No, no, no!”

Wstała i poklepała swój twardy jak kamień brzuch. Pamiętała, jak ciężko oddychała w swoim pierwotnym życiu, gdy ledwie wczoraj szła główną ulicą miasta.

Tak sprawna fizycznie jak teraz nie czuła się, odkąd była nastolatką. A tak wysportowana nie była chyba nigdy. Na pewno nigdy nie była tak silna.

Wyszukała na Facebooku „Isabel Hirsh” i dowiedziała się, że jej była najlepsza przyjaciółka żyje i nadal mieszka w Australii, co ją ogromnie ucieszyło. Nawet się nie przejęła, że nie są w mediach społecznościowych znajomymi, ponieważ było bardzo prawdopodobne, że w tym życiu Nora w ogóle nie zdawała na Uniwersytet Brytolski. A nawet jeśli tak, być może nie miała z Izzy żadnych wspólnych zajęć. Poczuli się odrobinę upokorzona, kiedy zdała sobie sprawę, że chociaż ta Isabel Hirsh być może nigdy nie spotkała Nory Seed, i tak robiła to samo, co w jej pierwotnym życiu.

Poszukała również Dana. Był (najwyraźniej) szczęśliwie żonaty z instruktorką fitness imieniem Gina. „Gina Lord (z d. Sharpe)”. Ślub wzięli na Sycylii.

Następnie wpisała w wyszukiwarkę: „Nora Seed”.

Z jej strony w Wikipedii (miała stronę w Wikipedii!) wynikało, że rzeczywiście wystąpiła na olimpiadzie. Na dwóch olimpiadach. I że specjalizowała się w stylu dowolnym. Zdobyła złoty medal na 800 metrów (z absurdalnie dobrym czasem osiem minut i pięć sekund) oraz srebrny na 400 metrów.

Zdarzyło się to, kiedy miała dwadzieścia dwa lata. Kolejny srebrny medal zdobyła w wieku dwudziestu sześciu lat, za udział w sztafecie 4 x 100 metrów. Jeszcze bardziej absurdalna wydała się informacja, że przez krótki czas do niej należał rekord świata na 400 metrów kraulem, który pobiła podczas

mistrzostw świata w sportach wodnych. Potem wycofała się z międzynarodowej rywalizacji.

„Przeszła na sportową emeryturę w wieku dwudziestu ośmiu lat”.

Teraz najwyraźniej pracowała dla BBC, relacjonując imprezy pływackie, pojawiła się też w teleturnieju „A Question of Sport”, napisała autobiografię pod tytułem *Toń albo płyń*, od czasu do czasu asystowała trenerowi reprezentacji kraju i nadal codziennie pływała przez dwie godziny.

Sporo pieniędzy przekazała na cele charytatywne — szczególnie wspierała fundację onkologiczną imienia Marii Curie — i zorganizowała charytatywne zawody pływackie wokół Brighton Pier na rzecz Marine Conservation Society. Odkąd wycofała się ze sportu, dwukrotnie przepłynęła kanał La Manche.

Znalazła też link do prelekcji TED, którą wygłosiła na temat wartości wytrzymałości i konsekwencji w sporcie, treningu i życiu. Miał ponad milion wyświetleń. Kiedy zaczęła go oglądać, miała wrażenie, że obserwuje kogoś innego. Ta kobieta była pewna siebie, natychmiast zjednywała sobie słuchaczy, miała świetną postawę, w trakcie mówienia uśmiechała się w naturalny sposób i sprawiała, że ludzie we właściwych chwilach uśmiechali się, śmiali, klaskali lub kiwali głowami.

Nora nigdy sobie nie wyobrażała, że mogłaby taka być, i chociaż przez moment próbowała zapamiętać, co robi jej tutejsza odpowiedniczka, szybko sobie uprzytomniła, że nie, nie ma mowy, nie będzie w stanie tak się zachowywać.

— Ludzie wytrwali nie różnią się od innych — mówiła druga Nora. — Jediną różnicą jest to, że mają przed sobą jasny cel i są zdeterminowani, aby ten cel osiągnąć. Wytrwałość i konsekwencja są niezbędne, jeśli chcemy pozostać skupieni w życiu, w którym stale coś nas rozprasza. Jest to umiejętność koncentracji na wykonywanym zadaniu, podczas gdy nasze ciało i umysł są na granicy, jest to zdolność ciągłej pracy nad sobą, pływania po torze, bez rozglądania się na boki, bez martwienia się, kto może nas wyprzedzić...

Kim do diabła była ta osoba?!

Nora pominęła fragment filmu, lecz kobieta wciąż przemawiała z pewnością siebie zaradnej Joanny d'Arc.

— Jeśli chcecie stać się kimś, kim nie jesteście, zawsze poniesiecie porażkę. Starajcie się pozostać sobą. Starajcie się wyglądać, działać i myśleć w sposób typowy dla siebie. Starajcie się być najprawdziwszą wersją samych siebie. Zaakceptujcie siebie. Udzielcie sobie wsparcia. Kochajcie siebie. Ciężko nad tym pracujcie. Ignorujcie tych, którzy z was kpią lub wyśmiewają. Większość plotek to zazdrość w przebraniu. Ciągłe pracujcie nad sobą. Bądźcie wytrwali i konsekwentni. Płynicie dalej...

— Płynicie dalej — wymamrotała Nora, powtarzając słowa swojego drugiego ja i zastanawiając się, czy w hotelu jest basen.

Film się skończył, a sekundę później zaczął brzęczeć jej telefon.

Na wyświetlaczu pojawiło się imię. „Nadia”.

W swoim oryginalnym życiu nie znała żadnej Nadii. Nie miała pojęcia, czy na widok tego imienia jej odpowiedniczkę w tym świecie ogarnęłoby radosne oczekiwanie czy raczej strach.

Mogła się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

— Halo?

— Kochanie — odezwał się głos, którego nie rozpoznała. Głos, który sugerował zażyłość, lecz nie do końca był ciepły. Kobieta mówiła z akcentem. Być może rosyjskim. — Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

— Cześć, Nadiu. Dzięki. Tak, w porządku. Jestem w hotelu. Przygotowuję się do konferencji. — Siliła się na wesoły ton.

— O tak, konferencja. Piętnaście tysięcy funtów za wykład. Brzmi dobrze.

Dla Nory brzmiało to absurdalnie. Zastanowiła się jednak, skąd Nadia — kimkolwiek jest — o tym wie.

— O tak.

— Joe nam powiedział.

— Joe?

— Tak. No dobra, słuchaj, muszę z tobą porozmawiać o urodzinach waszego ojca.

— Co?

— Wiem, że bardzo by chciał, żebyś przyszła i się z nami spotkała.

Całe jej ciało zrobiło się zimne i słabe, jakby zobaczyła ducha. Pamiętała pogrzeb ojca, pamiętała, jak przytulali się z bratem, wypłakując się sobie w ramię.

— Mój tato?

„Mój tato. Mój nieżyjący tato”.

— Właśnie przyszedł z ogrodu. Chcesz z nim porozmawiać?

To pytanie było tak niezwykle, tak wstrząsające, że zupełnie nie pasowało do tonu głosu kobiety. Powiedziała to od niechcienia, prawie tak, jakby mówiła o normalnej sytuacji.

— Co?

— Czy chcesz porozmawiać z tatą?

Potrzebowała chwili. To pytanie wytrąciło ją z równowagi.

— Ja...

Ledwo mogła mówić. Ledwo mogła oddychać. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Cała sprawa wydawała się nierealna. Niczym podróż w czasie. Jakby Nora cofnęła się o dwadzieścia lat.

Zanim zdążyła udzielić odpowiedzi, Nadia powiedziała:

— Oto i on...

Nora o mało się nie rozłączyła. Może powinna. Ale tego nie zrobiła. Teraz, kiedy odkryła, że jest to możliwe, musiała znów usłyszeć jego głos.

Najpierw jednak usłyszała jego oddech.

A potem:

— Cześć, Noro, jak się miewasz?

Tak po prostu. Tonem swobodnym, ogólnym, codziennym. To był ojciec. Jego głos. Jego silny głos, który zawsze brzmiał tak szorstko. Choć może teraz

był nieco wyższy, może trochę słabszy. Głos o piętnaście lat starszy, niż powinien być.

— Tato — wydukała. Jej głos był oszołomionym szeptem. — To ty.

— Wszystko w porządku, Noro? A może to zakłócenia na linii? Mam włączyć FaceTime?

FaceTime. Zobaczyłaby jego twarz. Nie, nie. To by było za dużo. To już było dla niej za dużo. Sam pomyślił, że istnieje wersja ojca, która żyła po wynalezieniu aplikacji FaceTime... Jej ojciec należał do świata telefonów stacjonarnych. Zanim zmarł, ledwie przekonał się do tak radykalnych wynalazków, jak e-maile czy esemesy.

— Nie — odrzekła. — To moja wina. Właśnie o czymś myślałam. Jestem trochę nieobecna. Przepraszam. Co u ciebie?

— Świetnie. Wczoraj zabraliśmy Sally do weterynarza.

Założyła, że Sally jest psem. Jej rodzice nigdy nie mieli psa ani żadnego innego zwierzaka. Nora, gdy była mała, błagała o psa lub kota, ale ojciec zawsze odpowiadał, że zwierzę człowieka ogranicza.

— Co jej było? — zapytała, starając się mówić naturalnym tonem.

— Znowu uszy. Ta infekcja wciąż powraca.

— No tak — stwierdziła, jakby znała Sally i jej problem z uszami. — Biedna Sally. Ja... Kocham cię, tato. I po prostu chciałam ci to powiedzieć...

— Wszystko dobrze, Noro? Wydajesz się trochę... rozemocjonowana.

— Po prostu nie... nie mówiłam ci tego wystarczająco często. Chcę tylko, żebyś wiedział, że cię kocham. Jesteś dobrym ojcem. A w innym życiu... w tym, w którym porzuciłam pływanie... bardzo tego żałowałam.

— Noro?

Czuła się dziwnie, pytając go o cokolwiek, ale musiała wiedzieć. Pytania zaczęły z niej tryskać jak woda z gejzeru.

— Dobrze się czujesz, tato?

— Dlaczego miałyby być inaczej?

— Po prostu. No wiesz... Martwiły cię kiedyś bóle w klatce piersiowej.

— Nie miałem ich, odkąd wyzdrowiałem. To było lata temu. Pamiętasz? Dostałem fioła na punkcie dbania o zdrowie. Tak się dzieje, gdy człowiek przebywa w towarzystwie olimpijczyków. Wróciłem do gry w rugby. Od szesnastu lat nie popijam. Lekarz mówi, że mam niski cholesterol i dobre ciśnienie krwi.

— Tak, oczywiście... Pamiętam fioła na punkcie zdrowia. — Potem przyszło jej do głowy kolejne pytanie. Ale nie miała pojęcia, jak je sformułować, spytała więc wprost:

— Od jak dawna jesteś z Nadią?

— Masz problemy z pamięcią?

— Nie. No cóż, może. Dużo ostatnio myślałam o życiu.

— Jesteś teraz filozofką?

— No cóż, studiowałam filozofię.

— Kiedy?

— Nieważne. Po prostu nie mogę sobie przypomnieć, jak ty i Nadia się poznaliście.

Usłyszała w telefonie dziwne westchnienie. Odpowiedział krótko:

— Wiesz, jak się poznaliśmy... Dlaczego znów poruszasz ten temat? Terapeuta ci to zalecił? Wiesz, co o tym myślę.

„Mam terapeutę”.

— Przepraszam, tato.

— Nic nie szkodzi.

— Chcę po prostu mieć pewność, że jesteś szczęśliwy.

— Oczywiście, że jestem. Moja córka jest mistrzynią olimpijską i wreszcie znalazłem miłość życia. Ty znów stajesz na nogi. To znaczy, psychicznie, wiesz. Po Portugalii.

Nora chciała wiedzieć, co się wydarzyło w Portugalii, ale najpierw zapytała:

— Co z mamą? Czy ona nie była miłością twojego życia?

— Dawno, dawno temu była. Ale wszystko się zmienia, Noro. Daj spokój, jesteś dorosła.

— Ja...

Przełączyła rozmowę na tryb głośnomówiący. Wróciła do swojej strony w Wikipedii. Rzeczywiście, jej rodzice rozwiedli się po tym, jak jej ojciec wdał się w romans z Nadią Wanko, matką ukraińskiego pływaka, Jegora Wanko. W tym życiu matka Nory zmarła w 2011 roku.

A wszystko to stało się dlatego, że Nora nigdy nie siedziała w samochodzie na parkingu w Bedford i nie powiedziała ojcu, że nie chce zostać zawodową pływaczką.

Znów miała to uczucie. Jakby zniknęła. Jakby dochodziła do wniosku, że i to życie nie jest dla niej i powoli wracała do biblioteki. Pozostała jednak na miejscu. Pożegnała się z ojcem, zakończyła rozmowę telefoniczną i dalej czytała o sobie.

Pozostała singielką, chociaż wcześniej przez trzy lata była w związku z amerykańskim zdobywcą medalu olimpijskiego w skokach do wody, Scottem Richardsem, i przez krótki czas mieszkała z nim w Kalifornii, a dokładnie w La Jolla w San Diego. Teraz mieszkała w zachodnim Londynie.

Po przeczytaniu całej strony odłożyła telefon i postanowiła się dowiedzieć, czy w hotelu jest basen. Chciała robić to, co robiłaby w tym życiu, a w tym życiu często pływała. Może woda pomoże jej skupić się na tym, co mogłaby powiedzieć w swojej prelekcji.

Pływało jej się cudownie. W dalszym ciągu nie miała pomysłu, o czym będzie mówić, ale na pewno uspokoiła się po rozmowie z nieżyjącym ojcem. Miała cały basen dla siebie, sunęła w tę i z powrotem stylem klasycznym i nie musiała się na tym skupiać. Czuła się wysportowana, silna, pływała z wielką biegłością, co było niezwykle stymulujące i na jakiś czas przestała się martwić o ojca i konieczność wygłoszenia prelekcji, do której nie była przygotowana.

Ale w miarę jak pływała, jej nastrój się zmieniał. Myślała o latach, które ojciec zyskał, i o tych, które straciła matka, a kiedy się nad tym zastanawiała, była coraz bardziej wściekła na ojca, a to z kolei sprawiało, że pływała coraz szybciej. Zawsze sobie wyobrażała, że rodzice są zbyt dumni, by się rozwieść,

więc zamiast tego dusili w sobie wzajemne urazy, przerzucając winę na dzieci, w szczególności na nią, Norę. A pływanie i sukcesy z nim związane stanowiły jedyny sposób zdobycia ich aprobaty.

Tu, w tym życiu, zdecydowała się na karierę, która miała ojca uszczęśliwiać, więc poświęciła własne relacje, miłość do muzyki, wszelkie marzenia poza tymi, które mogły przynieść medale... Poświęciła własne życie! A ojciec odpłacił jej romanssem z Nadią, porzuceniem matki i oschłymi, zdawkowymi rozmowami. Po tym wszystkim!

Pieprzyć go. A przynajmniej tę jego wersję.

Kiedy zmieniła styl na kraula, zdała sobie sprawę, że nie z jej winy rodzice nigdy nie byli w stanie pokochać jej tak, jak rodzice powinni kochać dziecko: bezwarunkowo. Nie z jej winy matka koncentrowała się na każdej skazie córki, począwszy od asymetrycznych uszu. Nie. Wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej. Podstawowy problem polegał na tym, że Nora pojawiła się w życiu rodziców, kiedy ich małżeństwo było kruche. Matka wpadła wówczas w depresję, a ojciec wrócił do szklaneczek whisky single malt.

Przepłynęła jeszcze trzydzieści długości i dopiero wtedy jej umysł się uspokoił i zaczęła czuć się wolna. Była tylko ona i woda.

Kiedy w końcu wyszła z basenu i wróciła do pokoju hotelowego, ubrała się w jedyne czyste ubranie, jakie znalazła w pomieszczeniu (elegancki granatowy kostium ze spodniami), i zapatrzyła się we wnętrze swojej walizki. Czuła emanującą z niej głęboką samotność. Była tam kopia jej własnej książki. Autorka, ubrana w strój kąpielowy reprezentacji Wielkiej Brytanii, patrzyła z okładki z determinacją w stalowych oczach. Nora podniosła „swoje” dzieło i zobaczyła dopisek drobnym drukiem — „książka została napisana wspólnie z Amandą Sands”.

Wpisała nazwisko do wyszukiwarki internetowej i dowiedziała się, że Amanda Sands jest „współautorką książek napisanych przez wielu celebrytów sportowych”.

Potem spojrzała na zegarek. Czas zjechać do holu.

*

Stały tam, wyraźnie na nią czekając, dwie elegancko ubrane osoby, których nie rozpoznała, oraz mężczyzna, którego znała z całą pewnością — w tym życiu jej brat miał na sobie garnitur i był gładko ogolony, nosił włosy z przedziałkiem z boku i wyglądał poważnie, ale był tym samym Joem. Nie zmieniły się jego ciemne, krzaczaste brwi, które ich matka nazywała „włoskim dziedzictwem”.

— Joe?

Co więcej, uśmiechał się do niej. Wielkim, braterskim, prostoliniowym uśmiechem.

— Dzień dobry, siostra — mruknął zaskoczony i trochę zakłopotany, ponieważ tak długo go ścisłała.

Kiedy wypuściła go z objęć, przedstawił jej dwie osoby, z którymi stał.

— To Priya z Gulliver Research, firmy, która organizuje tę konferencję, a to jest Rory z Celebrity Speakers.

— Cześć, Priya! — powiedziała Nora. — Cześć, Rory. Miło was poznać.

— Tak — odrzekła Priya z uśmiechem. — Ogromnie się cieszymy, że jesteś.

— Mówisz tak, jakbyśmy się nigdy wcześniej nie spotkali! — wytknął jej Rory i głośno się zaśmiał.

Nora się cofnęła.

— Tak, wiem, że się spotkaliśmy, Rory. To tylko mój mały żarcik. Znasz moje poczucie humoru.

— Masz poczucie humoru?

— Dobrze, Rory, naprawdę dobrze!

— W porządku — wtrącił się Joe, patrząc na nią z uśmiechem. — Chcesz zobaczyć przestrzeń?

Co do niej, nie mogła się przestać uśmiechać. Oto był jej brat. Jej brat, którego nie widziała od dwóch lat i z którym od znacznie dłuższego czasu nie

łączyły jej dobre relacje, a który teraz wyglądał na zdrowego, zadowolonego człowieka, kogoś, kto... naprawdę ją lubił.

— Przestrzeń?

— Tak. Salę. Pomieszczenie, w którym odbędzie się prelekcja.

— Wszystko jest przygotowane — dorzuciła usłużnie Priya.

— Cholernie duży pokój — dodał z aprobatą Rory, trzymając w dłoniach papierowy kubek z kawą.

Więc Nora się zgodziła i pozostali zaprowadzili ją do ogromnej niebieskiej sali konferencyjnej z szeroką sceną i mniej więcej tysiącem pustych krzeseł. Podszedł do niej technik w czarnym kombinezonie i zapytał:

— Co pani woli? W kłapie, zestaw słuchawkowy czy do ręki?

— Przepraszam, co takiego?

— Pytam o rodzaj mikrofonu.

— Ach tak!

— Słuchawki — wtrącił się w imieniu Nory jej brat.

— Właśnie — zgodziła się. — Zestaw słuchawkowy.

— Tak sobie pomyślałem — wyjaśnił Joe — po tym koszmarze, jaki mieliśmy z mikrofonem w Cardiff.

— Dokładnie. Co za koszmar.

Priya uśmiechała się do niej, najwidoczniej chcąc o coś zapytać.

— Mam rację, sądząc, że nie masz żadnych multimediiów? Ani slajdów, ani niczego innego?

— Hm, no...

Jej brat i Rory patrzyli na nią trochę zaniepokojeni.

Było to wyraźnie pytanie, na które Nora powinna znać odpowiedź, ale nie znała.

— Tak — powiedziała, a potem zobaczyła minę brata. — To znaczy... nie. Tak, nie mam. Nie mam żadnych materiałów multimedialnych.

A oni wszyscy spojrzeli na nią w taki sposób, jakby nie była całkiem zdrowa, lecz Nora po prostu nie przestawała się uśmiechać.

Herbata miętowa

Dziesięć minut później siedziała sama z bratem w pomieszczeniu, które nazywano „biznesowym salonikiem dla VIP-ów”, choć był to tylko mały, duszny pokój z kilkoma krzesłami i stolikiem, na którym leżały dzisiejsze gazety. Paru odzianych w garnitury mężczyzn w średnim wieku pisało na klawiaturach swoich laptopów.

W tym momencie Nora zrozumiała, że brat jest jej menedżerem. I że jest jej menedżerem od siedmiu lat, czyli od momentu, gdy zrezygnowała z profesjonalnego pływania.

— Odpowiada ci to wszystko? — zapytał Joe. Trzymał dwa napoje, które przyniósł z automatu.

Rozerwał saszetkę z torebką herbaty. A właściwie mięty pieprzowej. Włożył saszetkę do kubka z gorącą wodą.

Następnie wręczył kubek Norze.

Nigdy w życiu nie piła herbaty miętowej.

— To dla mnie?

— Tak. Jedyna ziołowa, jaką tu mają.

Sobie przyniósł kawę, której Nora skrycie pragnęła. Ale być może w tym życiu nie uznawała kofeiny.

„Odpowiada ci to wszystko?”

— Czy co mi odpowiada? — zastanowiła się na głos.

— Prezentacja. Dzisiejsza.

— A no tak, hm. Jak długo tym razem?

— Czterdzieści minut.

— Jasne.

— To dużo forsy. Negocjowałem od dziesięciu.

— Jesteś w tym bardzo dobry.

— Cóż, zarabiam dwadzieścia procent. Żadne poświęcenie.

Nora próbowała wymyślić, w jaki sposób dotrzeć do ich wspólnej przeszłości. Jak się dowiedzieć, dlaczego w tym życiu siedzieli naprzeciwko siebie i tak dobrze się dogadywali? Być może chodziło o pieniądze, chociaż one nigdy Joego jakoś szczególnie nie motywowały. Tak, w jej pierwotnym życiu brat rozgniewał się na nią, gdy zerwała umowę z wytwórnią, ale stało się to dlatego, że chciał do końca życia grać na gitarze w The Labyrinths i zostać gwiazdą rocka.

Po kilkukrotnym zanurzeniu zostawiła torebkę z herbatą w wodzie.

— Zastanawiałeś się kiedyś, jak inaczej mogłoby się potoczyć nasze życie? Gdybym na przykład w młodości porzuciła pływanie?

— Nieszczególnie.

— Chodzi mi o to, co twoim zdaniem byś robił, gdybyś nie był moim menedżerem?

— Wiesz, opiekuję się też innymi osobami.

— No tak, oczywiście, że o tym wiem. Oczywiście...

— Przypuszczam, że prawdopodobnie gdyby nie ty, nie zająłbym się tym. To znaczy, wiesz, byłaś pierwsza. A potem przedstawiłaś mnie Kaiowi, później Natalie. W końcu Eli, tak że...

Pokiwała głową, jakby miała pojęcie, kim są Kai, Natalie i Eli.

— To prawda, ale może znalazłbyś dla siebie inną drogę.

— Kto wie? A może nadal tkwiłbym w Manchesterze, nie wiem.

— W Manchesterze?

— Tak. Pamiętasz, jak bardzo mi się tam podobało. Na uniwersytecie.

Naprawdę trudno było jej nie wyglądać na zaskoczoną faktem, że jej brat, ten, z którym się tutaj dogadywała i z którym współpracowała, na dodatek coś studiował. W jej głównym życiu Joe zdał wprawdzie maturę i złożył podanie o przyjęcie na wydział historii w Manchesterze, ale nie miał wystarczająco wysokiej średniej — prawdopodobnie dlatego, że wcześniej był zbyt zajęty

ćpaniem co wieczór z Ravim. A potem zdecydował, że w ogóle nie chce studiować.

Porozmawiali jeszcze trochę.

W pewnym momencie uwagę brata rozproszył dzwonek telefonu.

Nora zauważyła, że na wygaszaczu ekranu Joe ma zdjęcie rozpromienionego, przystojnego, uśmiechniętego mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziała. Dostrzegła też obrączkę na palcu brata i przybrała neutralny wyraz twarzy.

— Jak tam życie żonkosia?

Joe się uśmiechnął. To był uśmiech naprawdę szczęśliwego człowieka. Nora od lat nie widziała, żeby brat tak się uśmiechał. W jej pierwotnym życiu zawsze miał pecha w miłości. Choć wiedziała, że jest gejem, odkąd był nastolatkiem, aż do dwudziestego drugiego roku życia oficjalnie się nie ujawnił. I nigdy nie przytrafił mu się szczęśliwy czy długoterminowy związek. Poczula się winna, że jej życie ma moc kształtowania życia brata w tak znaczący sposób.

— Och, znasz Ewana. Ewan to Ewan.

Odpowiedziała uśmiechem, jak gdyby wiedziała, kim jest i jaki dokładnie jest ów Ewan.

— Tak. Jest wspaniały. Bardzo się cieszę waszym szczęściem.

Joe się roześmiał.

— Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. A mówisz tak, jakbyśmy dopiero co się poznali.

— Nie, czasami po prostu myślę o was i cieszę się, że jesteście taki zakochani. I szczęśliwy.

— On chce psa. — Spojrzał na nią z uśmiechem. — O to się obecnie spieramy. To znaczy, nie mam nic przeciwko psom. Ale wolałbym wziąć jakiegoś biedaka ze schroniska. Nie chcę cholernego maltipoo ani bichona. Chcę wilka! Prawdziwego psa.

Nora pomyślała o Wolterze.

— Zwierzak zapewnia dobre towarzystwo...

— Tak. Chciałabyś mieć psa?

— Tak. Albo kota.

— Koty są zbyt nieposłuszne — oznajmił w stylu Joego, jakiego pamiętała.

— A psy znają swoje miejsce.

— Nieposłuszeństwo jest prawdziwym fundamentem wolności. Posłuszni muszą być niewolnikami.

Wyglądał na zakłopotanego.

— Skąd ci się to wzięło? Czy to cytat?

— Tak. Z tekstów Henry’ego Davida Thoreau. Mojego ulubionego filozofa.

— Od kiedy to interesujesz się filozofią?

Jasne! W tym życiu nigdy nie ukończyła filozofii. Podczas gdy „pierwotna Nora” czytała prace Thoreau, Lao Tzu i Sartre’a w śmierdzącym studenckim mieszkaniu w Bristolu, jej obecna postać stała na podium igrzysk olimpijskich w Pekinie. Co dziwne, gdy Nora myślała o tej wersji siebie, która nigdy nie zakochała się w prostym pięknie esejów z tomu *Walden, czyli życie w lesie* Thoreau albo w stoickich *Rozmyślaniach* Marka Aureliusza, poczuła smutek, tak samo jak współczuła wersji, która nigdy nie wykorzystwała potencjału mistrzyni olimpijskiej.

— Och, nie wiem... Po prostu natknęłam się w Internecie na jakieś jego teksty.

— Aha. Świetnie. Sprawdzę go. Możesz co nieco wprowadzić do swojej prelekcji.

Nora poczuła, że blednie.

— Eee... myślałam, że może zrobię dziś coś innego niż zwykle. Mogłabym trochę poimprowizować.

Improwizacja była, mimo wszystko, umiejętnością, którą praktykowała.

— Którejś nocy widziałem wspaniały dokument o Grenlandii. Przypomniało mi się, że kiedyś miałś fioła na punkcie Arktyki, wycinałaś wszystkie zdjęcia niedźwiedzi polarnych i tym podobne.

— Tak. Pani Elm mówiła, że najlepszym sposobem, by zostać arktycznym odkrywcą, jest zawód glaciologa. Wtedy chciałam zostać glaciolożką.

— Pani Elm — wyszeptał. — Brzmi znajomo.

— Szkolna bibliotekarka.

— No właśnie. Kiedyś prawie mieszkałaś w tej bibliotece, zgadza się?

— Prawie.

— Tylko pomyśl, gdybyś porzuciła pływanie, byłabyś teraz na Grenlandii.

— Na Svalbardzie — powiedziała.

— A cóż to takiego?

— Norweski archipelag. Na Oceanie Arktycznym.

— No dobra, więc w Norwegii. Tam byś była.

— Może. A może po prostu nadal tkwiłabym w Bedford. Kręcąc się bez celu. Bezrobotna. Walcząca o pieniądze na czynsz.

— Nie świruj. Zawsze robiłabyś coś znaczącego.

Uśmiechnęła się na myśl o naiwności starszego brata.

— W niektórych moich wcieleniach może nawet się nie dogadujemy.

— Bzdury.

— Mam nadzieję, że tak.

Przez chwilę Joe wydawał się trochę nieswój i wyraźnie postanowił zmienić temat.

— Hej, zgadnij, kogo widziałem pewnego dnia?

Nora wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że wymieni osobę, którą znała.

— Ravięgo. Pamiętasz go?

Pomyślała o Ravim, który ledwie wczoraj beształ ją w kiosku.

— No tak. Ravi...

— Cóż, po prostu na niego wpadłem.

— W Bedford?

— Cha, cha! Boże, nie. Nie byłem tam przecież od lat. Spotkałem go na stacji Blackfriars. Kompletny przypadek. Nie widziałem go, ile... ponad dziesięć lat! Co najmniej. Chciał wejść do jakiegoś pubu. Wytłumaczyłem mu,

że jestem teraz abstynentem, a później poczułem potrzebę wyjaśnienia, że byłem wcześniej alkoholikiem. I tak dalej. Że od lat nie wypilem nawet kieliszka wina ani nie sztachnałem się jointem. — Nora kiwnęła głową, jakby nie usłyszała tej sensacyjnej informacji po raz pierwszy. — Dokładnie od czasu, gdy wpadłem w tarapaty po śmierci mamy. Pewnie sobie pomyślał: „Kim, u diabła, jest teraz ten facet?”. Ale nic nie powiedział. Zachował się całkiem spoko. Pracuje jako kamerzysta. Nadal na boku robi muzykę. Nie rocka. Raczej jest didżejem. Pamiętasz zespół, który mieliśmy przed laty, ja i on? The Labyrinths?

Coraz łatwiej było udawać roztargnienie.

— A tak. The Labyrinths. Oczywiście. Powiew przeszłości.

— Tak. Mam wrażenie, że on bardzo tęskni za tamtymi czasami. Chociaż byliśmy tragiczni, a ja nie umiem śpiewać.

— Tak? A zastanawiałeś się kiedykolwiek, co by było, gdyby zespół The Labyrinths stał się sławny?

Roześmiał się trochę smutno.

— Nie wiem, czy to było możliwe.

— Może potrzebowaliście dodatkowej osoby. Grałam na klawiszach, które mama i tato ci kupili.

— Serio? Kiedy miałaś na to czas?

Życie bez muzyki. Życie bez czytania książek, które kochała.

Ale także: życie, w którym łączyły ją dobre stosunki z bratem. Życie, w którym go nie zawiodła.

— Tak czy inaczej, Ravi chciałby się spotkać. I nadrobić zaległości. Pracuje tylko o jeden przystanek metra stąd. Więc powiedział, że spróbuje przyjść na prezentację.

— Co? Och. To jest... Wolałabym, żeby nie przychodził.

— Dlaczego?

— Po prostu nigdy tak naprawdę go nie lubiłam.

Joe zmarszczył brwi.

— Poważnie? Nie pamiętam, żebyś o tym mówiła... Ravi jest w porządku. To dobry chłopak. Może trochę obibok, może trochę tkwi w przeszłości, ale wygląda na to, że całkiem nieźle sobie radzi...

Norę ogarnął niepokój.

— Joe?

— Tak.

— Słuchaj, wtedy, kiedy umarła mama...?

— Tak?

— Gdzie ja wtedy byłam?

— Co masz na myśli? Wszystko w porządku, siostrze? Czy nowe tabletki działają?

— Tabletki?

Otworzyła torbę i zaczęła w niej szperać. Zobaczyła mały pojemniczek ze środkami przeciwdepresyjnymi. Serce w niej zamarło.

— Po prostu chciałam wiedzieć. Czy często widywałam się z mamą, zanim umarła?

Brat zmarszczył brwi. Nadal był tym samym Joem. Wciąż nie potrafił odgadnąć, co myśli jego siostra. Wciąż chciał uciekać od rzeczywistości.

— Wiesz, że nas tam nie było. To się stało tak szybko. Nie powiedziała nam, jak bardzo była chora. Chroniła nas przed tą wiedzą. A może nie chciała, żebyśmy kazali jej przestać pić.

— Pić? Mama piła?

Joe wyglądał teraz na jeszcze bardziej zmartwionego.

— Siostrze, masz amnezję? Odkąd pojawiła się Nadia, mama wypijała codziennie butelkę ginu.

— Tak. Jasne. Pamiętam.

— Poza tym, miałaś przed sobą Mistrzostwa Europy i nie chciała ci przeszkadzać...

— Jezu. Powinnam tam być. Jedno z nas powinno tam być, Joe. Oboje...

Na jego twarzy nagle pojawiło się zdumienie.

— Nigdy nie byłaś szczególnie blisko z mamą, prawda? Więc dlaczego teraz, tak nagle...

— Zbliżyłam się do niej. To znaczy, zrobiłabym to, gdyby...

— Przerażasz mnie. Nie jesteś sobą.

Pokiwała głową.

— Tak, ja... po prostu... Tak, myślę, że masz rację... Myślę, że to tylko od tych tabletek...

Pamiętała, jak matka podczas swoich ostatnich miesięcy mówiła: „Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła”. Prawdopodobnie to samo mówiła Joemu. Ale w tym życiu matka nie miała przy sobie żadnego z nich.

Wtedy do pomieszczenia weszła Priya. Uśmiechała się, ściskając w jednej dłoni telefon, a w drugiej coś w rodzaju podkładki do pisania.

— Już czas — oznajmiła.

Drzewo, które jest naszym życiem

Pięć minut później Nora znajdowała się z powrotem w wielkiej hotelowej sali konferencyjnej. W pomieszczeniu było przynajmniej tysiąc osób. Pierwszy mówca kończył prezentację. To był autor *Od zera do bohatera*, książki, którą w innym życiu miał przy swoim łóżku Dan. Ale Nora, siedząc na zarezerwowanym dla niej miejscu w pierwszym rzędzie, właściwie nie słuchała. Była zbyt zdenerwowana sprawą matki, zbyt przejęta prelekcją, którą sama miała wygłosić, więc jedynie wychwytywała różne słowa lub frazy, które pojawiały się w jej umyśle jak grzanki w zupie minestrone: „mało znany fakt”, „ambicja”, „co może państwa zaskakiwać”, „jeśli potrafię to zrobić”, „przyjmować cięgi”.

W tej sali trudno było oddychać, bo unosił się zapach pizmowych perfum i nowej wykładziny.

Nora próbowała zachować spokój.

Pochyliła się do brata i wyszeptała:

— Chyba nie dam rady tego zrobić.

— Czego?

— Myślę, że mam atak paniki.

Spojrzał na nią i chociaż się uśmiechał, w jego oczach dostrzegła bezwzględność, którą pamiętała z innego życia, kiedy rzeczywiście zaczęła panikować przed jednym z ich pierwszych koncertów The Labyrinths w pubie w Bedford.

— Nic ci nie będzie.

— Nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić. W głowie mam pustkę.

— Za bardzo się nad tym zastanawiasz.

— Czuję lęk. O niczym innym nie jestem w stanie myśleć.

— Daj spokój. Nie zawieź nas.

„Nie zawieź nas!”

— Ale...

Spróbowała skupić umysł na muzyce.

Myśli o muzyce zawsze ją uspokajały.

Przyszła jej do głowy melodia. Nora była lekko zażenowana, nawet sama przed sobą, gdy uświadomiła sobie, że ta melodia to *Piękne niebo*. Radosny, pełen nadziei utwór, którego od bardzo dawna nie śpiewała. „Niebo ciemnieje / Czerń ponad błękitem / A mimo to gwiazdy wciąż mają odwagę / Lśnić dla...”.

Wtedy jednak kobieta, która siedziała obok Nory — owiana piżmowym zapachem perfum, elegancko ubrana przedsiębiorczyni po pięćdziesiątce — nachyliła się do niej i szepnęła:

— Bardzo mi przykro z powodu tego, co ci się przytrafiło. Wiesz, mówię o tej sprawie w Portugalii...

— Jakiej sprawie?

Odpowiedź kobiety zagłuszył nagły hałas, gdyż akurat w tym momencie publiczność zaczęła energicznie bić brawo.

— Jakiej? — zapytała ponownie Nora.

Ale było za późno. Zapraszano ją na scenę, a brat trącał ją łokciem.

A potem usłyszała jego głos, niemal wrzask:

— Wołają cię. No dalej, do boju.

Ostrożnie ruszyła w stronę pulpitu na scenie, w kierunku wyświetlanej za nią jej własnej wielkiej, triumfalnie uśmiechniętej twarzy, twarzy kobiety ze złotym medalem na szyi.

Zawsze nienawidziła, gdy ją obserwowano.

— Witajcie — powiedziała nerwowo do mikrofonu. — Bardzo się cieszę, że mogę dziś tu być...

Jakieś kilkaset twarzy patrzyło na nią wyczekująco.

Nigdy nie przemawiała do tylu ludzi jednocześnie. Nawet kiedy śpiewała w The Labyrinths, nigdy nie grali koncertu dla więcej niż stu osób,

a wypowiedzi między piosenkami Nora starała się wówczas ograniczyć do minimum. Kiedy pracowała w Teorii Strun — chociaż całkiem dobrze jej się rozmawiało z klientami — rzadko odzywała się na spotkaniach personelu, mimo iż w pokoju nigdy nie przebywało wtedy więcej niż pięć osób. A jeszcze na uniwersytecie, gdy Izzy zawsze gładko przechodziła przez prezentacje, Nora zaczynała się o swój występ martwić już tydzień wcześniej.

Joe i Rory patrzyli na nią zaskoczeni.

Nie była tamtą Norą, której przemówienie widziała na konferencji TED, i wątpiła, czy kiedykolwiek umiałaby się w taką osobę wcielić. Musiałaby najpierw przeżyć to co tamta.

— Witajcie. Nazywam się Nora Seed.

Nie zamierzała mówić nic zabawnego, a jednak cała sala się roześmiała. Najwyraźniej Nora nie musiała się przedstawiać.

— Życie jest dziwne — zaczęła. — Ponieważ wszystko przeżywamy naraz. W linii prostej. Ale tak naprawdę nie jest to pełny obraz. Bo na życie nie składają się po prostu czynności, które wykonujemy, lecz także te, których nie wykonujemy. I każda chwila naszego życia jest... swego rodzaju zakrętem.

Publiczność nie zareagowała.

— Pomyślcie o tym. Pomyślcie, jak zaczynamy... jak jesteśmy przygotowani. Niczym ziarno drzewa zasadzonego w ziemi. A potem... rośniemy... i rośniemy... Na początku jesteśmy pniami...

Wciąż żadnej reakcji.

— Ale potem drzewo... drzewo, które jest naszym życiem... to drzewo wykształca gałęzie. Pomyślcie o tych wszystkich gałęziach odchodzących od pnia na różnych wysokościach. O tych wszystkich gałęziach rozchodzących się w rozmaite, często przeciwstawne strony. Pomyślcie o konarach, z których wyrastają gałęzie, a z nich gałązki. Pomyślcie o koniuszkach tych wszystkich gałązek, sięgających w najrozmaitsze miejsca, choć wychodzą z tego samego pnia. Takie właśnie jest życie widziane w większej skali. Co sekundę każdego dnia pojawiają się nowe gałęzie. I z naszej perspektywy... z perspektywy

każdego z nas... to coś na kształt... kontinuum, ciągłości. Każda gałązka odbywa tylko jedną podróż. Ale są jeszcze inne gałązki. I jest również inne „dzisiaj”, tych innych „dzisiaj” jest wiele. Każde z nich to nasze potencjalne życie, które moglibyśmy prowadzić, gdybyśmy w pewnym momencie w przeszłości postąpili inaczej, podjęli inną decyzję. To jest drzewo życia. Wiele religii i mitologii wspomina o drzewie życia. Znajdziemy je w buddyzmie, judaizmie i w chrześcijaństwie. Dla wielu filozofów i pisarzy drzewo było metaforą życia. Sylvia Plath postrzegała egzystencję człowieka jako drzewo figowe i każde możliwe życie, które mogłaby wieść, czy to szczęśliwej mężatki, czy to cenionej poetki... było dla niej słodkim soczystym owocem z tego drzewa. Nie mogła jednak skosztować ich wszystkich, choć bardzo chciała, bo zdecydowanie się na jedną figę oznaczało rezygnację z innych, co doprowadzało ją do rozpacz. Tak, bo rozmyślając o wszystkich innych potencjalnych żywotach, można się doprowadzić do szaleństwa. Na przykład w większości z moich potencjalnych wcieleń nie stoję na tym podium i nie rozmawiam z wami o sukcesie... W większości z nich nie jestem złotą medalistką olimpijską. — Przypomniała sobie coś, co powiedziała jej pani Elm w Bibliotece o Północy. — Widzicie, każda nasza decyzja czy najdrobniejsze działanie może sprawić, że zmieni się wszystko. Efektów tych działań nie można już cofnąć, mimo że przez całe życie tak bardzo się staramy...

Ludzie jej teraz słuchali. Najwyraźniej potrzebowali mądrości pani Elm.

— Życ można się nauczyć tylko w jeden jedyny sposób — żyjąc — dodała.

I w tym samym duchu kontynuowała przez kolejne dwadzieścia minut, usiłując sobie przypomnieć jak najwięcej z tego, co powiedziała pani Elm, a potem spojrzała na swoje ręce, które jarzyły się białą od światła pulpitu.

Kiedy pochłonął ją widok wypukłej, różowej kreski na ciele, wiedziała, że blizna powstała w wyniku samookaleczenia i ta myśl nie tyle wybiła ją z rytmu, co pozwoliła sformułować kolejne zdania.

— I... chodzi o to, że... rzecz w tym, że to, co uważamy za najbardziej

pomyślną dla nas drogę życiową, w rzeczywistości wcale taką drogą nie jest. Zbyt często nasze pojmowanie sukcesu wiąże się z jakimś zewnętrznym bzdurnym pomysłem na jego osiągnięcie — medalem olimpijskim, idealnym mężem, dobrą pensją. Mierzymy sukces taką właśnie miarą. Podczas gdy tak naprawdę sukcesu nie da się zmierzyć, a życie nie jest wyścigiem, który można wygrać. To wszystko są... właściwie... bzdury...

Widzowie bez wątpienia wyglądali teraz na skonfundowanych. Nie tego najwyraźniej oczekiwali. Nora przeszukała wzrokiem tłum i zobaczyła w nim uśmiechniętą twarz. Zadumała się na dobrą chwilę, jako że mężczyzna był elegancko ubrany w niebieską bawełnianą koszulę, a włosy miał znacznie krótsze niż w swoim życiu w Bedford, ale w końcu uprzytomniła sobie, że to Ravi. Ten Ravi patrzył na nią przyjaźnie, lecz Nora nie była w stanie zapomnieć o tamtym drugim, który wybiegł z kiosku, dając się, że nie stać go na czasopismo, i obwiniając o to ją, Norę.

— Cóż, wiem, że spodziewaliście się powtórki mojego wystąpienia z konferencji TED na temat drogi do sukcesu. Ale prawda jest taka, że sukces jest złudzeniem. Wszystko jest iluzją. Chcę powiedzieć... Tak, są sprawy czy kwestie od nas zależne, słabości, które możemy przezwyciężyć. Na przykład, cierpię z powodu tremy, a jednak wychodzę na scenę. Spójrzcie na mnie... stoję na scenie! Ktoś ostatnio powiedział, że moim problemem tak naprawdę nie jest trema. Moim problemem jest strach przed życiem. I wiecie co? Ta osoba miała cholerną rację. Bo życie jest przerażające i jest przerażające nie bez powodu, bo niezależnie od tego, którą gałąź, czyli jakie życie, wybierzemy, zawsze pozostaniemy tym samym zgniłym drzewem. Chciałam robić w życiu wiele rzeczy. Miałam rozmaite pomysły na siebie. Ale jeśli nasze życie jest zepsute, zgniłe... będzie takie bez względu na to, co zrobimy.

Joe desperacko przesunął sobie dłonią na wysokości szyi, sugerując, że powinna przerwać.

— W każdym razie bądźcie życzliwi i... Po prostu bądźcie życzliwi. Mam wrażenie, że niedługo stąd pójdę, więc chciałabym tylko powiedzieć, że

kocham mojego brata, Joego. Kocham cię, bracie, kocham wszystkich w tej sali i bardzo się cieszę, że mogłam tu być.

I w momencie, w którym powiedziała, iż cieszy się, że mogła być w tamtym miejscu, już w nim nie była.

Błąd systemu

Wróciła do Biblioteki o Pólnocy.

Ale tym razem znajdowała się trochę dalej od półek z książkami. Była w jednym z szerszych korytarzy, w widzianej wcześniej części pomieszczenia, tej, którą uznała za coś w rodzaju otwartego gabinetu. Na biurku stały tacki na korespondencję, w których ledwie się mieściły porozrzucane stosy papierów i kartonów, oraz komputer.

Komputer wyglądał naprawdę staroświecko — kremowe w kolorze pudło stojące na biurku obok dokumentów. Sprzęt, jakim kiedyś dysponowała pani Elm w szkolnej bibliotece. A sama kobieta siedziała teraz przy klawiaturze i pilnie coś pisała, wpatrując się w monitor. Nora stanęła za nią.

Światła powyżej — te same gołe żarówki zwisające na przewodach — dziko migotały.

— Dzięki mnie mój tato żyje dłużej. Ale miał też romans, a moja mama zmarła wcześniej. Dobrze dogaduję się z bratem, ponieważ nigdy go nie zawiodłam, ale to wciąż ten sam Joe i jest w tamtym życiu dla mnie całkiem dobry, ponieważ pomagam mu zarabiać pieniądze... a poza tym... nie tak wyobrażałam sobie swój sukces olimpijki. W tamtym życiu to byłam ta sama ja. Coś się wydarzyło w Portugalii. Prawdopodobnie próbowałam się zabić... Istnieje w ogóle jakieś inne życie, czy tylko meble się przesuwają?

Ale bibliotekarka jej nie słuchała. Nora zauważyła coś na biurku. Stare plastikowe pióro wieczne. Dokładnie takie samo, jak to, które miała jako uczennica w szkolnych czasach.

— Halo? Pani Elm, słyszy mnie pani?

Coś było nie tak.

Na twarzy bibliotekarki widać było zmartwienie. Kobieta odczytała pod nosem informację z ekranu:

— Błąd systemu.

— Pani Elm? Halo? Hej! Widzi mnie pani?

Poklepała ją po ramieniu. I to chyba wystarczyło.

Gdy bibliotekarka odwróciła się od komputera, jej twarz wypełniła wielka ulga.

— Och, Noro, już tu jesteś?

— Spodziewała się pani, że nie wrócę? Sądziła pani, że chciałabym żyć tamtym życiem?

Kobieta pokręciła głową, niemal nią nie poruszając. O ile coś takiego było możliwe.

— Nie. Nie o to chodzi. Po prostu wyglądał na kruchy.

— Co wyglądało na kruche?

— Transfer.

— Jaki transfer?

— Ten z książki do... tutaj. Z życia, które wybrałaś, z powrotem do biblioteki. Najwyraźniej jest jakiś problem. Problem z całym systemem. Coś, co pozostaje poza moją bezpośrednią kontrolą. Coś... zewnętrznego.

— Chce pani powiedzieć, że problem tkwi w... moim obecnym życiu?

Kobieta spojrzała na ekran.

— Tak. Widzisz, Biblioteka o Północy istnieje tylko dlatego, że ty istniejesz. W swoim głównym życiu.

— Więc umieram?

Pani Elm wyglądała na poirytowaną.

— Istnieje taka możliwość. Powiedziałabym, że istnieje możliwość, że zbliżamy się do kresu... możliwości.

Nora przypomniała sobie, jak dobrze się czuła, pływając w basenie. Taka żywa i pełna energii. Ale po chwili coś się zmieniło, coś w jej wnętrzu. To było dziwne uczucie. Ucisk w jamie brzusznej. Fizyczna zmiana. Zmiana w niej, Norze. Nagle zaniepokoiła ją idea śmierci. W tym samym momencie światła nad jej głową przestały migotać i zaświeciły jasno.

Pani Elm klasnęła w dłonie, odczytując nowe informacje wyświetlone na ekranie komputera.

— Och, jest z powrotem. To dobrze. Zakłócenia zniknęły. Znow działamy. Wierzę, że dzięki tobie.

— Jak to?

— No cóż, komputer twierdzi, że główna przyczyna wewnątrz hosta została tymczasowo naprawiona. A ty jesteś pierwotną przyczyną. Jesteś hostem.

Uśmiechnęła się.

Nora zamrugła, a kiedy otworzyła oczy, wraz z panią Elm już przebywały w innej części biblioteki. Znow stały między ciągami regałów. Sztywno wyprostowane, zakłopotane, zwrócone do siebie twarzami.

— No dobrze. A teraz się uspokój — poleciła pani Elm, po czym zrobiła potężny, głęboki wydech. Wyraźnie mówiła do siebie.

— Moja mama zmarła w każdym moim życiu w innym terminie. Chciałabym trafić do takiego, w którym ona wciąż żyje. Czy takie życie istnieje?

Bibliotekarka skierowała swoją uwagę na Norę.

— Może i tak.

— Świetnie.

— Ale nie możesz do niego wejść.

— Dlaczego?

— Ponieważ to jest biblioteka związana z twoimi decyzjami. A nie istniał wybór, którego mogłaś dokonać i dzięki któremu twoja matka żyłaby dłużej. Przykro mi.

Żarówka nad głową Nory zamigotała. Jednak reszta biblioteki pozostała bez zmian.

— Noro, musisz pomyśleć o czymś innym. Co było dobrego w ostatnim życiu?

Pokiwała głową.

— Pływanie. Lubiłam pływać. Ale nie wydaje mi się, żebym była

w tamtym życiu szczęśliwa. Nie wiem, czy jestem naprawdę szczęśliwa w którymkolwiek życiu.

— Czy szczęście jest celem?

— Nie wiem. Przypuszczam, że chcę, aby moje życie coś znaczyło. Chcę zrobić coś dobrego.

— Kiedyś chciałaś zostać glaciolożką — przypomniała kobieta.

— Tak.

— Kiedyś o tym mówiłaś. Powiedziałaś, że interesujesz się Arktyką, więc zasugerowałam, że mogłabyś zostać glaciolożką.

— Pamiętam. Od razu spodobał mi się ten pomysł. Ale nie moim rodzicom.

— Dlaczego?

— Naprawdę nie wiem. Zachęcali mnie do pływania. No cóż, tato mnie zachęcał. Ale mnie podobało się wszystko, co łączyło się z pracą naukową.

Głęboko w sercu poczuła smutek. Odkąd się urodziła, rodzice traktowali ją inaczej niż jej brata.

— Poza pływaniem wszystkimi sprawami miał zajmować się Joe — wyjaśniła kobiecie. — Matka zniechęcała mnie do wszelkich czynności, które mogłyby mnie oderwać od treningów. Chociaż, w przeciwieństwie do ojca, nie zmuszała mnie nawet do pływania. Ale na pewno musi istnieć życie, w którym nie posłuchałam matki i teraz prowadzę badania w Arktyce. W którym jestem z dala od wszystkiego. W którym mam cel. Pomagam planecie. Badam wpływ zmian klimatycznych. Stoję na pierwszej linii frontu.

— Czy mam dla ciebie znaleźć to życie?

Nora westchnęła. Nadal nie miała pojęcia, czego pragnie. Ale na kole podbiegunowym przynajmniej będzie inaczej.

— W porządku. Tak, poproszę.

Svalbard

Obudziła się na wąskiej koi w małej kajucie na łodzi. Wiedziała, że przebywa na łodzi, ponieważ powierzchnia się kołysała i to kołysanie, chociaż łagodne, bez wątpienia ją obudziło. Kajuta wyglądała na podstawowe, oszczędnie wyposażone pomieszczenie. Nora miała na sobie gruby sweter z polarem i długie kalesony. Bolała ją głowa. W ustach miała tak sucho, że policzki niemal przykleiły jej się do zębów. Zakaszła suchym, głębokim kaszlem i poczuła się o miliony długości basenu od ciała olimpijki. Jej palce śmierdziały tytoniem. Podniosła się i zobaczyła mocno ogorzałą, krzepką blondynkę, która siedziała na drugiej koi i się w nią wpatrywała.

— *God morgen*, Nora.

Nora się do niej uśmiechnęła. I miała nadzieję, że w tym życiu nie nauczyła się mówić płynnie w skandynawskim języku, w którym odezwała się jej współlokatorka.

— Dzień dobry.

Na podłodze obok koi kobiety zauważyła na wpół opróżnioną butelkę wódki i kubek. Na skrzyni między kojami stał kalendarz z psami (kwiecień: springer spaniel). Obok leżały książki — wszystkie trzy były po angielsku. Ta, która znajdowała się najbliżej Skandynawki, miała tytuł: *Zasady mechaniki lodowca*. Dwoma książkami od strony Nory były *Przewodnik po Arktyce dla przyrodnika* oraz penguinowskie wydanie klasycznej *Sagi rodu Wölsungów*. Tom o zabiciu smoka. Nora zauważyła coś jeszcze. Panowało zimno. Prawdziwe zimno. Zimno, które prawie parzyło, od którego bolały palce u rąk i nóg, i które usztywniało policzki. Czuła to zimno nawet w swoim wnętrzu. Mimo bielizny termicznej. Mimo swetra. Mimo żeberek dwóch grzejników elektrycznych rozgrzanych do czerwoności. I tak każdy wydech był białym obłokiem.

— Dlaczego tu jesteś, Noro? — spytała kobieta po angielsku z silnym akcentem.

Pytanie było podchwytliwe, szczególnie że Nora nawet nie wiedziała, gdzie znajduje się owo „tu”.

— Trochę wczesna pora na filozofowanie, nie sądzisz? — odpowiedziała, śmiejąc się nerwowo.

Wyjrzała przez iluminator i zobaczyła wyrastającą z morza ścianę lodu. Łódź znajdowała się zatem albo bardzo daleko na północy, albo bardzo daleko na południu. Tak czy inaczej, gdzieś bardzo daleko.

Kobieta wciąż się na nią gapiała. Nora nie miała pojęcia, czy są przyjaciółkami, czy wręcz przeciwnie. Skandynawka wyglądała na osobę twardą, bezpośrednią i prostolinijną, lecz była prawdopodobnie interesującą towarzyszką.

— Nie mam na myśli filozofii. Nawet nie pytam o to, dlaczego zajęłaś się badaniami glaciologicznymi. A może jednak o to właśnie chodzi... Dlaczego zdecydowałaś się uciec najdalej, jak to było możliwe, od cywilizacji? Nigdy mi nie powiedziałaś.

— Nie wiem — odparła. — Lubię zimno.

— Nikt nie lubi takiego zimna! Chyba że masochista.

Kobieta miała rację. Nora sięgnęła po sweter leżący na końcu jej koi i nałożyła go na siebie, na ten, który już na sobie miała. Gdy go wciągała, na podłodze obok butelki z wódką dostrzegła laminowaną smycz na klucze.

Ingrid Skirbekk

Profesor geologii

Międzynarodowy Instytut Badań Polarnych

— Nie wiem, Ingrid. Przypuszczam, że po prostu lubię lodowce. Chcę je zrozumieć. Dowiedzieć się, dlaczego... topnieją.

Sądząc po uniesionych brwiach kobiety, Nora nie brzmiała jak specjalistka od lodowców.

— A ty? — zapytała z nadzieją.

Ingrid westchnęła. Potarła dłoń kciukiem.

— Po śmierci Pera nie mogłam wytrzymać w Oslo. Wszyscy ci ludzie, którzy nie byli nim, rozumiesz? Była taka kawiarnia, do której kiedyś razem chodziliśmy, przy uniwersytecie. Po prostu siadaliśmy razem... razem, ale milczeliśmy. Dobrze nam się milczało. Czytaliśmy gazety, piliśmy kawę. Trudno było później unikać takich miejsc. Bo chodziliśmy wszędzie. Więc potem na każdej ulicy widziałam jego duszę, dokuczliwą... Powtarzałam mu, jego wspomnieniu, żeby się odpieprzyło, ale to nic nie dawało. Żałoba jest straszną suką. Gdybym została w mieście dłużej, znienawidziłabym ludzkość. Kiedy pojawiło to stanowisko badawcze na Svalbardzie, pomyślałam sobie, że... tak, to mnie uratuje... Chciałam znaleźć się gdzieś, gdzie on nigdy nie był. Chciałam trafić w miejsce, w którym nie będę musiała czuć obok siebie jego ducha. Ale prawda jest taka, że to działa tylko w połowie. Miejsca to miejsca, wspomnienia to wspomnienia, a życie to cholerne życie.

Nora rozważyła to wszystko. Ingrid wyraźnie opowiadała tę historię osobie, którą w swoim mniemaniu znała w miarę dobrze, a przecież Nora była dla niej obca. Czuła się z tym dziwnie. Źle. Pomyślała, że coś takiego jest zapewne najtrudniejszym aspektem działania jako szpieg. Te emocje, które inni ludzie w nas przechowują niczym kiepską inwestycję. A my czujemy się wobec nich jak złodzieje.

Ingrid uśmiechnęła się, przerywając Norze rozmyślenia.

— Tak czy owak, dzięki za ostatnią noc... Miło było pogadać. Na tej łodzi jest pełno kretynów, a ty jesteś inna.

— Och. Dzięki. Ty też.

I wtedy Nora zauważyła broń, wielki karabin z masywną brązową kolbą, który stał oparty o ścianę na drugim końcu pokoju, pod wieszakami na ubrania.

Pod wpływem tego widoku poczuła się osobliwie szczęśliwa. Jakby jedenastoletnia Nora Seed była teraz z niej dumna. Dumna, że jako dorosła przeżywa przygodę.

Hugo Lefèvre

Nora, cierpiąc z powodu migreny i oczywistego kaca, przeszła prostym drewnianym korytarzem do małej jadalni, która pachniała marynowanym śledziem. Kilku naukowców jadło tu śniadanie.

Nalała sobie czarnej kawy, wzięła suchą kromkę czerstwego żytniego chleba i usiadła.

Wokół niej, za oknem, rozciągał się niesamowity widok, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziała. Wśród mgły widoczne były lodowe wyspy, które wyglądały jak umyte i pomalowane na biało skały. Nora naliczyła w jadalni siedemnaście osób. Jedenastu mężczyzn i sześć kobiet. Usiadła sama, lecz w ciągu pięciu minut do jej stolika przysiadł się mężczyzna z krótkimi włosami i zarostem, który to za jakieś dwa dni stanie się zapewne brodą. Podobnie jak większość osób w pomieszczeniu mężczyzna miał na sobie parkę, ale chyba nie czuł się w niej dobrze, jakby bardziej pasował do Riwiery, markowych szortów i różowej koszulki polo. Uśmiechnął się do Nory. Próbowwała zinterpretować ten uśmiech, chcąc zrozumieć rodzaj łączącej ich relacji. Mężczyzna obserwował ją przez chwilę, a potem przesunął krzesło i teraz siedział naprzeciwko niej. Poszukała wzrokiem smyczy z jego nazwiskiem, ale żadnej nie nosił. Zadała sobie pytanie, czy powinna znać jego imię.

— Jestem Hugo — przedstawił się, co odnotowała z ulgą. — Hugo Lefèvre. Jesteś Nora, prawda?

— Tak.

— Widziałem cię w Svalbardzie, w centrum badawczym, ale nigdy się nie przywitaliśmy. Tak czy inaczej, chciałem tylko powiedzieć, że czytałem twoją publikację na temat pulsujących lodowców i bardzo mnie wciągnęła.

— Naprawdę?

— Tak. To znaczy, zawsze fascynowały mnie powody, dla których tak się dzieje, tutaj i nigdzie indziej. To bardzo dziwne zjawisko.

— Życie jest pełne dziwnych zjawisk.

Rozmowa kusila, lecz była niebezpieczna. Nora uśmiechnęła się więc subtelnie i uprzejmie, a potem wyjrzała przez okno. Lodowe wyspy zamieniły się w wysepki. Małe, pokryte śniegiem, spiczaste wzgórza, przypominające wierzchołki gór lub bardziej płaskie, urwiste fragmenty lądu. A za nimi ciągnął się lodowiec, który Nora widziała przez iluminator z kabiny na łodzi. Mogła teraz lepiej oszacować wielkość lodowca, chociaż jego górna część skrywała się za zasłoną z chmur. Z kolei innych jego partii w ogóle nie przesłaniała mgła. Wyglądał niesamowicie.

Gdy patrzymy na zdjęcie lodowca w telewizji lub czasopiśmie, widzimy gładką białą bryłę. Lecz on jest wielowarstwowy jak góry. Czarno-brązowy i biały. A i tej bieli są nieskończone odmiany, cała masa odmian i wariacji: odcień białobiały, niebieskobiały, turkusowobiały, złotobiały, srebrnobiały, półprzezroczyste biały... I wszystkie te odcienie wydawały się teraz Norze żywe i imponujące. Z pewnością bardziej imponujące niż śniadanie.

— Przygnębiające, nieprawdaż? — spytał Hugo.

— Co?

— Fakt, że dzień nigdy się nie kończy.

Norę ta obserwacja zaniepokoiła.

— W jakim sensie?

Zanim odpowiedział, odczekał sekundę.

— Stale jest jasno — rzucił, po czym ugryzł kawałek suchego krakersa. — Od kwietnia. To jakby przez całe życie trwać w jednym niekończącym się dniu... Nienawidzę tego uczucia.

— Opowiedz mi o nim.

— Powinny pomóc zasłonki na iluminatorach. Ale odkąd wsiedliśmy na tę łódź, niemal nie spałem.

Nora pokiwała głową.

— Jak długo jeszcze to potrwa?

Zaśmiał się. Uprzejmie. Z zamkniętymi ustami. Cywilizowanie. To prawie wcale nie był śmiech.

— Wczoraj w nocy dużo wypłam z Ingrid. Od wódki mam kłopoty z pamięcią.

— Jesteś pewna, że od wódki?

— A od czegoż innego?

Spojrzenie miało dociekliwe i Norę automatycznie załało poczucie winy. Spojrzała na Ingrid, która piła kawę i pisała na swoim laptopie. Teraz Nora pożałowała, że nie usiadła przy stoliku razem z nią.

— No cóż, to była nasza trzecia noc — stwierdził Hugo. — Kręcimy się po archipelagu od... niedzieli. Tak, od niedzieli. Od kiedy wypłynęliśmy z Longyearbyen.

Nora skrzywiła się, udając, że wie o tym wszystkim.

— Niedziela wydaje się tak odległa.

Odnosiła teraz wrażenie, że łódź się obraca i musiała się nieco pochylić na siedzeniu.

— Dwadzieścia lat temu w kwietniu na Svalbardzie prawie nie było otwartej wody. Spójrz teraz. To jak rejs po Morzu Śródziemnym.

Usiłowała przybrać uśmiech osoby odprężonej.

— Niezupełnie — powiedziała.

— Ja w każdym razie słyszałem, że wyciągnęłaś najkrótszą słomkę?

Próbowała wyglądać na zaskoczoną, co nie było trudne.

— Naprawdę?

— Wybrali cię dziś na obserwatorkę, no nie?

Nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi, ale obawiała się błysku pogardy w jego oczach.

— Tak — odpowiedziała. — Tak, zgadza się. Będę obserwatorką.

Wytrzeszczył oczy. Z szoku. Prawdziwego lub udawanego. W przypadku Hugona trudno to było odróżnić.

— Będziesz?

— Tak?

Rozpaczliwie chciała się dowiedzieć, co naprawdę znaczy określenie „obserwatorka”, ale uznała, że nie może o to spytać.

— No cóż, powodzenia. *Bonne chance*³ — powiedział, patrząc na nią badawczo.

— *Merci* — odrzekła, wpatrując się w ostre arktyczne światło i krajobraz, który wcześniej widziała jedynie w czasopiśmie. — Gotowa na wyzwanie.

Chodzenie w kółko

Godzinę później Nora znalazła się na rozległej, pokrytej śniegiem skale. Obszar, bardziej niż wyspą, był szkierem. Miejscem tak małym i nienadającym się do zamieszkania, że nawet nie posiadało własnego miana, choć niedaleko, na lodowatej wodzie widoczny był większy skrawek ziemi o złowrogiej nazwie Wyspa Niedźwiedzia. Nora stała obok łódki. Nie obok „Lance”, dużej łodzi, na której jadła śniadanie (tamta pozostała bezpiecznie zacumowana na morzu), lecz małego motorowego pontonu, który wyciągnął z wody niemal bez niczyjej pomocy wielki jak głaz facet imieniem Rune, który pomimo skandynawskiego imienia mówił w ojczystym języku Nory z rozwlekłym akcentem Amerykanina z Zachodniego Wybrzeża.

U stóp Nory leżał fluorescencyjny żółty plecak, a na ziemi — karabin Winchester, ten sam, który widziała oparty o ścianę w kajucie. To była jej broń! W tym życiu była zatem posiadaczką broni palnej. Obok karabinu stał rondel z chochlą w środku. W rękach Nora trzymała natomiast kolejną, znacznie mniej śmiertcionośną broń — sygnałowy pistolet gotów do wystrzelenia flary świetlnej.

Już wiedziała, na czym polega przydzielone jej zadanie i funkcja „obserwatorki”. Podczas gdy dziewięcioro naukowców będzie pracowało w terenie, zajmując się badaniem zmian klimatycznych na tej maleńkiej wysepce, ona miała wypatrywać niedźwiedzi polarnych. Najwyraźniej pojawienie się tych zwierząt stanowiło tutaj bardzo realną perspektywę. Gdyby Nora jakiegoś zobaczyła, w pierwszej kolejności powinna odpalić flarę świetlną, odstraszać niedźwiedzia, a równocześnie ostrzegając pozostałych badaczy.

Ten plan nie był oczywiście niezawodny. Ludzie byli smakowitym źródłem białka, a niedźwiedzie należały do istot nieustraszonych, przy czym

szczególnie odważne stały się w ostatnich latach, gdyż utrata siedlisk i dotychczasowych źródeł pożywienia zmuszała je do bardziej brawurowych zachowań.

— Natychmiast po wystrzeleniu flary — pouczył ją najstarszy członek grupy, gładko ogolony mężczyzna o ostrych rysach, niejaki Peter, który dowodził wyprawą i mówił ciągłym *fortissimo*, czyli bardzo głośno, bardzo mocno — uderzasz chochlą w rondel. Wal jak szalona i krzycz. Niedźwiedzie słyną z bardzo czułego słuchu. Jak koty. W dziewięciu przypadkach na dziesięć hałas je odstrasza.

— A w tym jednym pozostałym?

Skinął głową na karabin.

— Zabij go. Zanim on zabije ciebie.

Nie tylko Nora miała broń. Wszyscy ją nosili. Byli uzbrojonymi naukowcami. Tak czy inaczej, Peter się zaśmiał, a Ingrid poklepała ją po plecach.

— Mam nadzieję — dodała ta ostatnia, śmiejąc się chrapliwie — że żaden cię nie zje. Tęskniłabym za tobą. Ale jeśli nie masz miesiączki, powinno być w porządku.

— Jezu... Że co?

— Potrafią wyczuć krew z odległości dwóch kilometrów.

Inna osoba — ktoś, kto był tak szczelnie zakutany, że nie umiała powiedzieć, z kim ma do czynienia, nawet jeśli go/ją znała — stłumionym odległym głosem życzył jej szczęścia.

— Wrócimy w ciągu pięciu godzin... — powiedział Peter. Znow się zaśmiał i Nora miała nadzieję, że to oznacza żart. — Pochodź w kółko, żeby się rozgrzać.

A potem ją zostawili, odchodząc po skalistym gruncie, i zniknęli we mgle.

Przez godzinę nic się nie działo. Nora rzeczywiście chodziła w kółko. Przeskakiwała z lewej nogi na prawą. Mgła nieco się przerzedziła i widać było okolicę. Nora zastanawiała się, dlaczego nie wraca do biblioteki. Przecież to

życie było zdecydowanie... do niczego. Z pewnością istniało takie, w którym siedziała teraz w słońcu przy basenie. Takie, w którym była muzykiem, leżała w ciepłej wannie pachnącej lawendą, uprawiała niesamowity seks na trzeciej randce, czytała książkę na plaży w Meksyku, jadła w restauracji nagrodzonej gwiazdką Michelina, spacerowała po ulicach Paryża, zagubiła się gdzieś w Rzymie, spokojnie wpatrywała się w świątynię niedaleko Kioto lub delectowała się ciepłym kokonem szczęśliwego związku z ukochanym mężczyzną.

Niemal w każdym innym życiu czułaby się przynajmniej dobrze fizycznie. Z drugiej strony, tutaj odczuwała coś nowego. A może były to stare emocje, które po prostu dawno temu pogrzebała. Lodowcowy krajobraz przypomniawszy jej, że jest przede wszystkim kobietą, człowiekiem, który żyje na konkretnej planecie. Uświadomiła sobie, że prawie wszystko, co robiła w swoim pierwotnym życiu — prawie wszystko, co kupowała, nad czym pracowała i co zużywała — oddalało ją coraz bardziej od zrozumienia, że ona i wszyscy inni ludzie są tylko przedstawicielami jednego z dziewięciu milionów zamieszkujących Ziemię gatunków.

„Jeśli ktoś zmierza pewnie w wymarzonej przez siebie kierunku — napisał Thoreau w tomie *Walden* — i stara się żyć zgodnie z tym, co sobie wyobraził, spotka go niepowodzenie sukces. — Filozof zauważał również, że część tego sukcesu wynikała z samotności. — Nigdy nie poznałem towarzysza, który byłby tak towarzyski jak samotność” — napisał⁴.

I Nora w tym właśnie momencie poczuła się podobnie. Chociaż pozostawili ją tutaj samą mniej więcej godzinę temu, nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego poziomu samotności pośród bezludnej przyrody co w tych ostatnich minutach.

Kiedyś, w godzinach nocnych i podczas próby samobójczej, myślała, że jej problemem jest samotność. Ale działało się tak dlatego, że to nie była prawdziwa samotność. Samotny umysł w zatłoczonym mieście tęskni za kontaktem, ponieważ uważamy, że sensem życia jest kontakt z drugim

człowiekiem. Ale wśród czystej natury (lub „posmaku dzikości”, jak to nazywał Thoreau) samotność nabierała innego charakteru. Sama w sobie stawała się pewnego rodzaju kontaktem. Kontaktem między Norą a światem. I kontaktem Nory z nią samą.

Przypomniała sobie rozmowę z Ashem, który był wysoki, nieco niezgrabny, uroczy i zawsze potrzebował jakiegoś nowego śpiewnika na gitarę.

Tamta rozmowa nie odbyła się w sklepie muzycznym, lecz w szpitalu, w trakcie choroby matki Nory. Matka krótko po diagnozie (zachorowała na raka jajnika) wymagała operacji. Nora zabrała ją niemal do wszystkich lekarzy specjalistów w szpitalu Bedford General i w ciągu tych kilku tygodni trzymała ją za rękę częściej niż przez całe ich wspólne życie.

Gdy matkę operowano, czekała w szpitalnej stołówce. A Ash — w stroju chirurga — rozpoznał w niej osobę, z którą wielokrotnie rozmawiał w Teorii Strun — zobaczył, że Nora wygląda na zmartwioną, podszedł i się przywitał.

Pracował w szpitalu jako chirurg ogólny, a ona zadała mu mnóstwo pytań o to, czym się zajmuje (akurat tego dnia wykonał operację usunięcia wyrostka robaczkowego i przewodu żółciowego). Zapytała go również o przeciętny czas rekonwalescencji po operacji i długość trwania zabiegu, a jego odpowiedź bardzo ją uspokoiła. Skończyło się na tym, że rozmawiali przez bardzo długi czas o różnych sprawach, a on najwyraźniej wyczuwał, że Nora tej rozmowy potrzebuje. Przestrzegł ją wtedy, że nie należy zbyt dużo czytać w Internecie na temat niepokojących objawów związanych ze zdrowiem. W ten sposób przeszli do tematu mediów społecznościowych — Ash uważał, że im bardziej ludzie się skupiają na mediach społecznościowych, tym bardziej samotne staje się społeczeństwo.

— Właśnie dlatego wszyscy się obecnie nienawidzą — ocenił. — Ponieważ otoczeni są zbyt dużą liczbą przyjaciół, którzy tak naprawdę w ogóle przyjaciółmi nie są. Słyszałaś o „liczbie Dunbara”?

I wtedy opowiedział jej o Rogerze Dunbarze⁵, badaczu z Uniwersytetu Oksfordzkiego, który ustalił, że grono znajomych danej jednostki nie powinno

przekraczać stu pięćdziesięciu osób, ponieważ taka była średnia wielkość społeczności łowców i zbieraczy.

— Jeśli przejrzysz *Domesday Book*⁶ — dodał w ostrym świetle szpitalnej stołówki — odkryjesz, że średnia wielkość angielskich społeczności w tamtym czasie wynosiła sto pięćdziesiąt osób. Z wyjątkiem Kentu, gdzie było tych osób około stu. Ja jestem z Kentu. Mamy antyspołeczne DNA.

— Byłam w Kencie — potwierdziła wtedy Nora. — Zauważyłam to. Ale teoria mi się podoba. Tyle osób w ciągu godziny można spotkać na Instagramie.

— Dokładnie tak. I to jest niezdrowe! Nasze mózgi nie są w stanie sobie z czymś takim poradzić. Właśnie dlatego bardziej niż kiedykolwiek pragniemy obecnie komunikacji osobistej, twarzą w twarz. I... właśnie dlatego nigdy nie kupiłbym online moich śpiewników z gitarowymi akordami do piosenek duetu Simon & Garfunkel!

Uśmiechnęła się teraz na wspomnienie tamtej pogawędki, a potem do rzeczywistości arktycznego krajobrazu przywrócił ją głośny plusk.

Kilka metrów od niej, między Wyspą Niedźwiedzią a skalistym szkielem, na którym stała, z wody wystawała kolejna mała skała lub grupa skał. I coś wynurzało się z morskiej piany. Coś ciężkiego uderzyło o kamienne podłoże wielkim mokrym ciężarem. Nora zadrżała, gotowa wystrzelić flarę, ale nie był to niedźwiedź polarny, lecz mors. Wielkie, brązowe, pomarszczone zwierzę przesunęło się po lodzie, a potem zatrzymało i zapatrzyło się na nią. Wyglądał (lub wyglądała) na starego, nawet jak na morsa. Obcy był mu wstyd i najwyraźniej potrafiłby patrzeć na Norę bez końca. Przestraszyła się. O morsach wiedziała tylko dwie rzeczy: że bywają okrutne i że nigdy nie pozostają same przez długi czas.

Prawdopodobnie za chwilę wyłonią się z wody następne.

Zastanawiała się, czy powinna wystrzelić flarę.

Mors pozostał na miejscu niczym widoczny w ziarnistym świetle własny duch, powoli jednak zaczął znikać za zasłoną mgły. Mijały minuty. Nora miała

na sobie siedem warstw ubrań, ale sztywniała jej skóra powiek i obawiała się, że zamarzną, jeśli na zbyt długo zamknie oczy. Sporadycznie docierały do niej głosy innych naukowców, a na chwilę jej koledzy wrócili na tyle blisko, że niektórych z nich nawet zobaczyła. Sylwetki we mgle, pochylone nad ziemią, badające próbki lodu przy użyciu sprzętu, którego działania nie rozumiała. Ale potem wszyscy znowu zniknęli. Zjadła jeden z batonów proteinowych ze swojego plecaka. Był zimny i twardy jak kamień. Zerknęła na ekran telefonu, nie miała tu jednak sygnału.

Panowała kompletna cisza.

Cisza, która uświadomiła Norze, jak wielki hałas panuje wszędzie indziej. Tutaj każdy dźwięk był ważny. Gdy coś było słyhać, trzeba natychmiast zwiększyć czujność.

Kiedy przeżuwała kawałek batona, rozległ się kolejny plusk, lecz tym razem dochodził z innej strony. Widok utrudniały zarówno mgła, jak i słabe światło. Nie był to jednak następny mors. Nora zrozumiała to, gdy zdała sobie sprawę, że zbliżająca się do niej istota jest duża. Większa niż mors i znacznie większa niż jakikolwiek człowiek.

Moment ekstremalnego kryzysu pośrodku pustki

— O kurwa! — wyszeptała Nora w zimne powietrze.

Frustracja wynikająca z niemożliwości znalezienia biblioteki wtedy, gdy jej naprawdę potrzebujemy

Mgła się rozproszyła i oczom Nory ukazał się wielki biały niedźwiedź, stojący na tylnych kończynach. Po chwili opadł na cztery łapy i ruszył ku Norze z zaskakującą prędkością i ciężką, przerażającą gracją. Nora nic nie zrobiła. Jej umysł zalała panika. Znieruchomiała tak samo jak wieczna zmarzlina, na której stała.

„Kurwa”.

„Kurwa, kurwa”.

„Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa mać”.

„Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa...”.

W końcu jednak instynkt samozachowawczy dał o sobie znać. Nora podniosła pistolet sygnałowy i wystrzeliła. Flara wzleciała niczym maleńka kometa, następnie spadła i zniknęła w wodzie, a jej blask gasł wraz z nadzieją Nory. Zwierzę wciąż się do niej zbliżało. Osunęła się na kolana, po czym zaczęła walić chochlą o rondel i z całych sił krzyżeć:

— NIEDŹWIEDŹ! NIEDŹWIEDŹ! NIEDŹWIEDŹ!

Stworzenie na chwilę się zatrzymało.

— NIEDŹWIEDŹ! NIEDŹWIEDŹ! NIEDŹWIEDŹ!

I znów popędziło przed siebie, ku niej.

Walenie w rondel nie przynosiło rezultatu. Niedźwiedź był już blisko. Nora zastanawiała się, czy zdołałaby chwycić leżący na lodzie karabin, który był dość daleko od niej. Widziała ogromne łapy niedźwiedzia, jego pazury nacierające na pokrytą śniegiem skałę. Głowę zwierzę trzymało nisko, a jego czarne oczy patrzyły wprost na Norę.

— BIBLIOTEKA! — krzyknęła. — PANI ELM! PROSZĘ MNIE STĄD ODESŁAĆ! TO NIE JEST WŁAŚCIWE ŻYCIE! JEST NAPRAWDĘ, NAPRAWDĘ ZŁE!!! NIECH MNIE PANI ZABIERZE Z POWROTEM! NIE CHCĘ TAKICH PRZYGÓD! GDZIE BIBLIOTEKA?! CHCĘ DO BIBLIOTEKI!

W spojrzeniu niedźwiedzia polarnego nie było nienawiści. Nora była tylko jedzeniem. Mięsem. Co ją nie tylko przeraziło, lecz także upokorzyło. Serce waliło jej jak perkusista dochodzący do crescendo. Koniec utworu... I w tej właśnie chwili dla Nory coś się stało zadziwiająco jasne:

Nie chciała umierać.

I w tym tkwił problem. W obliczu śmierci życie wydawało się bardziej atrakcyjne, a skoro takie było, jak mogła wrócić do Biblioteki o Północy? Jeśli miała spróbować ponownie z inną książką, musiała być przecież rozczarowana danym życiem, a nie tylko się go bać.

Przed nią czaiła się śmierć. Śmierć gwałtowna, nieznana, w postaci niedźwiedzia, który wpatrywał się w nią czarnymi oczami. A Nora nagle zdała sobie sprawę, że nie jest gotowa umrzeć. Ta wiedza była ważniejsza od strachu i rosła w niej, gdy stojąc naprzeciwko szarżującego niedźwiedzia polarnego, głodnego i desperacko pragnącego przeżyć, uderzała chochlą w rondel. Mocniej. Szybkie staccato, bang, bang, bang.

„Nie. Jestem. Przerażona”.

„Nie. Jestem. Przerażona”.

„Nie. Jestem. Przerażona”.

„Nie. Jestem. Przerażona”.

„Nie. Jestem. Przerażona”.

„Nie. Jestem. Przerażona”.

Niedźwiedź stanął i zagapił się na nią tak jak wcześniej mors. Zerknęła na karabin. Tak, był zbyt daleko. Zanim zdążyłaby go złapać i domyśliła się, jak z niego wystrzelić, będzie za późno. Zresztą nie miała pewności, że byłaby

w stanie zabić niedźwiedzia polarnego. Dlatego dalej uderzała chochlą w rondel.

Zamknęła oczy i, wciąż hałasując, marzyła o bibliotece. Kiedy je otworzyła, niedźwiedź wślizgiwał się do wody, łbem do przodu. Nawet gdy zniknął, nie przestała uderzać w rondel. Mniej więcej minutę później usłyszała przez mgłę, jak ludzie wołają jej imię.

Wyspa

Była w szoku. Ale był to nieco inny szok, niż przypuszczali jej towarzysze z pontonu. Nie był spowodowany bliskością śmierci. Nie. Norą wstrząsnęła świadomość, że naprawdę chce żyć.

Minęli małą wyspę. Zielone porosty pokrywały skalne fragmenty. Ptaki — zbite obok siebie alki i maskonury — kuliły się pod arktycznym wiatrem. To było życie, które trwało wbrew przeciwnościom.

Nora sączyła kawę, którą podał jej Hugo ze swojego termosu. Trzymała kubek w zimnych dłoniach spowitych trzema parami rękawiczek.

Była elementem natury, a to oznaczało, że i ją musi cechować wola życia.

Kiedy człowiek przebywa za długo w jednym miejscu, zapomina, jak wielki jest świat. Nie ma pojęcia o rozmiarze długości i szerokości geograficznych. Nora przypuszczała, że po prostu jednej osobie trudno ten ogrom poczuć.

Ale kiedy się go poczuje, kiedy coś się ujawni, pojawia się nadzieja, czy jej chcemy, czy nie, i ta nadzieja przykleja się do nas tak uparcie, jak przylegające do skały porosty.

Wieczna zmarzlina

Temperatura powietrza przy powierzchni na półwyspie Svalbard podnosi się dwukrotnie szybciej, niż wynosi przeciętna na Ziemi. Zmiany klimatu zachodzą tu znacznie szybciej niż we wszystkich innych częściach globu.

Jakaś kobieta w fioletowej wełnianej czapce zsuniętej aż na brwi opowiadała, jak na jej oczach jedna z gór lodowych po prostu runęła w dół — zdarzyło się to najwyraźniej dlatego, że ciepła woda rozpuściła spód góry i jej wierzchołek stał się zbyt ciężki.

Kolejny problem łączył się z faktem, iż wieczna zmarzlina na lądzie topniała, co zmiękczało teren, powodując powstawanie osuwisk i lawin, które mogły zniszczyć drewniane domy w Longyearbyen, największym mieście na Svalbardzie. Istniało również ryzyko, że po podmyciu miejscowego cmentarza na powierzchnię wypłyną zwłoki.

Inspirujące było przebywanie wśród tych naukowców, którzy usiłowali dokładnie ustalić, co się dzieje na planecie, starając się obserwować aktywność lodowcową i klimatyczną, ażeby poinformować o tym stosowne organy i w ten sposób spróbować ochronić życie na Ziemi.

Po powrocie na główną łódź Nora siedziała spokojnie w jadalni, podczas gdy wszyscy okazali jej współczucie z powodu spotkania z niedźwiedziem. Nie mogła im powiedzieć, że jest za to doświadczenie wdzięczna losowi. Po prostu uśmiechała się uprzejmie i na wszelkie możliwe sposoby starała się unikać rozmowy.

To życie było intensywne i bezkompromisowe. Obecnie temperatura na dworze wynosiła minus siedemnaście stopni, a Norę o mało nie pożarł niedźwiedź polarny, pomyślała jednak, że może po części problemem w jej pierwotnym życiu była właśnie jego nijakość.

Wcześniej po prostu uznała, że jej przeznaczeniem są przeciętność

i rozczarowania.

Naprawdę zawsze miała wrażenie, że pochodzi z długiej linii przodków, których wypełniał żal i poczucie zniweczonych nadziei, a te zdawały się odbijać echem w każdym kolejnym pokoleniu.

Na przykład jej dziadek ze strony matki nazywał się Lorenzo Conte. Opuścił Apulię — śliczną krainę zajmującą obcas „włoskiego buta” — i przyjechał do „swingującego Londynu” lat sześćdziesiątych.

Podobnie jak inni mężczyźni z opustoszałego portowego włoskiego miasta Brindisi dziadek Nory wyemigrował do Wielkiej Brytanii, zamieniając życie nad Adriatykiem na pracę w londyńskiej firmie Brick Company. W swej naiwności wyobrażał sobie, że przez cały dzień będzie produkował cegły, a potem, wieczorami obracał się w towarzystwie Beatlesów lub przechadzał Carnaby Street pod ramię z Jean Shrimpton albo Marianne Faithful. Jedyne problem polegał na tym, że — wbrew nazwie — firma London Brick Company w rzeczywistości wcale nie znajdowała się w Londynie. Jej siedziba mieściła się prawie sto kilometrów na północ, w Bedford, miejscowości, która, pomimo pewnego uroku, okazała się nie tak „swingująca”, jak by sobie tego życzył Lorenzo. Ale dziadek Nory machnął ręką na marzenia i tam się osiedlił. Praca nie była może szczególnie prestiżowa, ale dobrze płacili.

Lorenzo poślubił miejscową kobietę, Brytyjkę o nazwisku Patricia Brown, która również powoli przyzwyczajała się do życiowych rozczarowań, zamieniając marzenie o zostaniu aktorką na przyziemny, codzienny teatr gospodyni z prowincji i na której umiejętności kulinarne zawsze rzucała upiorny cień postać zmarłej teściowej z Apulii i jej legendarne spaghetti, któremu w oczach Lorenza potrawy żony nigdy nie były w stanie dorównać.

W niecały rok po ślubie urodziła im się dziewczynka — matka Nory — i nazwali ją Donna.

Podczas gdy Donna dorastała, jej rodzice nieustannie się kłócili, w związku z czym dziewczyna wierzyła, że małżeństwo jest nie tylko losem nieuniknionym, lecz także nieuchronnie nieszczęśliwym. Została sekretarką

w kancelarii prawnej, a następnie rzeczniczką rady miasta Bedford, potem jednak niestety doszło do pewnego zdarzenia, o którym w rodzinie właściwie nigdy nie mówiono, przynajmniej nie w obecności Nory. Donna przeżyła wtedy załamanie nerwowe — zresztą pierwsze z kilku — w wyniku którego musiała na jakiś czas pozostać w domu; a potem, chociaż wyzdrowiała, nigdy już do pracy nie wróciła.

Nora odnosiła wrażenie, że matka przekazała jej coś w rodzaju niewidzialnej pałeczki łączącej się z ciągiem porażek i Nora dzierżyła tę pałeczkę przez długi czas. Może dlatego zrezygnowała z tak wielu rzeczy. Ponieważ miała zapisane w swoim DNA, że musi ponieść klęskę.

Myślała o tym teraz, gdy łódź powoli przedzierała się przez arktyczne wody, a ptaki — według Ingrid, mewy trójpalczaste — przelatywały im nad głowami.

W rodzinie Nory, zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki, panowało niewypowiedziane przekonanie, że życie musi nas wydymać. Tato Nory, Geoff, prowadził życie, które rozminęło się całkowicie z jego marzeniami.

Został wychowany przez matkę, ponieważ jego ojciec zmarł na atak serca, gdy Geoff miał dwa lata, okrutnie znikając gdzieś wśród najwcześniejszych wspomnień chłopca. Jego matka, babka Nory, urodziła się w irlandzkiej wiosce, ale wyemigrowała do Anglii, gdzie zatrudniła się w jakiejś szkole jako sprzątaczką, z trudem zarabiając dość pieniędzy na jedzenie, lecz na pewno nie na cokolwiek, co by można nazwać rozrywką.

Na wczesnym etapie życia dręczono Geoffa, wyrósł jednak na dużego chłopaka o szerokich barach, więc z łatwością pokazał łobuzom, gdzie ich miejsce. Mocno nad sobą pracował i całkiem nieźle zaczął sobie radzić w piłce nożnej, pchnięciu kulą, a zwłaszcza w rugby. Grał w drużynie młodzieżowej Bedford Blues, został jej najlepszym zawodnikiem i już mu się marzyła sława, gdy jego drogę na szczyt przerwała kontuzja jednego z wiązadeł. Wtedy został nauczycielem wychowania fizycznego i żył, dusząc w sobie cichą urazę do całego świata. Zawsze marzył o odległych krainach,

ale nigdy dużo nie podróżował, prenumerował jedynie „National Geographic” i od czasu do czasu spędzał wakacje gdzieś na Cykladach — Nora zapamiętała go z Naksos, jak fotografował świątynię Apollina o zachodzie słońca.

Ale może tak wygląda każda egzystencja. Może nawet najbardziej doskonale intensywne czy wartościowe życie ostatecznie wydaje się takie samo. Mnóstwo rozczarowań i monotonii, krzywd i rywalizacji, ale z przebłyskami cudów i piękna. I może tylko to się liczy. Być światem, doświadczać świata. Może to nie brak osiągnięć unieszczęśliwił jej rodziców i brata, lecz — przede wszystkim — oczekiwanie na rzekome osiągnięcia. Właściwie, Nora nie miała pojęcia. Ale na tej łodzi coś sobie uświadomiła. Kochała swoich rodziców bardziej, niż kiedykolwiek zdawała sobie z tego sprawę, a teraz jeszcze wszystko im wybaczyła.

Jedna noc w Longyearbyen

Powrót do maleńkiego portu w Longyearbyen zajął im dwie godziny. Jest to najbardziej na północ wysunięte miasto zarówno Norwegii, jak i Ziemi, zamieszkałe przez mniej więcej dwa tysiące osób.

Nora знаła te podstawowe fakty ze swojego pierwotnego życia. Przecież fascynował ją ten region świata, odkąd miała jedenaście lat, ale jej wiedza nie wykraczała poza przeczytane artykuły z czasopism, a rozmów z pozostałymi naukowcami nadal się obawiała.

Ale teraz na łodzi czuła się usprawiedliwiona, ponieważ jej niechęć do omawiania próbek skał, lodu i roślin, które pobrali, czy też nieumiejętność zrozumienia takich wyrażeń, jak „pokryta żłobieniami bazaltowa skała macierzysta” lub „izotopy polodowcowe” złożono na karb szoku po spotkaniu z niedźwiedziem polarnym.

A Nora rzeczywiście była w szoku. Chociaż nie w takim, jak sobie to wyobrażali jej koledzy. Szok nie wiązał się ze świadomością, że za chwilę mogłaby umrzeć. Miała przecież umrzeć, jeszcze zanim po raz pierwszy weszła do Biblioteki o Północy. Nie, była w szoku, ponieważ okazało się, że jednak chce żyć. A przynajmniej zaczęła sobie wyobrazać, że znów chce żyć. I pragnęła zrobić z tym życiem coś dobrego.

Zdaniem szkockiego filozofa Davida Hume'a dla wszechświata życie człowieka nie ma znaczenia większego niż życie ostrygi.

Ale jeśli Davidowi Hume'owi ta myśl wydała się na tyle znacząca, że ją zapisał, to chyba każdy człowiek powinien się starać zrobić coś dobrego. Pomóc zachować życie we wszystkich jego formach.

Z tego, co rozumiała Nora, wykonywana tutaj przez jej odpowiedniczkę i innych naukowców praca miała coś wspólnego z próbą określenia prędkości, z jaką lód i lodowce na tym obszarze topnieją, dzięki czemu można będzie

ustalić ogólne tempo zmian klimatycznych na świecie. Było w tych działaniach coś więcej, ale na tym polegało ich sedno, o ile Nora potrafiła to ocenić.

W tym życiu zatem ze wszystkich sił starała się ocalić planetę. Lub przynajmniej monitorować ciągłą jej dewastację, żeby ostrzegać ludzi przed kwestiami związanymi z kryzysem środowiskowym. Z jednej strony — jak sądziła — praca była dość przygnębiająca, z drugiej dobra i pożyteczna, a ostatecznie zapewne satysfakcjonująca. Odpowiedniczka Nory miała zatem w życiu cel. Robiła coś znaczącego.

I zaimponowała komuś. Pozostałym członkom grupy. Byli pod wrażeniem, jak sobie poradziła z niedźwiedziem polarnym. Była teraz kimś w rodzaju bohaterki — nie taką jak mistrzyni olimpijska w pływaniu, ale osobą, która może być z siebie zadowolona.

Ingrid objęła ją ramieniem.

— Jesteś wojowniczką z rondlem. I myślę, że powinniśmy uczcić twoje nieustraszone podejście i nasze potencjalnie przełomowe odkrycia posiłkiem. Dobrym posiłkiem. I odrobiną wódki. Co powiesz, Peterze?

— Dobry posiłek? W Longyearbyen? Można tu taki zjeść?

Okazało się, że tak.

Zeszli na suchy ląd i udali się do położonej przy samotnej drodze w surowej, zaśnieżonej dolinie eleganckiej drewnianej chaty, w której mieściła się restauracja o nazwie Gruvelageret. Nora napiła się arktycznego piwa i zaskoczyła kolegów, wybierając jedyną wegańską potrawę z menu, które obejmowało również steki z renifera i burgery z łosia. Chyba wyglądała na zmęczoną, ponieważ wielu kolegów jej to wytykało, ale może chodziło po prostu o to, że niewiele było takich rozmów, w których odważała się wziąć udział. Czuła się jak początkujący kierowca na ruchliwym skrzyżowaniu, nerwowo czekający na pusty, bezpieczny fragment drogi.

W ich grupce był też Hugo. Nadal kojarzył się Norze raczej z kimś, kto

wolałyby teraz znajdować się w Antibes lub w Saint-Tropez. Kiedy na nią patrzył, niepokoiło ją to i czuła się obserwowana.

W trakcie pośpiesznej drogi powrotnej do ich miejsca noclegowego na łądzie (które przypominało jej dom studencki z czasów uniwersytetu, choć budynek był mniejszy, bardziej nordycki, drewniany i minimalistyczny) Hugo podbiegł, zrównał się z nią i ruszył obok niej.

— To interesujące — ocenił.

— Co takiego?

— Że dziś rano przy śniadaniu nie wiedziałaś, kim jestem.

— Dlaczego? Ty również nie wiedziałaś, kim jestem.

— Oczywiście, że wiedziałem. Wczoraj rozmawialiśmy przez dobre dwie godziny.

Nora miała wrażenie, że wpadła w pułapkę.

— Naprawdę?

— Przyglądałem ci się podczas śniadania, zanim podszedłem, i zauważyłem, że dzisiaj jesteś inna.

— To chore, Hugo. Studiowanie kobiet przy śniadaniu.

— Tak czy inaczej, dostrzegłem różne szczegóły.

Nora uniosła wyżej szalik, zakrywając sobie część twarzy.

— Jest za zimno. Możemy porozmawiać o tym jutro?

— Zauważyłem, że improwizujesz. Przez cały dzień o wszystkim mówiłaś w sposób niezobowiązujący.

— Nieprawda. Jestem po prostu wstrząśnięta. Wiesz, niedźwiedź...

— *Non. Ce n'est pas ça*⁷. To nie to. Mówię o naszej rozmowie przed zdarzeniem z niedźwiedziem. I po zdarzeniu. I o całym dniu.

— Nie mam pojęcia, co próbujesz...

— Twoje spojrzenie. Widziałem je wcześniej u innych osób. Rozpoznałbym je wszędzie.

— Nie wiem, o czym mówisz!

— Dlaczego lodowce pulsują?

— Co?

— To jest twój obszar badań. Po to tu przyleciałaś, nieprawdaż?

— Nauka nie jest całkowicie pewna w tej kwestii.

— Okej. *Bien*. Podaj mi nazwę jednego z tutejszych lodowców. Lodowce mają nazwy, wiesz. Wymień jedną... Kongsbreen? Nathorstbreen? Coś ci to mówi?

— Nie chcę teraz rozmawiać.

— Bo nie jesteś tą samą osobą, którą byłaś wczoraj, zgadza się?

— Nikt z nas nie jest — odpowiedziała mu od razu zdecydowanym tonem.

— Zmieniają się nasze mózgi. To się nazywa neuroplastycznością. Proszę cię, Hugo, przestań protekcjonalnie wyjaśniać glaciolożce jej przedmiot badań.

Mężczyzna postanowił chyba dać jej spokój, a ona poczuła się nieco winna. Nastąpiła minuta ciszy. Słyszeć było tylko chrzęst ich butów na śniegu. Już prawie dotarli do miejsca zakwaterowania, a pozostali członkowie grupy znajdowali się zbyt daleko.

I wtedy Hugo to powiedział:

— Jestem taki jak ty, Noro. Odwiedzam kolejne życie, które nie jest moje. W tym jestem od pięciu dni. Ale odwiedziłem też wiele innych. Otrzymałem taką możliwość... rzadką możliwość. Od długiego czasu prześlizguję się pomiędzy własnymi wcieleniami.

W tym momencie Ingrid chwyciła Norę za ramię.

— Mam jeszcze trochę wódki — oznajmiła, gdy doszli do drzwi. Podniosła rękę w rękawiczce do skanera i przesunęła przed nim kartą magnetyczną. Drzwi się otworzyły.

— Słuchaj — wymamrotał konspiracyjnym tonem Hugo — jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, spotkaj się ze mną za pięć minut we wspólnej kuchni.

Nora poczuła, jak wali jej serce, tym razem nie miała jednak ani chochli, ani rondla. Nieszczerólnie polubiła Hugo, ale była zbyt zaintrygowana, by nie

wysłuchać tego, co miał jej do powiedzenia. Chciała też wiedzieć, czy może mu zaufać.

— Dobra — odparła. — Będę tam.

Oczekiwanie

Nora zawsze miała problem z akceptacją własnej osoby. Odkąd sięgała pamięcią, dręczyło ją poczucie, że we wszystkim mogłaby być lepsza. Jej rodzice, którym również brakowało pewności siebie, przychylali się do tej opinii.

Zastanawiała się teraz, jak by to było całkowicie siebie zaakceptować. Każdy błąd, jaki kiedykolwiek popełniła. Każdy ślad na ciele. Każde marzenie, którego nie zrealizowała, lub każdy ból, który poczuła. Każdy stłumiony przejaw pożądania albo tęsknoty.

Wyobraziła sobie, że nagle wszystko to akceptuje. W taki sposób, w jaki przyjmowała otaczającą ją naturę. W sposób, w jaki akceptowała lodowiec, maskonura czy wyskakującego nad wodę wieloryba.

Wyobraziła sobie, że postrzega siebie jako następny genialny wybryk natury. Kolejną zdolną do odczuwania, starającą się ze wszystkich sił istotę.

Równocześnie rozmyślała, jak czułaby się jako osoba całkowicie wolna.

Życie, śmierć i funkcja fal kwantowych

W przypadku Hugona to nie była biblioteka.

— To był sklep wideo — opowiadał mężczyzna, opierając się o tania wyglądającą szafkę kuchenną, w której przechowywano kawę. — Wyglądał dokładnie jak Vidéo Lumière, sklep wideo, do którego chodziłem na przedmieściach Lyonu, tam, gdzie dorastałem. Bracia Lumière są bohaterami w Lyonie i jest tam wiele miejsc nazwanych na ich cześć. Wymyślili tam kino. Nie o to zresztą chodzi. Ważne jest, że każde życie, które wybieram, znajduje się na starej kasecie wideo, którą odtwarzam bezpośrednio w tym sklepie. W momencie, w którym ją włączam... w momencie rozpoczęcia się filmu... znikam.

Nora stłumiła chichot.

— Co cię tak bawi? — spytał Hugo, trochę oburzony.

— Ależ nic. Naprawdę nic. To po prostu wydało mi się zabawne. Sklep wideo.

— Tak? A biblioteka, rozumiem, jest sensowna?

— Sensowniejsza, tak sądzę. No wiesz, książki przynajmniej nadal się czyta. A kto dzisiaj odtwarza filmy VHS?

— Ciekawe. Nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego jak snobizm... międzyżyciowy. Jesteś taka wykształcona.

— Wybacz, Hugo. Dobra, zadam rozsądne pytanie. Czy w sklepie jest ktoś jeszcze? Osoba, która pomaga ci wybierać kolejne życie?

Pokiwał głową.

— Tak. To mój wujek Phillippe. Zmarł wiele lat temu. I nigdy nawet nie pracował w sklepie wideo. To strasznie nielogiczne.

Nora powiedziała mu o pani Elm.

— Szkolna bibliotekarka? — zadrwił Hugo. — To również jest zabawne.

Zignorowała go.

— Czy uważasz, że to duchy? Duchy przewodnie? Anioły Stróże? Co to za osoby?

Wypowiadanie takich słów w samym sercu placówki naukowej Nora uznała nagle za absurdalne.

— Są — zrobił gest, jakby próbował wyrwać właściwy termin z powietrza — interpretacją.

— Interpretacją?

— Natknąłem się już na takich jak my — ciągnął. — Od dłuższego czasu przebywam w stanie przejściowym. Spotkałem kilkoro innych podróżników. Tak ich nazywam, bo podróżują między własnymi żywotami. Jesteśmy podróżnikami. Mamy główne życie, to, w którym każde z nas leży gdzieś nieprzytomne, zawieszona pomiędzy życiem i śmiercią, równocześnie docierając w pewne miejsce. I dla każdego jest ono inne. Biblioteka, sklep wideo, galeria sztuki, kasyno, restauracja... Co myślisz?

Nora wzruszyła ramionami. Zastanowiła się. Wsłuchiwała się w szum centralnego ogrzewania.

— Że to wszystko bzdury? Że nic z tego nie jest realne?

— Cóż, nie. Ponieważ szablon jest zawsze taki sam. Na przykład: zawsze jest ta dodatkowa osoba... przewodnik. Tylko jedna osoba. I ten przewodnik jest osobą, która kiedyś pomogła podróżnikowi w ważnym momencie jego życia. A scenerię zawsze stanowi miejsce o znaczeniu emocjonalnym. I zwykle mówi się o pierwotnym życiu lub o rozwidleniach.

Nora przypomniała sobie, jak pani Elm pocieszała ją po śmierci ojca. Była z nią i dodawała jej otuchy. Nikt nigdy chyba nie okazał jej większej życzliwości niż bibliotekarka.

— I zawsze istnieje nieskończony zakres możliwości do wyboru — kontynuował Hugo. — Nieskończona liczba kaset wideo, książek, obrazów lub posiłków... Teraz jestem naukowcem. Wcześniej wiele razy nim byłem. W moim pierwotnym życiu mam dyplom z biologii. Ale w innym życiu

dostałem Nobla z chemii. W jeszcze innym specjalizowałem się w biologii morskiej i próbowałem ochronić Wielką Rafę Koralową. Ale zawsze byłem słaby z fizyki. Początkowo nie miałem pojęcia, jak się dowiedzieć, co się ze mną dzieje. Dopóki nie spotkałem w jednym z wcieleń kobiety, która przechodziła przez to samo, przez co my przechodzimy, a w swoim pierwotnym życiu była fizykiem kwantowym. Profesor Dominique Bisset z uniwersytetu w Montpellier. Ona mi to wszystko wyjaśniła. Interpretacja fizyki kwantowej w teorii wielu światów. Oznacza to, że my...

Mężczyzna o życzliwej twarzy, różowawej cerze i kasztanowej brodzie, którego imienia Nora nie знаła, wszedł w tym momencie do kuchni, opłukał filiżankę po kawie, po czym uśmiechnął się do nich obojga.

— Do zobaczenia jutro — powiedział z lekkim amerykańskim (albo może kanadyjskim) akcentem, po czym odszedł, szurając kapciami.

— Tak — odrzekła Nora.

— Na razie — rzucił tamtemu Hugo, po czym ściszonego tonem podjął wątek: — Teoria uniwersalnej funkcji falowej jest prawdziwa, Noro. Tak powiedziała profesor Bisset.

— Czyli że co powiedziała?

Hugo uniósł palec. To był nieco irytujący gest, jakby rozmówca kazał jej czekać. Nora oparła się silnej chęci, by złapać za ten palec i go wykręcić.

— Erwin Schrödinger...

— Ten od kota.

— Tak. Facet od kota... Twierdził, że w fizyce kwantowej każda alternatywna możliwość dzieje się j e d n o c z e ś n i e. Wszystko dzieje się naraz. W tym samym miejscu. W superpozycji kwantowej. Kot w pudełku jest zarówno żywy, jak i martwy. Można otworzyć pudełko i sprawdzić, czy kot żyje. Jasne, że tak, ale w pewnym sensie nawet po otwarciu pudła kot nadal będzie zarówno żywy, jak i martwy. Każdy wszechświat istnieje równocześnie z innymi wszechświatami. Jak milion rysunków na kalce kreślarskiej, gdzie każdy kadr nieco się różni od pozostałych. Fizyka kwantowa sugeruje, że

istnieje nieskończona liczba rozbieżnych wszechświatów równoległych. W każdej chwili życia wkraczamy w nowy wszechświat. Wraz z każdą decyzją, którą podejmujemy. Tradycyjnie sądzono, że nie może istnieć komunikacja ani transfer... przenoszenie pomiędzy tymi światami, mimo iż zdarzają się one w tej samej przestrzeni, dosłownie o milimetry od nas.

— A tacy jak my? My się przenosimy.

— Dokładnie. Ja jestem tutaj, ale wiem też, że mnie tu nie ma. Leżę w szpitalu w Paryżu z tętniakiem. Równocześnie skaczę na spadochronie w Arizonie. I podróżuję po południowych Indiach. I degustuję wino w Lyonie. I pływam jachtem wzdłuż Lazurowego Wybrzeża.

— Wiedziałaś!

— *Vraiment*⁸?

Ten Hugo zaczynał się Norze podobać.

— Prędzej widziałabym cię na spacerze po bulwarze Croisette w Cannes niż w trakcie arktycznej przygody.

Rozczapierzył prawą rękę w kształt rozgwiazdy.

— Pięć dni — powiedział. — Spędziłem w tym życiu pięć dni! To mój rekord. Może to jest odpowiednie życie dla mnie...

— Ciekawe. Wybrałbyś bardzo zimne życie.

— Kto wie? Może ty też... To znaczy, skoro spotkanie z niedźwiedziem nie przeniosło cię z powrotem do biblioteki, może nic nie jest w stanie do tego doprowadzić. — Zaczął napełniać czajnik. — Nauka mówi nam, że „szara strefa” między życiem a śmiercią to miejsce tajemnicze. Jest tam taki szczególny moment, w którym nie jesteśmy konkretnie tym czy innym. A raczej jesteśmy równocześnie jednym i drugim. Żywi i martwi. I w tej chwili pomiędzy dwoma układami binarnymi czasem, tylko czasem, zmieniamy się w kota Schrödingera, który nie może być albo jedynie żywy, albo jedynie martwy, lecz może być każdą możliwością kwantową, jaka istnieje zgodnie z uniwersalną funkcją falową, łącznie z opcją, w której my

dwoje pewnego dnia godzinę po północy rozmawiamy we wspólnej kuchni w Longyearbyen...

Nora zastanawiała się nad tym wszystkim. Pomyślała o Wolterze, o nieruchomym i pozbawionym życia ciałku pod łóżkiem i tym leżącym przy drodze.

— Ale czasami kot jest martwy i... martwy.

— Co takiego?

— Nic. Po prostu... mój kot zdechł... Umarł. Spróbowałam innego życia i w tym innym kot również nie żył.

— Tak, to smutne. Miałem podobną sytuację z moim labradorem. Ale chodzi o to, że istnieją inni, tacy jak my. Żyłem niejednym życiem, naprawdę wieloma, i spotkałem podobne do nas osoby. Czasami łatwo je znaleźć, tak jak ciebie, wystarczy opowiedzieć głośno o sobie.

— To szaleństwo... ta myśl, że istnieją inni ludzie, którzy również są... jak nas nazwałś?

— Podróżnikami?

— Tak. No właśnie.

— Cóż, jest trochę takich osób, ale sądzę, że taki stan jest jednak rzadki. W przypadku tych, których spotkałem, a było ich dwanaścioro, zauważyłem jedną charakterystyczną rzecz... Wszyscy byli mniej więcej w naszym wieku. Mieli od trzydziestu do pięćdziesięciu kilku lat. Chociaż jeden miał dwadzieścia dziewięć, *en fait*⁹. Wszyscy też mieli w sobie głębokie pragnienie zmiany, zrobienia czegoś inaczej. Każde czegoś żałowało. Niektórzy zastanawiali się, czy nie lepiej, gdyby umarli, ale równocześnie chcieli żyć jako inna wersja siebie.

— Życie Schrödingera. Być we własnym umyśle zarówno martwym, jak i żywym.

— *Exactement*¹⁰! I cokolwiek ten żal zrobił z mózgiem każdego z nas, jakiegokolwiek... jak by to powiedzieć... neurochemiczne zdarzenie zaszło, ta

równoczesna tęsknota za śmiercią i życiem w jakiś sposób wystarczyła i wpadliśmy w stan totalnego zawieszenia.

Czajnik zaczynał gwizdać, gotująca się woda szalała jak myśli w głowie Nory.

— Dlaczego zawsze widzimy tylko tę jedną osobę? W miejscu, do którego wracamy. W mojej bibliotece. W twoim sklepie...

Hugo wzruszył ramionami.

— Gdybym był religijny, powiedziałbym, że ta osoba jest Bogiem. A ponieważ Boga prawdopodobnie nie możemy zobaczyć ani nawet pojąć, przybiera on... albo ona... obraz osoby z naszego życia, którą dobrze wspominamy. A jako osoba niereligijna, bo jestem niewierzący, powiem, że w mojej opinii... ludzki mózg nie jest po prostu w stanie poradzić sobie ze złożonością funkcji falowej. Dlatego porządkuje albo przekłada tę złożoność na coś dla siebie zrozumiałego. Bibliotekarkę w bibliotece. Fajnego wujka w sklepie z kasetami wideo. I tak dalej.

Nora czytała kiedyś o teorii wieloświatów, wiedziała też co nieco o psychologii postaci. O tym, że ludzki mózg przyjmuje skomplikowane informacje na temat świata i je upraszcza, dzięki czemu człowiek, patrząc na drzewo, tłumaczy sobie tę misterną, złożoną masę liści i gałęzi na twór nazwany „drzewem”. Bycie człowiekiem łączy się z ciągłym zmienianiem otaczającego świata w zrozumiałą opowieść, w której wszystko jest proste.

Wiedziała, że ludzie wszystko postrzegają w sposób uproszczony. Człowiek widzi świat w trzech wymiarach i to już jest uproszczenie. Istoty ludzkie są zasadniczo ograniczonymi, generalizującymi stworzeniami, które żyją odruchowo, prostując w swoich umysłach zakrzywione ulice, co może tłumaczyć, dlaczego ciągle się gubią.

— Ludzie nigdy nie widzą wskazówki sekundowej zegara w połowie tyknięcia — oznajmiła.

— Że jak?

Zobaczyła, że Hugo nosi zegarek analogowy.

— Spróbuj. Nie dostrzeżesz jej ruchu. Po prostu nie zdołasz. Umysł nie potrafi zauważyć tego, z czym nie jest w stanie sobie poradzić.

Mężczyzna pokiwał głową, wpatrując się w tarczę swojego zegarka.

— A zatem — podjęła Nora — to, co istnieje pomiędzy światami, najprawdopodobniej nie jest biblioteką, lecz ja tak to postrzegam, bo tak jest mi najłatwiej. To moja hipoteza. Widzę uproszczoną wersję prawdy. Bibliotekarka jest tylko rodzajem metafory z mojego umysłu. Cała sprawa nią jest.

— Czyż to nie fascynujące? — spytał Hugo.

Nora westchnęła.

— W ostatnim życiu rozmawiałam z moim zmarłym tatą.

Hugo otworzył słoik z kawą i wrzucił po łyżce granulek do dwóch kubków.

— I nie piłam kawy tylko herbatę miętową.

— Brzmi strasznie.

— Nie, to akurat było znośne.

— Kolejna dziwna rzecz — przypomniał sobie Hugo. — W dowolnym momencie naszej rozmowy ty albo ja możemy po prostu zniknąć.

— Zdarzyło się coś takiego na twoich oczach? — Przyjęła kubek, który jej podał.

— Tak. Kilka razy. Dziwne to było. Ale nikt poza mną niczego nie zauważał. Rozmówcy trochę gubili się we wspomnieniach z poprzedniego dnia, trochę byli zaskoczeni. Gdybyś teraz nagle wróciła do biblioteki, a ja tu, w kuchni wciąż bym stał i z tobą rozmawiał, twoja tutejsza postać powiedziałaaby coś w rodzaju: „Oj, mam pustkę w głowie... O czym gawędziliśmy?”, i wtedy ja bym się domyślił, co się stało, odpowiedziałbym, że mówiliśmy o lodowcach, a ty mnie bombardowałaś faktami na ich temat. I wówczas twój umysł uzupełniłby luki i na własne potrzeby stworzyłby sobie opowieść o tym, co się właśnie wydarzyło.

— Tak, ale co z niedźwiedziem polarnym? Co z dzisiejszym posiłkiem? Czy ja... ta druga ja... będzie pamiętała, co jadłam?

— Niekoniecznie. Ale widziałem, jak to się odbywa. Niesamowite, jak mózg potrafi wypełniać luki w pamięci. Zapominanie szczegółów nie jest przecież niczym niezwykłym.

— Więc jaka byłam? To znaczy... wczoraj.

Zapatrzył się na nią. Ładnymi oczami. Nora od razu miała wrażenie, że Hugo wciąga ją na swoją orbitę jak Ziemia satelitę.

— Wykwintna, urocza, inteligentna, piękna. Podobnie jak teraz.

Obróciła jego słowa w żart.

— Przestań być taki francuski.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

— W ilu życiach byłeś? — spytała w końcu. — Ilu doświadczyłeś?

— Zbyt wielu. Prawie trzystu.

— Trzystu?!

— Byłem, kim chciałem. Wszędzie, na każdym kontynencie Ziemi. A jednak nigdy nie znalazłem odpowiedniej dla siebie egzystencji. Pogodziłem się z faktem, że już zawsze tak będzie. Że nigdy nie znajdę życia, które naprawdę chciałbym przeżyć do końca. Jestem zbyt ciekawski. Za bardzo tęsknię za czymś innym. I nie musisz robić takiej miny. To nie jest smutne. Trwam szczęśliwie w stanie zawieszenia.

— Ale co się stanie, jeśli któregoś dnia nie będzie sklepu wideo? — Nora przypomniała sobie panikującą przy komputerze panią Elm i migoczące światła w bibliotece. — Co, jeśli w którymś momencie znikniesz na dobre? Zanim odkryjesz życie, w którym mógłbyś pozostać?

Wzruszył ramionami.

— Wtedy umrę. A to będzie oznaczać, że i tak bym umarł. Wiesz, w życiu, którym żyłem na początku. W pewnym sensie lubię podróżować między światami. Lubię tę niedoskonałość. Lubię mieć śmierć jako opcję. Lubię fakt, że nie muszę nigdzie osiąść.

— Myślę, że moja sytuacja jest inna. Że naprawdę śmierć jest blisko. Jeżeli dość szybko nie znajdę dla siebie życia, odejdę na dobre.

Opowiedziała mu o problemie, którego doświadczyła podczas ostatniego powrotu do biblioteki.

— Och. Tak, to może być paskudne. Ale może wcale nie. Zdajesz sobie sprawę, że są tu nieskończone możliwości? Na wieloświat nie składa się zaledwie kilka światów. Nie garstka. Nawet nie wiele światów. Ani około miliona, miliarda czy biliona. Ich liczba jest... nie-skoń-czo-na. Także tych, w których jesteś ty. Możesz być sobą w dowolnej wersji świata, jakkolwiek mało prawdopodobny by ten świat był. Ogranicza cię jedynie wyobraźnia. Możesz bardzo kreatywnie podejść do decyzji, których żałujesz i które chcesz cofnąć. Kiedyś rozprawiłem się z żalem dotyczącym pewnego marzenia... Jako nastolatek chciałem studiować inżynierię kosmiczną i zostać astronautą, więc w którymś życiu nim zostałem. Nie, nie poleciałem w przestrzeń. Ale byłem kimś, kto wcześniej przez jakiś czas przebywał w kosmosie. Musisz zawsze pamiętać o jednym: traktuj to, co ci się przydarza, jako okazję, rzadką okazję. Możemy cofnąć każdy popełniony błąd, żyć dowolnym życiem, tak jak chcemy. Każdym możliwym życiem. Miej wielkie marzenia... Możesz być, kimkolwiek zapragniesz. Ponieważ w jednym życiu tym kimś właśnie jesteś.

Popijała kawę.

— Rozumiem.

— Ale jeśli szukasz sensu życia, nigdy nie będziesz żyć — oznajmił mądrze.

— Cytujesz Camusa.

— Przyłapałaś mnie.

Znów na nią patrzył. Mniej już się przejmowała intensywnością jego spojrzenia, ale zaczęła się trochę martwić o własne.

— Studiowałam filozofię — rzuciła tak obojętnie, jak tylko potrafiła, starając się unikać jego wzroku.

Znajdował się teraz blisko niej. Było w nim coś irytującego i atrakcyjnego równocześnie. Emanował arogancką amoralnością, z powodu której Nora

miała ochotę — zależnie od okoliczności — spoliczkować go lub całować po twarzy.

— W jednym życiu znamy się od lat i jesteśmy małżeństwem... — zauważył.

— Ale w większości wcieleń w ogóle cię nie znam — wytknęła, patrząc mu prosto w oczy.

— To takie smutne.

— Nie sędzę.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Uśmiechnęła się.

— Jesteśmy specjalni, Noro. Jesteśmy wybrancami. Nikt nas nie rozumie.

— Nikt nikogo nie rozumie. I nie zostaliśmy wybrani.

— Jedynym powodem, dla którego wciąż tkwię w tym konkretnym życiu, jesteś ty...

Rzuciła się do przodu i pocałowała go.

Jeśli coś ma mi się przydarzyć, chcę tam być

To było bardzo przyjemne uczucie. Zarówno sam pocałunek, jak i myśl, że Nora się na to odważyła. Świadomość, że wszystko, co mogłoby się zdarzyć, już jej się przytrafiło, gdzieś, w jakimś życiu, w pewien sposób uwolniła ją od konieczności podejmowania decyzji. Tak po prostu wyglądała teraz jej rzeczywistość i już. Cokolwiek się działo — rozumowała Nora — można to było przypisać fizyce kwantowej.

— Nie dzielę z nikim pokoju — powiedział Hugo.

Patrzyła teraz na niego bez lęku, jakby spotkanie z niedźwiedziem polarnym dało jej umiejętność dominacji, z posiadania której nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

— No cóż, Hugo, może mógłbyś przełamać ten nawyk.

Ale seks okazał się rozczarowaniem. W samym środku Nora przypomniała sobie inne słowa Camusa:

„Może nie byłem całkowicie pewny, co naprawdę mnie interesuje, ale miałem absolutną pewność, co mnie nie interesuje”.

O jakości ich randki nie najlepiej chyba świadczyło, że w trakcie rozmyślała o filozofii egzystencjalnej, podobnie jak nie świadczył dobrze fakt, że właśnie ten konkretny cytat przyszedł jej do głowy. Ale czy Camus nie powiedział także: „Jeśli coś ma mi się przydarzyć, chcę tam być”?

Doszła do wniosku, że Hugo jest dziwny. Jak na człowieka tak otwartego w rozmowie i tak na niej skoncentrowanego, podczas intymnych chwil wydawał się osobliwie roztargniony. Może gdy ktoś trafia w tak wiele różnych światów, naprawdę bliską osobą jest dla niego wyłącznie on sam. Nora w każdym razie czuła się przy nim tak, jakby jej wcale nie było.

I za chwilę rzeczywiście już jej przy nim nie było.

Bóg i inni bibliotekarze

— Kim jesteś?

— Znasz moje nazwisko. Jestem pani Elm. Louise Isabel Elm.

— Jesteś Bogiem?

Kobieta uśmiechnęła się.

— Jestem tym, kim jestem.

— Czyli kim?

— Bibliotekarką.

— Ale nie jesteś prawdziwą osobą. Jesteś tylko... mechanizmem.

— Czy nie tak, jak my wszyscy?

— Nie w ten sposób. Jesteś wytworem jakiejś osobliwej interakcji między moim umysłem a wieloświatem, jakimś uproszczeniem funkcji fali kwantowej lub czegoś w tym rodzaju.

Pani Elm wyglądała na zaniepokojoną tą sugestią.

— Co się dzieje?

Patrząc na żółto-brązową kamienną podłogę, Nora pomyślała o niedźwiedziu polarnym.

— O mało nie umarłam.

— Och, pamiętaj, że jeśli umrzesz w jakimś życiu, nie wrócisz tutaj.

— To niesprawiedliwe.

— W bibliotece panują surowe zasady. Książki są cenne. Musisz obchodzić się z nimi ostrożnie.

— Ale to są różne życia. Różne warianty mnie. Nie po prostu... ja.

— Tak, ale gdy żyjesz danym życiem, musisz ponosić konsekwencje.

— No cóż, szczerze powiem, że mi się to nie podoba.

Kobieta znów się uśmiechnęła i kąciki jej ust podwinęły się jak zeschnięte liście.

— Cóż, to interesujące.

— Co jest interesujące?

— Fakt, że tak gruntownie zmieniłaś swoje podejście do umierania.

— Że jak?

— Chciałaś umrzeć, a teraz nie chcesz.

Norze zaświtało w głowie, że pani Elm może mieć rację, choć nie do końca.

— Nadal uważam, że moje pierwotne życie było nic nie warte. To doświadczenie właśnie ten fakt potwierdziło.

Kobieta potrząsnęła głową.

— Moim zdaniem tak nie uważasz.

— Uważam tak — upierała się Nora. — Właśnie dlatego to powiedziałam.

— Nie. *Księga żalów* robi się coraz lżejsza. Jest w niej teraz sporo pustych kartek... Wygląda na to, że spędziłaś całe swoje życie, mówiąc rzeczy, których tak naprawdę nie myślałaś. To jedna z twoich barier.

— Barrier?

— Tak. Masz ich wiele. Powstrzymują cię przed ujzieniem prawdy.

— Prawdy na jaki temat?

— Na swój. A musisz zacząć próbować dotrzeć do prawdy. Ponieważ ma to znaczenie.

— Myślałam, że do wyboru jest nieskończona liczba wcieleń.

— Musisz wybrać życie, w którym będziesz najszczęśliwsza. Albo wkrótce nie będziesz miała żadnego wyboru.

— Poznałam kogoś, kto przemieszcza się od długiego czasu i wciąż nie znalazł życia, które by go satysfakcjonowało...

— Cóż, Hugo posiada przywileje, które być może nie są dla ciebie dostępne.

— Hugo? Skąd pani...

Ale potem jej się przypomniało, że bibliotekarka wie o wiele więcej, niż wiedzieć powinna.

— Musisz wybierać uważnie — kontynuowała pani Elm. — Pewnego dnia

biblioteki może tu nie być i odejdiesz na zawsze.

— Ile mam żywotów?

— To nie jest magiczna lampa, a ja nie jestem dżinem. Nie ma ustalonej liczby. Może być jedno życie. A może być ich sto. Ale masz ich do wyboru nieskończoną liczbę tylko tak długo, jak godziną w Bibliotece o Północy jest, no cóż, dwunasta w nocy. Ponieważ dopóki tutaj trwa północ, twoje życie... twoje pierwotne życie... jest zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią. Jeśli czas się tutaj poruszy, to będzie znaczyło, że stało się coś... — kobieta szukała w głowie odpowiednio delikatnego określenia — ...coś rozstrzygającego. Coś, co zrówna Bibliotekę o Północy z ziemią, a nas wraz z nią. Dlatego byłabym na twoim miejscu aż nadto ostrożna. Spróbuj się bardzo dokładnie zastanowić, gdzie chcesz być. Bez wątpienia poczyniłaś pewne postępy. Wydaje mi się, iż zdajesz sobie sprawę z tego, że warto żyć, jeśli tylko uda ci się znaleźć odpowiednie życie. Ale na pewno nie chcesz, żeby ta brama się zamknęła, zanim zyskasz szansę przejścia przez nią.

Obie milczały przez bardzo długi czas. Nora obserwowała wszystkie te otaczające ją książki. Wszystkie te możliwości. Spokojnie i powoli ruszyła alejką między półkami; zastanawiała się, co się kryje pod okładką każdej książki, i żałowała, że zielone grzbiety nie dają żadnych wskazówek.

— Która książka ci się podoba? — usłyszała za sobą pytanie pani Elm.

Przypomniała sobie słowa, które powiedział w kuchni Hugo.

„Miej wielkie marzenia”.

Bibliotekarka przeszywała ją spojrzeniem.

— Kim jest Nora Seed? I czego ona chce?

Kiedy Nora zastanowiła się na tym, co daje jej największe szczęście, przyszła jej na myśl muzyka. Tak, czasami nadal grywała na pianinie i na klawiszach, ale zrezygnowała z tworzenia. Przestała śpiewać. Pomyślała teraz o tych pierwszych radosnych koncertach w pubie, gdy grali *Piękne niebo*. Pomyślała o swoim bracie, który szalał na scenie wraz z nią, Ravim i Ellą.

I nagle dokładnie wiedziała, o którą książkę poprosić.

Sława

Pociła się. To była pierwsza rzecz, którą zaobserwowała. Jej ciało płonęło od adrenaliny, a ubrania kleiły się do skóry. Wokół znajdowali się ludzie, z których dwoje miało gitary. Słyszała hałas. Ogromny, potężny hałas tłumu — bezładne odgłosy życia, które powoli odnajdywały rytm i kształt. Które stawały się śpiewem.

Przed nią stała jakaś kobieta i wycierała jej twarz ręcznikiem.

— Dzięki — powiedziała Nora z uśmiechem.

Kobieta wyglądała na tak zaskoczoną, jakby właśnie odezwała się do niej bogini.

Nora rozpoznała mężczyznę, który trzymał w rękach pałeczki do gry na perkusji. To był Ravi. Włosy miał ufarbowane na platynowo i nosił obcisły granatowy garnitur bez koszuli. Wyglądał jak zupełnie inna osoba zarówno w porównaniu z mężczyzną, który ledwie wczoraj przeglądał muzyczne czasopisma w kiosku w Bedford, jak i z biznesmenem w niebieskiej koszuli, który siedział i obserwował jej katastrofalną przemowę w hotelu InterContinental.

— Ravi — wyrwało się Norze — wyglądasz niesamowicie!

— Co mówisz?

Nie słyszał jej z powodu panującego zgiełku, ale teraz miała do niego inne pytanie.

— Gdzie Joe? — zapytała, prawie krzycząc.

Popatrzył na nią zmieszany albo wręcz strwożony i Nora przygotowała się na jakąś straszną prawdę. Ale nic takiego się nie pojawiło.

— Pewnie jak zwykle. Gada z zagraniczną prasą.

Nie miała pojęcia, co się dzieje. Joe był chyba nadal związany z ich zespołem, a równocześnie nie był w nim na tyle, by występować z nimi na

scenie. Ale cokolwiek spowodowało, że nie był już członkiem zespołu, najwyraźniej nie sprawiło, że całkowicie zniknął. Z tego, co powiedział Ravi, i ze sposobu, w jaki to powiedział, wynikało, że Joe wciąż był bardzo z nimi związany. Ale Elli również tu z nimi nie było. Na basie grał jakiś wielki, muskularny facet z ogoloną głową i tatuażami. Nora chciała się dowiedzieć czegoś więcej, ale moment na pewno nie był ku temu odpowiedni.

Ravi zamachał ręką w powietrzu, wskazując na miejsce przed nimi i Nora zobaczyła, jak wielka jest scena.

Widok ją przytłoczył. Nie wiedziała, co czuje.

— Pora na bis — odpowiedział Ravi.

Próbowała się skupić. Minęło sporo czasu, odkąd śpiewała na scenie. Zresztą nawet wtedy jej publiczność stanowiło kilkanaście niezbyt zainteresowanych muzyką bywalców piwnicy w pubie.

Ravi pochylił się ku niej.

— Wszystko w porządku, Noro?

Było trochę dziwnie. W tonie, jakim wypowiedział jej imię, zdawała się pobrzmiwać ta sama uraza, jaką usłyszała wczoraj, gdy na niego wpadła w zupełnie innym życiu.

— Tak — odparła, teraz krzyżąc. — Oczywiście. Po prostu... Nie mam pojęcia, co powinniśmy wykonać na bis.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— To samo co zawsze.

— Hm... No tak. Dobrze. — Próbowała coś szybko wymyślić. Spojrzała na scenę. Zobaczyła gigantyczny telebim z napisem „The Labyrinths”, który migał i obracał się w stronę ryczącego tłumu.

„Wow — przemknęło jej przez głowę. — Jesteśmy wielcy”.

Wielki zespół, który występował na stadionach.

Obrzuciła spojrzeniem instrument klawiszowy, na którym grała, i stółek, na którym siedziała. Koledzy z zespołu, których imion nie знаła, wyglądali na gotowych wrócić wraz z nią na scenę.

— Gdzie tym razem jesteśmy? — zapytała, usiłując przekrzyczeć wiwatujący tłum. — Chyba się zgubiłam.

Odpowiedział jej wielki ogolony facet z gitarą basową:

— W São Paulo.

— Jesteśmy w Brazylii?

Popatrzyli na nią jak na wariatkę.

— Gdzie byłaś przez ostatnie cztery dni?

— *Piękne niebo* — powiedziała, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie nadal pamięta większość tekstu. — Chodźmy.

— Znowu?! — Ravi się zaśmiał. Jego twarz lśniła od potu. — Zagraliśmy ten numer dziesięć minut temu.

— Okej. Słuchajcie — rzuciła Nora głosem, który teraz huczał ponad wrzaskiem domagającego się bisu tłumu. — Myślałam, żeby wybrać coś innego. Improvizujmy. Zastanawiałam się, czy możemy zagrać zupełnie inną piosenkę niż zwykle...

— Musimy zagrać *Skowyt* — wtrąciła się inna członkini zespołu, dziewczyna z przewieszoną turkusową gitarą prowadzącą. — Zawsze gramy *Skowyt*.

Nora nigdy w życiu nie słyszała o utworze pod tytułem *Skowyt*.

— Tak, wiem — blefowała — ale możemy improwizować. Zrobić coś, czego widownia się nie spodziewa. Zaskoczmy ich.

— Za dużo kombinujesz, Noro — wytknął jej Ravi.

— Nie umiem inaczej.

Ravi wzruszył ramionami.

— Więc co powinniśmy zrobić?

Nora usiłowała coś szybko wymyślić. Przypomniała sobie o Ashu i jego gitarowym śpiewniku z piosenkami duetu Simon & Garfunkel.

— Zagrajmy *Bridge Over Troubled Water*.

Ravi popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Że co?

- Myślę, że powinniśmy to zrobić. Zaskoczyć ludzi.
- Uwielbiam tę piosenkę — wyznała dziewczyna z gitarą. — I znam ją.
- Wszyscy ją znają, Imani — odburknął lekceważąco Ravi.
- No właśnie — zgodziła się Nora, z całych sił starając się mówić jak gwiazda rocka — zróbmy to.

Droga Mleczna

Weszła na scenę.

W pierwszej chwili nie widziała żadnej twarzy, ponieważ światła skierowano na nią, a za tym oślepiającym blaskiem wszystko wydawało się ciemnością. Z wyjątkiem hipnotyzującej drogi mlecznej lamp błyskowych aparatów fotograficznych i latarek z telefonów.

Nie widziała tłumu, lecz go słyszała.

Ludzie, kiedy jest ich wystarczająco wielu i działają w absolutnej harmonii, stają się czymś innym. Zbiorowy wrzask sprawił, że Nora naprawdę pomyślała o całkowicie innym rodzaju zwierzęcia. Na początku było groźne, jakby niczym Herkules stanęła w obliczu wielogłowej Hydry, która chciała ją zabić, ale był to wrzask oznaczający całkowitą akceptację i moc tego wsparcia dała jej siłę.

W tej chwili Nora zdała sobie sprawę, że jest w stanie zrobić znacznie więcej, niż się po sobie spodziewała.

Dzika i wolna

Dotarła do instrumentów klawiszowych, usiadła na stołku i przysunęła mikrofon nieco bliżej.

— Dziękuję, São Paulo — zawołała. — Kochamy was.

Brazylia odpowiedziała rykiem.

Nora pomyślała, że ma moc. Moc sławy. Podobnie jak w przypadku gwiazd muzyki pop, które widywała w mediach społecznościowych; wystarczyło, że napisały jedno słowo, i zdobywały milion polubień i udostępnień. Taka sława pojawiała się w momencie, gdy ktoś wyglądał jak bohater, geniusz lub bóg, a osiągał to przy minimalnym wysiłku. Ale była i druga strona medalu. Niestabilność. Równie łatwo można było spaść z piedestału i stać się dla tych mas diabłem, złoczyńcą lub po prostu dupkiem.

Serce waliło jej jak młotem. Jakby zamierzała postawić stopę na cienkiej linie.

Widziała teraz niektóre twarze w tłumie, tysiące ich wynurzały się z mroku, małe i dziwne. Odziane ciała były prawie niewidoczne. Tak, patrzyła na dwadzieścia tysięcy bezcielesnych głów.

W ustach jej zaschło. Ledwo mogła mówić, więc zastanawiała się, jak zamierza zaśpiewać. Pamiętała, jak Dan się krzywił, gdy dla niego śpiewała.

Tłum ucichł.

Nadeszła pora.

— No dobra — mruknęła. — Teraz piosenka, którą być może wcześniej słyszeliście.

Uświadomiła sobie, jaką głupotę właśnie powiedziała. Wszyscy ci ludzie kupili bilety na ten koncert prawdopodobnie dlatego, że słyszeli już wiele piosenek.

— Piosenka, która dużo dla mnie znaczy.

Ludzie się ożywili. Krzyczeli, ryczeli, klaskali i intonowali. Reakcja była fenomenalna. Przez chwilę Nora poczuła się jak Kleopatra. Kompletnie przerażona Kleopatra.

Kiedy przygotowywała dłonie do pozycji Es-dur, na moment rozproszył ją widok tatuażu na własnym dziwnie bezwłosym przedramieniu, wykaligrafowany pięknym pochyłym pismem. To był cytat z tekstów Henry'ego Davida Thoreau. „Wszystkie dobre rzeczy są dzikie i wolne”. Nora zamknęła oczy i poprzysięgła sobie, że nie otworzy ich do czasu, aż skończy piosenkę.

Zrozumiała, dlaczego Chopin tak bardzo lubił grać w ciemnościach. To było o wiele łatwiejsze.

„Dzikie — pomyślała. — Wolne”.

Kiedy śpiewała, czuła się żywa. Jeszcze bardziej żywa, niż gdy pływała w ciele mistrzyni olimpijskiej.

Zastanawiała się, dlaczego tak bardzo się tego bała — śpiewania przed tłumem. To przecież było wspaniałe uczucie.

Ravi podszedł do niej pod koniec piosenki, gdy jeszcze znajdowali się na scenie.

— Staruszko, to było, kurwa, wyjątkowe! — krzyknął jej do ucha.

— No i fajnie — odpowiedziała.

— To teraz zapomnij o tym i weź się za *Skowyt*.

Pokręciła głową, po czym przemówiła do mikrofonu, szybko, zanim ktokolwiek spróbuje ją uprzedzić.

— Dziękuję wam za przybycie! Mam nadzieję, że przyjemnie spędziliście wieczór. Wracajcie bezpiecznie do domu.

*

— „Wracajcie bezpiecznie do domu”? — powtórzył Ravi w autokarze podczas drogi powrotnej do hotelu. Nie pamiętała, żeby był aż takim kretynem. Wydawał się nieszczęśliwy.

— Coś nie tak? — odpowiedziała pytaniem.

— To nie było w twoim stylu.

— Czyżby?

— No cóż, lekki kontrast wobec Chicago.

— Dlaczego? Co zrobiłam w Chicago?

Ravi się roześmiał.

— Ktoś cię poddał lobotomii?

Spojrzała na ekran telefonu. W tym życiu miała najnowszy model.

Esemes od Izzy.

Tę samą wiadomość otrzymała w swoim życiu z Danem, w pubie. Właściwie nie wiadomość, lecz fotkę wieloryba. W rzeczywistości mogło to być nieco inne zdjęcie wieloryba. Zainteresował ją sam fakt. Dlaczego wciąż przyjaźniła się z Izzy w tym życiu, a w pierwotnym nie? Mimo wszystko była przekonana, że w tym życiu nie jest żoną Dana. Sprawdziła dłoń i poczuła ulgę, gdy zobaczyła, że na palcu serdecznym nie ma obrączki.

Przypuszczała, że było tak: wraz z The Labyrinths była już bardzo sławna, zanim Izzy postanowiła polecieć do Australii, dlatego Izzy z większym zrozumieniem podeszła do jej odmownej decyzji. A może Izzy podobał się pomysł posiadania sławnej przyjaciółki?

Izzy napisała coś pod zdjęciem wieloryba.

„Wszystkie dobre rzeczy są dzikie i wolne”.

Musiała wiedzieć o tatuażu.

Nadeszła kolejna wiadomość od przyjaciółki.

„Mam nadzieję, że w Brazylii było super. Jestem pewna, że ich rozkołysałaś! I stokrotne dzięki za ogarnięcie biletów do Brisbane. Jestem totalnie podjarana, jak mówimy na Żłotym Wybrzeżu”.

Było kilka emotikonów przedstawiających wieloryby i serca, złożone w podziękowaniu dłonie oraz mikrofon i nuty.

Nora sprawdziła swój Instagram. W tym życiu miała 11,3 miliona followersów.

I, do ciężkiej cholery, wyglądała niesamowicie! Na naturalnie czarnych włosach miała coś w rodzaju białego paska. Makijaż wampiryczny. I przekłutą wargę. Na zdjęciu widać było zmęczenie, ale podejrzewała, że to tylko efekt życia w trasie. To był wspaniały rodzaj zmęczenia. Prezentowała się jak fajna ciotka Billie Eilish.

Zrobiła sobie selfie i zauważyła, że chociaż nie wygląda dokładnie tak jak na przesadnie wystylizowanych i przefiltrowanych zdjęciach profilowych, które były przeznaczone do sesji w czasopismach, to i tak się sobie podobała. Tak jak w swoim australijskim życiu tu także publikowała online wiersze. Różnica polegała na tym, że tu każdy wiersz otrzymał około pół miliona polubień. Jeden z nich nosił nawet tytuł *Ogień*, lecz różnił się od „australijskiego”.

*Miała w sobie ogień.
Ogrzeje ją czy zniszczy,
tak się zastanawiała.
Aż zrozumiała.
Ogień nie miał motywów.
Tylko ona mogła je mieć.
To w niej była moc.*

Obok Nory siedziała kobieta. Nie była członkinią zespołu, ale zachowywała się jak ktoś ważny. Miała około pięćdziesięciu lat. Może była ich menedżerem? Może pracowała dla wytwórni? Otaczała ją aura surowej matki. Ale zaczęła z uśmiechem.

— Przebłysk geniuszu — oceniła. — Ten pomysł z Simonem i Garfunkelem. Jesteście coraz popularniejsi w Ameryce Południowej.

— Fajnie.

— Opublikowałam to info na jednym z twoich kont.

Powiedziała o tym w taki sposób, jakby mówiła o rzeczy oczywistej.

— Ach tak. Jasne. W porządku.

— Wieczorem w hotelu masz jeszcze kilka spotkań prasowych. A jutro wyruszamy wcześniej... Od razu lecimy do Rio, a tam osiem godzin dla prasy. Wszystko w hotelu.

— Rio?

— Jesteś na bieżąco z harmonogramem koncertów w tym tygodniu, prawda?

— W pewnym sensie. Mogłabyś mi go jeszcze raz przypomnieć?

Kobieta westchnęła, ale raczej wesoło. Być może nieznajomość harmonogramu trasy była dla Nory typowa.

— Pewnie. Jutro Rio. Dwie noce. Potem ostatnia noc w Brazylii... w Porto Alegre... dalej Santiago de Chile, Buenos Aires, a następnie Lima. I to będzie koniec, jeśli chodzi o Amerykę Południową. W przyszłym tygodniu zaczynamy etap azjatycki: Japonia, Hongkong, Filipiny, Tajwan...

— Peru? Jesteśmy sławni w Peru?

— Noro, byłaś wcześniej w Peru, pamiętasz? W ubiegłym roku. Oszaleli na twoim punkcie. Piętnaście tysięcy ludzi. Koncert będzie w tym samym miejscu. Na torze wyścigów konnych.

— Tor wyścigowy. Jasne. Tak. Pamiętam. To była dobra noc. Naprawdę... dobra.

Pomyślała, że tak zapewne tutaj wygląda jej życie. Jak jeden wielki tor wyścigowy. Ale nie miała pojęcia, czy ona sama jest w tej analogii koniem czy dżokejem.

Ravi poklepał jej towarzyszkę po ramieniu.

— Joanno, o której jest jutro ten podcast?

— O cholera. Właściwie jest dzisiaj... teraz. Wybaczcie. Terminy. Zapomniałam wam powiedzieć. Ale oni tak naprawdę muszą rozmawiać tylko z Norą. Więc jeśli chcesz, możesz się położyć wcześniej.

Zdeprymowany Ravi wzruszył ramionami.

— Jasne. Tak.

Kobieta westchnęła.

— Nie strzelajcie do posłańca. Chociaż to nigdy wcześniej was nie powstrzymało.

Nora ponownie zadała sobie pytanie, gdzie jest jej brat, ale ze względu na

panujące między Joanną i Ravim napięcie uznała, że niewłaściwie byłoby teraz pytać o coś, co bez wątpienia powinna wiedzieć. Wyjrzała więc przez okno. Autokar jechał czteropasmową autostradą. W ciemności tylne światła samochodów osobowych, ciężarówek i motocykli jarzyły się jak czerwone, obserwujące oczy. Odległe wieżowce z kilkoma małymi kwadratami światła lśniły na wilgotnym tle ciemnego nieba i jeszcze ciemniejszych chmur. Mroczna armia drzew stała wzdłuż poboczy i na środku autostrady, dzieląc ruch na dwa kierunki.

Jeżeli Nora nadal będzie żyła tym życiem jeszcze jutro wieczorem, będzie musiała wykonać wszystkie piosenki składające się na koncert, piosenki, z których większości nawet nie znała. Zastanawiała się, jak szybko zdołałaby się nauczyć listy utworów granych przez zespół na koncercie.

Zadzwoił jej telefon. Nadchodzące połączenie wideo. Dzwonił: „Ryan”.

Joanna zobaczyła imię i lekko się uśmiechnęła.

— Lepiej odbierz.

Tak też Nora zrobiła, chociaż nie miała pojęcia, kim jest ów Ryan, a obraz na ekranie był na tyle niewyraźny, że nie była go w stanie rozpoznać.

Aż nagle zobaczyła. Tę twarz, którą widziała tyle razy w filmach i we własnej wyobraźni.

— Cześć, skarbie. Tylko sprawdzam, co u przyjaciółki. Nadal się przyjaźnimy, prawda?

Znała również jego głos. Amerykański, twardy, uroczy. Sławny.

Usłyszała, jak Joanna szepcze do kogoś w autokarze:

— Ona rozmawia z Ryanem Baileyem.

Ryan Bailey

„Ryan Bailey”.

Jak ten... Ryan Bailey! Jak Ryan Bailey z jej fantazji, w których gawędzili o Platonie i Heideggerze otoczeni parą w jego jacuzzi w Zachodnim Hollywood.

— Nora? Jak tam? Wyglądasz na przestraszoną.

— Eee, no tak. Jestem... tak... Tylko... Jestem tutaj... W autokarze... Wielka... trasa... Tak... Cześć.

— Zgadnij, gdzie ja jestem?

Nie miała pojęcia. Odpowiedź: „W jacuzzi” wydawała się kompletnie nieodpowiednia.

— Szczerze powiem, że nie wiem.

Przesunął telefon, ukazując szczegóły wielkiej, kosztownie wyglądającej willi, wyposażonej w jasne meble i terakotowe kafelki oraz skryte za moskitierą ogromne podwójne łóżko z baldachimem.

— W Nayarit, *Mexico*. — Wymówił nazwę kraju przesadnym hiszpańskim, akcentując „x” czytane jako wyraziste „h”. Mężczyzna wyglądał i brzmiał nieco inaczej niż Ryan Bailey z filmów. Był bardziej opuchnięty. Mówił nieco mniej wyraźnie. Może lubił wypić. — Na planie. Kazali mi kręcić *Saloon 2*.

— Drugą część *Saloonu ostatniej szansy*? Och, tak bardzo bym chciała zobaczyć jedynekę.

Zaśmiał się, jakby powiedziała najlepszy dowcip świata.

— Złośliwa jak zawsze, Nono.

„Nono”?!

— Zatrzymałem się w Casa de Mita — ciągnął. — Pamiętasz weekend, który tam spędziliśmy? Ulokowali mnie dokładnie w tej samej willi. Piję na twoją cześć margaritę z mezcalem. Gdzie jesteś?

— W Brazylii. Właśnie zagraliśmy koncert w São Paulo.

— Wow! Ten sam kontynent. Fajnie. No tak, świetnie.

— To był naprawdę dobry koncert — podsumowała.

— Mówisz takim oficjalnym tonem.

Nora wiedziała, że połowa ludzi w autokarze nasłuchuje. Ravi gapił się na nią, popijając piwo z butelki.

— Po prostu... no wiesz... jestem w autobusie... Wokół jest pełno ludzi.

— Ludzie — westchnął, jakby wypowiadał przekleństwo. — Zawsze są ludzie. To jest pieprzony problem. Ale hej, dużo ostatnio myślałem. O tym, co powiedziałaś na temat Jimmy'ego Fallona...

Nora próbowała udawać, że wie, o kim on mówi.

— A co powiedziałam?

— No wiesz, o tym, jak to się potoczyło i zakończyło... w sposób naturalny. Wiesz, między nami. Bez scen i bez urazy. Chcę ci po prostu podziękować, że to powiedziałaś. Ponieważ wiem, że jestem, cholera, trudnym facetem. Wiem o tym. Ale zaczynam ciężko nad sobą pracować. Terapeuta, z którym się widuję, jest cholernie dobry.

— To... wspaniale.

— Tęsknię za tobą, Noro. Świetnie się razem bawiliśmy. Ale życie to coś więcej niż fantastyczny seks.

— Tak — odpowiedziała, próbując utrzymać w ryzach swoją wyobraźnię.
— Zdecydowanie tak..

— Wspaniale spędzaliśmy czas. Ale miałaś rację, że to zakończyłaś. Postąpiłaś właściwie... w kosmicznym porządku rzeczy. Nie ma odrzucenia, jest tylko... przekierowanie. Wiesz, sporo myślałem. O kosmosie. Wsłuchiwałem się. I kosmos mi podpowiadał, że muszę się wziąć w garść. Że potrzebna jest równowaga. Że to, co nas łączyło, było zbyt intensywne, że nasze życie jest zbyt intensywne, a tu chodzi o coś jak z trzeciej zasady dynamiki Darwina. Bo akcja prowadzi do reakcji. Więc to się nie mogło dobrze skończyć. I ty to zobaczyłaś, a teraz jesteśmy tylko cząsteczkami

unoszącymi się we wszechświecie, które pewnego dnia mogą się ponownie połączyć w Chateau Marmont...

Nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć.

— Myślę, że chodzi o Newtona.

— Co?

— To trzecia zasada dynamiki Newtona.

Pochylił głowę jak zdezorientowany pies.

— Co ty mówisz?

— Nieważne. To nie ma znaczenia.

Westchnął.

— Tak czy owak, mam zamiar dokończyć tę margaritę. Bo mam wcześniej trening. Rozumiesz, chodzi o mezcal. Nie o tequilę. Muszę pozostać trzeźwy. Mam tego nowego trenera. To facet z MMA. Poważnie podchodzi do sprawy.

— Okej.

— I, Nono...

— Tak?

— Możesz jeszcze raz nazwać mnie swoim specjalnym imieniem, które masz dla mnie?

— Hmm...

— Wiesz którym.

— Jasne, że wiem. Tak, oczywiście... — Próbowała wymyślić, jak mogłoby brzmieć. Ry-ry? Rajek? Platon?

— Ale nie mogę.

— Ludzie?

Potwierdziła, rozglądając się przesadnie.

— No właśnie, ludzie. Ale, wiesz, teraz, kiedy ruszyliśmy do przodu i każde żyje swoim życiem, to się wydaje nieco... niewłaściwe.

Uśmiechnął się melancholijnie.

— Słuchaj. Będę na ostatnim koncercie w Los Angeles. W pierwszym

rzędzie. W Staples Center. Nie zdołasz mnie przed tym powstrzymać, rozumiesz?

— Jakie to słodkie.

— Przyjaciele na zawsze?

— Przyjaciele na zawsze.

Wyczuwając, że ich rozmowa zbliża się ku końcowi, nagle uznała, że musi o to zapytać.

— Słuchaj, naprawdę interesowała cię filozofia?

Beknął. To dziwne, jak szokujące było dla niej uświadomienie sobie, że Ryan Bailey jest człowiekiem w ludzkim ciele, ciele, które wytwarza gazy.

— Że co?

— Filozofia. Lata temu, kiedy grałeś Platona w *Ateńczykach*, udzieliłeś wywiadu i powiedziałeś, że przeczytałeś sporo książek filozoficznych.

— Czytam życie! A życie to filozofia.

Nora nie miała pojęcia, co Ryan ma na myśli, ale w głębi duszy była dumna z tej swojej innej wersji za to, że porzuciła jednego z najlepiej opłacanych gwiazdorów filmowych.

— Mówiłeś wtedy chyba, że czytujesz Martina Heideggera.

— Kim jest ten Martin... Hot Dog? Och, to pewnie były tylko takie bzdury, które opowiada się dziennikarzom. Wciskamy im różne kity.

— Tak. Oczywiście, że tak.

— *Adios, amiga.*

— *Adios, Ryane.*

I nagle już go nie było, a Joanna milcząco się do niej uśmiechała.

W tej Joannie było coś „nauczycielskiego” i pocieszającego. Nora wyobraziła sobie, że tutejsza jej wersja lubi tę kobietę. Ale wtedy przypomniawszy sobie, że musi nagrać podcast w imieniu zespołu, chociaż nie znała imion połowy jego członków. Ani tytułu ich ostatniego albumu. Ani w ogóle żadnego z ich albumów.

Autokar zatrzymał się przed okazałym, efektownym hotelem za miastem.

Luksusowe auta z przyciemnianymi szybami. Palmy obwieszane bajkowymi światłami. Architektura jak z innej planety.

— Kiedyś to był pałac — wyjaśniła jej Joanna. — Zaprojektował go najlepszy brazylijski architekt. Zapomniałem jego nazwiska. — Zastanowiła się. — Oscar Niemeyer — dodała w końcu po chwili. — Modernista. Ale podobno jest to miejsce bardziej wykwintne niż jego zwykłe dzieła. Najlepszy hotel w Brazylii...

A potem Nora zobaczyła niewielki tłum ludzi filmujących jej przybycie. W wyciągniętych przed siebie dłoniach trzymali telefony i wyglądali jak żebracy z miskami.

Możesz mieć wszystko i nic nie czuć.

@NoraLabyrinth, 74,8 tys. retweetów, 485,3 tys. polubień

Srebrna tacka z miodowymi ciasteczkami

Szaleństwem było myśleć o tym życiu, współistniejącym wraz z innymi jej żywotami w wieloświecie, jak o kolejnej nucie w akordzie.

Nora prawie nie mogła uwierzyć, że gdy w jednym życiu miała trudności z zapłaceniem na czas czynszu, w innym wyzwalała w ludziach na całym świecie taką ekscytację.

Garstka fanów, którzy wcześniej filmowali podjeżdżający pod hotel autokar zespołu, teraz czekała na autografy. Nieszczególnie chyba interesowali ich pozostali członkowie The Labyrinths, ale bez wątpienia bardzo im zależało na nawiązaniu kontaktu z nią, Norą.

Przyjrzała się jednej z fanek, kiedy szła w stronę grupy żwirową drogą. Dziewczyna miała tatuaże i nosiła strój retro, przez co wyglądała jak bohaterka filmu *Wielki Gatsby*, która jakimś sposobem znalazła się w cyberpunkowej wersji postapokaliptycznej wojny. Włosy ułożyła dokładnie tak jak Nora, miała też identyczne białe pasmo.

— Nora! Noraaaah! Hej! Kochamy cię, królowo! Dzięki, że przyleciałaś do Brazylii! Wymiatasz, kochana!

A potem już tylko skandowali: „Nora! Nora! Nora!”.

Kiedy rozdawała im autografy, czyli nieczytelne bazgroły, dwudziestoparoletni mężczyzna zdjął koszulkę i poprosił, żeby podpisała mu się na ramieniu.

— To na tatuaż — wyjaśnił.

— Naprawdę? — spytała, pisząc swoje imię na jego ciele.

— To najważniejszy moment w moim życiu — entuzjasmował się. — Mam na imię Francisco.

Nora zastanawiała się, jak napisane przez nią markerem na skórze słowo może się dla kogoś stać najważniejszym momentem w życiu.

— Uratowałaś mi życie — tłumaczył. — *Piękne niebo* mi je uratowało. Ta piosenka. Jest taka potężna.

— Och. Ach tak. Wow. *Piękne niebo*? Znasz *Piękne niebo*?

Fan wpadł w histerię.

— Jesteś taka zabawna! Właśnie dlatego jesteś moją idolką! Bardzo cię kocham! Czy znam *Piękne niebo*? To jest genialne!

Nora nie wiedziała, co powiedzieć. Zwyczajna piosenka, którą napisała jako studiująca na uniwersytecie w Bristolu dziewiętnastolatka, zmieniła życie człowieka w Brazylii. Niesamowite.

Tak, do takiego życia została stworzona, naprawdę! Tak właśnie powinna żyć. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie musiała wrócić do biblioteki. Na pewno sobie poradzi z tym uwielbieniem. Było lepsze, niż tkwienie w Bedford, jeżdżenie autobusem numer 77 i nucenie smutnych melodii przy oknie.

Pozowała do kolejnych selfie.

Jedna z młodych kobiet wyglądała na bliską leż. Trzymała duże zdjęcie, na którym Nora całowała się z Ryanem Baileyem.

— Było mi tak smutno, kiedy z nim zerwałaś!

— Wiem, ale tak bywa. Wszyscy... się rozwijamy.

U jej boku pojawiła się Joanna i delikatnie poprowadziła ją w stronę hotelu.

Kiedy dotarły do eleganckiego, pachnącego jaśminem holu (marmur, żyrandole, wszędzie kwiaty), reszta zespołu siedziała już w barze. Ale gdzie był jej brat? Może „gadał z prasą” gdzie indziej.

Idąc w stronę baru, zdała sobie sprawę, że wszyscy — konsjerż, recepcjoniści, goście — na nią patrzą.

Właśnie miała skorzystać z okazji i zapytać o brata, gdy Joanna przywołała skinieniem mężczyznę w koszulce z nadrukiem „THE LABYRINTHS”. Czcionka, którą wykonano napis, przywodziła na myśl styl tytułu staroświeckiego filmu science fiction. Mężczyzna był prawdopodobnie po

czterdzieści, miał siwiejącą brodę i rzednące włosy, ale wydawał się onieśmielony bliskością Nory. Ściskając jej dłoń, lekko się uklonił.

— Jestem Marcelo — przedstawił się. — Dziękuję, że zgodziłaś się na rozmowę.

Zauważyła za Marcelem jeszcze jednego mężczyznę — młodszy, z kolczykami, tatuażami i szerokim uśmiechem, trzymał sprzęt nagrywający.

— Zarezerwowaliśmy specjalny pokój w barze na spokojną rozmowę — powiedziała Joanna. — Ale niestety są tam... ludzie. Myślę, że lepiej będzie, gdy Nora udzieli wywiadu w swoim apartamencie.

— Świetnie — odparł Marcelo. — Świetnie, świetnie.

W drodze do windy Nora rzuciła okiem na bar i zobaczyła pozostałych członków zespołu.

— Słuchaj — zasugerowała Marcelowi — może chciałbyś pomóc również z innymi? Z pewnością będą mieli do opowiedzenia wiele ciekawych rzeczy, których ja nie pamiętam.

Mężczyzna uśmiechnął się, potrząsnął głową i delikatnie odpowiedział:

— Wydaje mi się, że lepiej jest tak, jak jest...

— Och, okej — mruknęła.

Gdy obserwowani przez wszystkich wokół czekali na przyjazd windy, Joanna pochyliła się do Nory.

— Wszystko w porządku?

— Oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Po prostu wydajesz się dziś wieczorem jakaś inna.

— W jakim sensie?

— No cóż... inna.

W windzie Joanna poprosiła jakąś kobietę, którą Nora pamiętała z autokaru, żeby przyniosła z baru napoje — dwa piwa dla mężczyzn od podcastu, gazowaną wodę mineralną dla Nory i *caipirinhę* dla siebie.

— I przynieś to wszystko do apartamentu, Mayu.

„Może w tym życiu nie piję alkoholu” — pomyślała Nora, kiedy wyszła

z windy i ruszyła po pluszowym dywanie w kolorze łososiowym.

W środku próbowała zachowywać się tak, jakby to wszystko było dla niej całkowicie normalne. Ten gigantyczny pokój, z którego przechodziło się do następnego gigantycznego pokoju, z którego przechodziło się do gigantycznej łazienki. Zobaczyła ogromny bukiet kwiatów — przeznaczony dla niej, z dedykacją podpisaną przez kierownika hotelu.

„O rany!” miała ochotę zawołać, kiedy przyglądała się kosztownym meblom, pięknym, długim od sufitu do podłogi zasłonom, olbrzymiemu, nieskazitelnemu, czysto białemu łóżku, telewizorowi wielkości małego ekranu kinowego, szampanowi w lodzie, srebrnej tacy pełnej — jak głosił napis na karteczce — „brazylijskich ciasteczek miodowych”.

— Nie sądz, że zjesz choćby jedno — poinformowała ją Joanna, biorąc ciastko z patery. — Jesteś na tej nowej diecie. Harley kazał mi mieć na ciebie oko.

Nora obserwowała, jak Joanna wgrzyza się w słodycz, i zastanawiała się, jak plan dietetyczny może być dobry, skoro zabrania się w nim jedzenia czegoś tak niewątpliwie pysznego, jak brazylijskie ciasteczka miodowe. Nie miała pojęcia, kim jest Harley, ale wiedziała, że go nie lubi.

— Poza tym... tak dla twojej wiadomości... w Los Angeles nadal szaleją pożary i już ewakuowano połowę Calabasas, ale miejmy nadzieję, że ogień nie dotrze do wzgórza, na którym stoi twój dom...

Nora nie wiedziała, czy powinna cieszyć się z posiadania domu w Los Angeles, czy raczej martwić, że ten dom może spłonąć.

Dwóch Brazylijczyków kręcących podcast przez kilka minut zajmowało się swoim sprzętem. Nora zapadła się w miękką kanapę w salonie, a Joanna — usuwając sobie z okolic ust wypielęgnowanym paznokciem kilka pozostałych niepokornych okruszków — tłumaczyła, że ich muzyczny podcast, *O Som*, jest najpopularniejszym w Brazylii.

— Świetny profil demograficzny — zachwycała się. — A liczby sięgają stratosfery. Na pewno warto go kręcić.

I została w apartamencie niczym matka-jastrzębica, obserwując, jak zaczyna się nagranie.

Podcast pełen rewelacji

— A zatem... masz za sobą szalony rok — zaczął Marcelo nienagannym angielskim.

— O tak. To była niezła jazda — przyznała Nora, siląc się na ton gwiazdy rocka.

— Zapytam teraz o album... *Pottersville*. Napisałaś wszystkie teksty, tak?

— Większość tak — zgadła Nora, wpatrując się w mały, znajomy pieprzyk na lewej dłoni.

— Napisała je wszystkie — wtrąciła się Joanna.

Marcelo skinął głową, podczas gdy drugi mężczyzna, wciąż szeroko uśmiechnięty, starał się ustawić w laptopie poziom głośności.

— Mój ulubiony utwór to chyba *Pierze* — podjął Marcelo, gdy przyniesiono napoje.

— Cieszę się, że ci się podoba.

Nora usiłowała wymyślić pretekst, dzięki któremu mogłaby szybko zakończyć ten wywiad. Ból głowy? Ból brzucha?

— Ale najpierw chciałbym porozmawiać o pierwszym, jaki postanowiłaś wydać. *Trzymaj się z dala od mojego życia*. Zabrzmiało to jak bardzo osobiste oświadczenie.

Nora zmusiła się do uśmiechu.

— Tekst mówi naprawdę wszystko.

— Pojawiły się spekulacje, czy utwór przypadkiem nie odnosi się do... jak to powiedzieć po angielsku?

— Zakazu sądowego? — zaoferowała się Joanna.

— Tak! Do tamtego zakazu sądowego.

— Hm... — mruknęła Nora, zaskoczona. — No cóż... Wolę się wypowiadać wyłącznie poprzez piosenki. Trudno mi mówić o tych sprawach.

— Tak, rozumiem. Po prostu w swoim ostatnim wywiadzie dla „Rolling Stone” mówiłaś trochę o swoim byłym chłopaku, Danie Lordzie, i wspomniałaś, jak trudno było zdobyć... ten... zakaz zbliżania się... przeciwko niemu, ponieważ cię prześladował... Czy nie próbował się włamać do twojego domu? A później, zdaje się, powiedział reporterom, że to on napisał tekst *Pięknego nieba*?

— Jezu!

Przez moment odnosiła wrażenie, że zaraz wybuchnie albo płaczem, albo śmiechem, na szczęście udało jej się jakoś nad sobą zapanować.

— Napisałam tekst *Pięknego nieba* wtedy, gdy jeszcze się z nim spotykałam, ale piosenka mu się nie spodobała. Nie chciał, żebym grała w zespole. Nienawidził tego. Nienawidził mojego brata. Nienawidził Ravięgo. Nienawidził Elli, która należała do pierwotnego składu. Dan był bardzo zazdrosny.

Wszystko to było surrealistyczne. W jednym życiu, tym, którego rzekomo pragnął, Dan był tak okropnie znudzony ich małżeństwem, że wdał się w romans, podczas gdy w tym życiu włamywał się do jej domu, ponieważ nie mógł znieść jej sukcesu.

— To skurwysyn — podsumowała. — Nie znam portugalskiego przekleństwa dla tak strasznej osoby.

— *Cuzão*. To znaczy, że ktoś jest skończonym draniem.

— Albo dupkiem — dodał młodszy facet z pokerową miną.

— Tak, no cóż, on jest *cuzão*. Okazał się kimś zupełnie innym. To upiorne... Fakt, że kiedy nasze życie się zmienia, ludzie zachowują się różnie. Przypuszczam, że taka jest cena sławy.

— Napisałaś utwór *Henry David Thoreau*. Nie ma wiele piosenek z nazwiskami filozofów w tytule...

— Wiem. Kiedy studiowałam filozofię na uniwersytecie, był moim ulubionym myślicielem. Stąd mój tatuaż. I wyszedł chyba lepszy tytuł niż *Immanuel Kant*.

Zaczynała już łapać odpowiedni rytm. Udawanie tego życia przychodziło jej stosunkowo łatwo, ponieważ wciąż czuła, że to jej przeznaczenie, że właśnie tu powinna się znaleźć.

— I oczywiście *Skowyt*. Mocny, przejmujący utwór. Numer jeden w dwudziestu dwóch krajach. Teledysk otrzymał nagrodę Grammy, a zagrali w nim najdrożsi aktorzy z Hollywood. Pewnie masz już dość opowiadania o nim?

— Raczej tak.

Joanna wzięła kolejne miodowe ciasteczko.

Marcelo uśmiechnął się łagodnie, lecz naciskał.

— Wydawał mi się taki pierwotny. To znaczy utwór. Jakbyś wszystko w nim z siebie wykrzyczała. A potem odkryłem, że napisałaś go tej nocy, kiedy zwolniłaś swoją menedżerkę, tę, która była przed Joanną. Bo dowiedziałaś się, że cię okrada...

— Tak. To nie było miłe — improwizowała Nora. — To była zdrada.

— Byłem wielkim fanem *The Labyrinths* jeszcze przed *Skowytem*. Ale *Skowyt* mnie poruszył. Podobnie jak *Dziewczyna z latarni morskiej*. Po *Skowycie* pomyślałem: „Nora Seed jest genialna”. Tekst był dość abstrakcyjny, ale sposób, w jaki wyrzucałaś z siebie wściekłość, zdawał się delikatny, a równocześnie potężny i pełen głębokich uczuć. To jakby wczesny *The Cure* połączony z Frankiem Oceanem poprzez zespoły *The Carpenters* i *Tame Impala*.

Nora bez powodzenia próbowała sobie wyobrazić, jak mogłoby brzmieć takie zestawienie.

Ku zdziwieniu wszystkich mężczyzna zaczął śpiewać:

— *Wycisz muzykę, popraw melodię / Powstrzymaj fałszywe uśmiechy i wyjdź do księżyca.*

Nora się uśmiechnęła i pokiwała głową, jakby знаła te słowa.

— Tak. Tak. Wtedy po prostu... skowyczałam.

Marcelo przybrał poważną minę i patrzył na nią z autentycznym

niepokojem.

— Miałaś tyle złych doświadczeń w ostatnich kilku latach. Prześladowcy, nieuczciwe menedżerki, rywalizacja, sprawa sądowa, problemy z prawami autorskimi, nieprzyjemne rozstanie z Ryanem Baileyem, odbiór ostatniego albumu, odwyk, tamten incydent w Toronto... ten moment, kiedy zasłabłaś z wyczerpania w Paryżu, tragedia osobista, dramat za dramatem... I całe to wścibstwo mediów. Jak myślisz, dlaczego prasa tak bardzo cię nienawidzi?

Nora zaczęła czuć się trochę nieswojo. Czy tak wyglądała sława? Niczym stały słodko-gorzki koktajl uwielbienia i ataków? Nic dziwnego, że tak wiele znanych osób zeszło na złą drogę lub zaczęło wariować. To jakby ktoś cię jednocześnie policzkował i całował.

— Cóż... Nie wiem... to trochę chore...

— Zastanawiałaś się kiedyś, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś wybrała inną ścieżkę?

Nora słuchała go, wpatrując się w bąbelki unoszące się w szklance z wodą mineralną.

— Myślę, że łatwo sobie wyobrazić, że istnieją prostsze ścieżki — powiedziała, po raz pierwszy coś sobie uświadamiając. — Ale może nie ma prostych. Są po prostu... ścieżki. W jednym życiu może jestem mężatką. W innym może pracuję w sklepie. Może przyjąłam oświadczyzny tego słodkiego faceta, który zaprosił mnie na kawę. W jeszcze innym życiu mogłabym badać lodowce na kole podbiegunowym. W kolejnym może zdobyłam mistrzostwo olimpijskie w pływaniu. Kto wie? Co sekundę każdego dnia wchodzimy do nowego wszechświata. I spędzamy tak dużo czasu na żałowaniu, że nasze życie nie potoczyło się inaczej, na porównywaniu siebie z innymi osobami i z innymi, potencjalnymi wersjami nas samych, podczas gdy tak naprawdę niemal każde życie składa się z elementów dobrych i elementów złych.

Joanna, Marcelo i ten drugi Brazylijczyk wpatrywali się w nią z szeroko otwartymi oczami, ale Nora już wczuła się w rolę. Była teraz na fali.

— Istnieje porządek życia... Rytm. Uwięzieni w jednym tylko życiu tak łatwo wyobrażamy sobie, że smutek, tragedia, porażka lub strach są wynikiem tej konkretnej egzystencji. Że są produktem ubocznym życia w określony sposób, a nie po prostu samego życia. Chcę powiedzieć... byłoby znacznie prościej, gdybyśmy pojęli, że żadne życie nie uodporni nas na smutek. Że ten smutek jest nieodłącznym składowym elementem struktury szczęścia. Że nie można mieć jednego bez drugiego. Oczywiście proporcje smutku i szczęścia będą różne. Nie istnieje wszak życie, w którym można cały czas znajdować się w stanie permanentnego szczęścia. I przypuszczać, że w życiu, w którym trwamy, jest coś, co skazuje nas na wiecznego pecha.

— To świetna odpowiedź — powiedział Marcelo, gdy upewnił się, że Nora skończyła mówić. — Ale powiedziałbym, że dziś wieczorem na koncercie wyglądałaś na szczęśliwą. Kiedy zagraliście *Bridge Over Troubled Water* zamiast *Skowytu*, odebrałem to jako mocne oświadczenie: „Jestem silna”. Wydawałaś się zapewniać nas, swoich fanów, że wszystko w porządku. A zatem, jak przebiega tournée?

— Cóż, jest wspaniale. I tak, rzeczywiście, po prostu pomyślałam, że może wysłę w świat wiadomość, w której przekażę, że... no wiesz... że żyję tutaj swoim najlepszym życiem. Chociaż trochę tęsknię za domem.

— Za którym? — zapytał Marcelo z lekko zuchwałym uśmiechem. — To znaczy, gdzie czujesz się bardziej w domu? W Londynie, Los Angeles czy na Wybrzeżu Amalfitańskim?

Najwyraźniej w tym życiu zostawiła największy ślad węglowy.

— Nie wiem. Chyba w Londynie.

Marcelo zrobił potężny wdech, jak gdyby następne pytanie było wyjątkowo trudne. Podrapał się po brodzie.

— Okej, ale przypuszczam, że to musi być dla ciebie niełatwe, skoro, jak wiem, dzieliłaś to mieszkanie ze swoim bratem?

— Dlaczego miałyby to być niełatwe?

Joanna rzuciła jej znad swojego drinka dziwne spojrzenie.

Marcelo spojrział na nią z sympatią. Oczy wyraźnie mu się zaszklily.

— Chodzi mi o to, że — kontynuował, gdy wypił mały łyk piwa — twój brat był tak ważną częścią twojego życia, tak ważnym członkiem zespołu...

„Był!?”

Takie krótkie słowo, a wywołało u niej przemożny strach. Było niczym kamień spadający w wodę.

Pamiętała, jak pytała Raviego przed bisem o Joego. Przypomniała sobie reakcję tłumu, kiedy wspomniała o swoim bracie na scenie.

— Wciąż tu jest. Był tutaj dziś wieczorem.

— Nora chce powiedzieć, że wciąż czuje jego obecność — podpowiedziała Joanna. — Wszyscy ją czują. Był takim silnym duchem. Niepokojącym, ale silnym... To była tragedia, kiedy skutki picia, narkotyków i ogólnie trybu życia w końcu go dopadły...

— O czym ty mówisz? — zapytała ostro Nora.

Nie udawała już bohaterki tego życia. Teraz musiała poznać prawdę.

Marcelo przyjrzał się jej ze smutkiem.

— Wiesz, dopiero co minęły dwa lata od jego śmierci... z przedawkowania...

Nora westchnęła.

Nie wróciła od razu z powrotem do biblioteki tylko dlatego, że rzeczywisty wydźwięk tych słów w ogóle do niej nie dotarł. Oszołomiona, wstała i chwiejnym krokiem wyszła z apartamentu.

— Noro? — Joanna zaśmiała się nerwowo. — Noro?

Nora wsiadła do windy i zjechała do baru. Do Raviego.

— Mówiłeś mi, że Joe gada z prasą.

— Co?

— Tak mi powiedziałeś. Zapytałam cię, co robi Joe, a ty mi odpowiedziałeś: „Gada z zagraniczną prasą”.

Odstawił piwo i spojrział na nią ze zdumieniem.

— Bo tak było. Gadała wtedy z mediami.

— Ona?

Wskazał na wyraźnie zdenerwowaną Joannę, która właśnie szła przez hol, podchodząc do nich od strony wind.

— No tak. Jo. Była wówczas z prasą.

Nora poczuła smutek jak fizyczny cios.

— Och nie — jęknęła. — Och, Joe... och, Joe... och...

I w tym momencie wielki hotelowy bar zniknął. Kontuar, drinki, Joanna, Marcelo, dźwiękowiec, goście hotelowi, Ravi, inni ludzie, marmurowa podłoga, barman, kelnerzy, żyrandole, kwiaty — wszystko po prostu obróciło się w nicość.

Skowyt

Iść
Do zimowego lasu
I nigdzie
Ta dziewczyna ucieka
Od wszystkiego, co zna

Presja sięga szczytu
Presja rośnie (nigdy nie przestaje)

Chcą twojego ciała
Chcą twojej duszy
Chcą fałszywych uśmiechów
To jest rock and roll
Otaczają cię wilki
Gorączkowy sen
Otaczają cię wilki
Więc zacznij krzyczeć

Skowyt, prosto w noc,
Skowyt, aż do brzasku,
Skowyt, teraz walczysz ty,
Skowyt, po prostu to napraw
Skowyt, skowyt, skowyt, skowyt

(Skurwysyn)

Nie możesz walczyć wiecznie
Musisz się dostosować
Jeśli nie gra ci własne życie
Musisz spytać dlaczego

(Tekst mówiony)
Zapamiętaj
Kiedy byliśmy dostatecznie młodzi
Nie baliśmy się jutra
Nie płakaliśmy za wczoraj
I byliśmy po prostu
Sobą
I czas był po prostu
Teraz
I byliśmy
W życiu
Nie wciskając się
Jak ramiona w rękawy
Ponieważ mieliśmy czas
Mieliśmy czas oddychać

Złe czasy są teraz
Złe czasy nadeszły
Ale życie nie może się skończyć
Skoro jeszcze się nie zaczęło
Jezioro błyszczący, woda jest zimna
Wszystko, co się świeci, można zmienić w złoto
Wycisz muzykę, popraw melodię
Powstrzymaj fałszywe uśmiechy i wyjdź do księżycyca

Skowyt, prosto w noc,
Skowyt, aż do brzasku,
Skowyt, teraz walczysz ty,

Skowyt, po prostu to napraw

Skowyt, skowyt, skowyt, skowyt

(Powtarzać coraz ciszej)

Miłość i ból

— Nienawidzę tego... procesu — powiedziała Nora do pani Elm z prawdziwą mocą w głosie. — Chcę, żeby to się SKOŃCZYŁO!

— Proszę cię, nie krzycz — zbesztła ją kobieta. Z białym skoczkiem w dłoni koncentrowała się na kolejnym ruchu. — To jest biblioteka.

— Jesteśmy tu tylko my dwie!

— Nie o to chodzi. To wciąż biblioteka. Jeśli jesteś w katedrze, nie krzyczysz, ponieważ przebywasz w katedrze, a nie dlatego, że są tam również inni ludzie. To samo dotyczy biblioteki.

— No dobra — podjęła ciszej Nora. — Nie podoba mi się to wszystko. Niech to się skończy. Chcę anulować członkostwo w bibliotece. Chciałabym zwrócić moją kartę biblioteczną.

— To ty jesteś kartą biblioteczną.

Nora wróciła do pierwszej kwestii.

— Chcę, żeby to się skończyło.

— Nie, wcale nie chcesz.

— Ależ tak, chcę.

— To dlaczego nadal tu jesteś?

— Ponieważ nie mam wyboru.

— Zaufaj mi, Noro. Gdybyś naprawdę nie chciała tu być, to by cię tutaj nie było. Powiedziałam ci to na samym początku.

— Nie podoba mi się.

— Dlaczego?

— Ponieważ to jest zbyt bolesne.

— Dlaczego jest to zbyt bolesne?

— Bo jest rzeczywiste. W jednym moim życiu mój brat nie żyje.

Kobieta ponownie przybrała srogą minę.

— A w jednym życiu... jednym jego życiu... ty nie żyjesz. Czy to będzie bolesne dla niego?

— Wątpię. Brat obecnie nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Ma swoje życie i obwinia mnie, że jest niespełnione.

— Czyli że chodzi wyłącznie o twojego brata?

— Nie, chodzi o wszystko. Wygląda na to, że nie jest możliwe życie, w którym nie rani się innych osób.

— Bo tak wygląda prawda.

— Więc po co w ogóle żyć?

— Cóż, szczerze mówiąc, nasza śmierć również rani innych ludzi. Jakie życie chcesz teraz wybrać?

— Żadnego.

— Co takiego?

— Nie chcę kolejnej książki. Nie chcę kolejnego życia.

Bibliotekarce twarz pobladła, dokładnie tak jak wtedy, tyle lat temu, gdy kobieta dowiedziała się przez telefon o śmierci ojca Nory.

Nora poczuła pod stopami drżenie. Niewielkie trzęsienie ziemi. Obie z panią Elm chwyciły się półek, podczas gdy książki spadały na podłogę. Światła zamigotały, a później zgasły. Stół wraz z szachownicą się przewrócił.

— Och nie — jęknęła kobieta. — Nie znowu.

— O co chodzi?

— Wiesz, o co. Ta biblioteka istnieje dzięki tobie. Stanowisz jej... źródło zasilania. Poważne zakłócenia tego źródła zasilania stanowią zagrożenie dla biblioteki. Niszczysz ją, Noro. Rezygnujesz w najgorszym momencie. Nie możesz się poddać. Masz więcej do zaoferowania. Masz więcej możliwości. Jest tak wiele twoich wersji. Pamiętasz, jak się czułaś po spotkaniu z niedźwiedziem polarnym? Pamiętasz, jak bardzo chciałaś wtedy żyć!

„Niedźwiedź polarny”.

„Niedźwiedź polarny”.

— Nawet te złe doświadczenia służą jakiemuś celowi, nie widzisz tego?

Zobaczyła. Niemal każdy żal, którym żyła przez większą część swojego życia, nie miał sensu.

— Tak.

Podłoga przestała drżeć.

Ale wszędzie na podłodze leżały książki.

Wróciły światła, ciągle jednak migotały.

— Przepraszam — powiedziała Nora. Zaczęła podnosić książki i wkładać je z powrotem na miejsce.

— Nie — warknęła pani Elm. — Nie dotykaj ich. Odłóż je.

— Przepraszam.

— I przestań przepraszać. No dobrze, możesz mi w czymś pomóc. Tak będzie bezpieczniej.

Pomogła więc bibliotekarce zebrać pionki i figury, a potem razem podniosły i ustawiły stół oraz przygotowały szachownicę i bierki na nową rozgrywkę.

— A co z tymi wszystkimi leżącymi na podłodze książkami? Po prostu tak je zostawimy?

— Dlaczego cię to obchodzi? Myślałam, że życzysz sobie, żeby całkowicie zniknęły?

Być może pani Elm była jedynie mechanizmem, który istniał po to, ażeby uprościć zawiłą złożoność kwantowego wszechświata, teraz wszakże — gdy siedziała wśród półek na wpół opróżnionych z książek, pochylając się nad przygotowaną do nowej gry szachownicą — wyglądała smutno, mądrze i nieskończenie ludzko.

— Nie zamierzałam być taka ostra — wydukała w końcu kobieta.

— W porządku.

— Pamiętam, że kiedy zaczęłyśmy grać w szachy w szkolnej bibliotece, od razu straciłaś swoje najlepsze bierki — przypomniała sobie. — Chciałaś wykonać ruch królową albo jedną z wież, a ich już nie było. A potem uznałaś, że przegrałaś grę, ponieważ zostały ci tylko zwykłe pionki i jeden czy dwa skoczki.

— Dlaczego pani teraz o tym wspomina?

Bibliotekarka dostrzegła luźną nitkę na swoim swetrze i zaczęła ją wsuwać sobie w rękaw, zrezygnowała jednak i po prostu ją upuściła.

— Jeśli kiedykolwiek chcesz odnieść sukces w szachach, musisz coś sobie uświadomić — odpowiedziała, jakby Nora nie miała większych zmartwień. — A mianowicie, że gra nigdy się nie kończy, dopóki się nie skończy. Nie kończy się zaś, dopóki choć jeden pionek nadal stoi na szachownicy. Jeśli któremuś graczowi pozostanie pionek i król, a jego przeciwnik ma wszystkie bierki, cóż, gra wciąż się toczy. A jeśli to ty jesteś pionkiem... może wszyscy nimi jesteśmy... Tak czy inaczej, powinnaś pamiętać, że pionek jest najbardziej magiczną bierką ze wszystkich. Może wyglądać na małego i zwyczajnego, lecz wcale taki nie jest. Ponieważ pionek nigdy nie jest wyłącznie pionkiem. Pionek to przyszła potencjalna królowa. Wszystko, co musisz zrobić, to znaleźć sposób, dzięki któremu pójdiesz naprzód. Dzięki któremu przejdiesz kolejne pola na szachownicy. A możesz się przedostać na drugą stronę i odblokować wszelkie rodzaje mocy.

Nora wpatrywała się w otaczające ją książki.

— Więc mówi pani, że w tej grze dysponuję jedynie pionkami?

— Mówię, że to, co wygląda najzwyczajniej na świecie, może cię na końcu doprowadzić do zwycięstwa. Musisz iść dalej. Jak tamtego dnia w rzece. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętała.

Ile miała lat? Chyba siedemnaście, ponieważ nie pływała już w zawodach. To był trudny okres, w którym ojciec przez cały czas się na nią gniewał, a matka miała depresję i prawie się nie odzywała. Brat Nory przyjechał na weekend z Ravim z uczelni artystycznej. Pokazywał przyjacielowi atrakcje wspaniałego Bedford, a później zorganizował zaimprovizowaną imprezę nad rzeką, z muzyką, piwem, mnóstwem zioła i dziewczętami sfrustrowanymi faktem, że Joe w ogóle się nimi nie interesuje. Nora też została zaproszona, wypła za dużo i wdała się w pogawędkę z Ravim o pływaniu.

— A więc potrafiłabyś przepłynąć tę rzekę? — zapytał ją.

— Jasne.

— Nie, na pewno nie — powiedział ktoś inny.

I tak, w chwili głupoty, postanowiła udowodnić, że się mylą. A kiedy jej upalony i mocno pijany starszy brat zrozumiał, co Nora robi, było za późno. Już była w wodzie i płynęła.

Kiedy przypominała to sobie teraz, na końcu przejścia między książkami w bibliotece, nagle nie było już kamiennego korytarza, lecz płynąca woda. I chociaż półki wokół Nory pozostały na dotychczasowych miejscach, płytki podłogowe pod jej stopami porosły teraz trawą, a sufit nad nią zmienił się w niebo. Ale w przeciwieństwie do poprzednich sytuacji, kiedy Nora przenosiła się do innej wersji teraźniejszości, tym razem nadal widziała panią Elm i książki. W połowie zatem przebywała w bibliotece, a w połowie we własnych wspomnieniach.

Patrzyła na osobę w korytarzu-rzece. W wodzie znajdowała się jej młodsza wersja, podczas gdy ostatnie promienie letniego słońca gasły i zapadała ciemność...

Ekwidystanta (linia równoodległa)

Rzeka była zimna, a prąd silny.

Obserwując siebie teraz, Nora przypomniała sobie ówczesny ból w ramionach i barkach. Były ciężkie i sztywne, jakby miała na sobie zbroję. Nie rozumiała, dlaczego mimo ogromnego wysiłku widziane przez nią klony bynajmniej się nie zwiększały, a brzeg uparcie pozostawał dokładnie tak samo daleko. Pamiętała, że połknęła nieco brudnej wody. Pamiętała, jak obejrzała się na drugi brzeg, ten, z którego wyruszyła i na którym teraz w jakimś sensie stała, obserwując siebie wraz z młodszymi wersjami brata i jego przyjaciół, nieświadomymi ani jej obecnego „ja”, ani pólek po obu ich stronach.

Przypomniała sobie, jak w swym szaleństwie myślała o określeniu „równoodległa”. Słowie, które powinno pozostać w klinicznie bezpiecznych ścianach jej sali lekcyjnej. „Równoodległość”. Taki neutralny, związany z matematyką termin, a przerodził się w natrętną myśl, powtarzającą się jak mantra, podczas gdy młoda Nora płynęła resztkami sił, a mimo to niemal tkwiła w tym samym punkcie. „Równoodległa”. „Równoodległa”. „Równoodległa”. Tak samo daleka wobec jednego, jak i wobec drugiego brzegu rzeki.

Dokładnie tak czuła się przez większą część swego życia.

Złapana gdzieś w środku. Walczyła, machała kończynami i po prostu próbowała przetrwać, bo nie wiedziała, którą drogą chce iść. Którą ścieżkę wybrać bez poczucia żalu.

Spojrzała jeszcze raz na brzeg, ku któremu się kierowała. Widziała tam zarówno obecne regały z książkami, jak i — nadal — dużą sylwetką jaworu pochylonego nad wodą niczym zmartwiony rodzic, drzewa, którego liśćmi cicho poruszał wiatr.

— Ale się zaangażowałaś — zauważyła pani Elm, wyraźnie wysłuchawszy

jej myśli. — I przeżyłaś.

Marzenia innych

— Życie zawsze oznacza działanie — oznajmiła pani Elm, obserwując, jak przyjaciele odciągają brata Nory od brzegu rzeki. Joe więc tylko patrzył, a w tym czasie jakaś dziewczyna, której imię Nora dawno zapomniała, zadzwoniła pod numer alarmowy. — I ty, kiedy trzeba było, działałaś. Dopłynęłaś do tego brzegu. Wygramoliłaś się po drugiej stronie. Niemal wykaszłaś wnętrzości i wpadłaś w hipotermię, ale mimo wszystkich przeciwności przepłynęłaś rzekę. Znalazłaś w sobie siłę.

— Raczej bakterie. Chorowałam później tygodniami. Połknęłam tak dużo tej gównianej wody.

— Ale przeżyłaś. I miałaś nadzieję.

— Tak, no cóż, traciłam ją z dnia na dzień.

Spojrzała na swoje stopy i zobaczyła, jak trawa znika z kamiennej posadzki, a gdy się obejrzała, woda jej mignęła, po czym również zniknęła, a jawor rozpuścił się w powietrzu — wraz z bratem Nory, ich przyjaciółmi i jej młodszą odpowiedniczką.

Biblioteka znów wyglądała jak biblioteka. Ale teraz wszystkie książki stały ponownie na półkach, a światła przestały migotać.

— Byłam taka głupia, że zdecydowałam się popłynąć, bo po prostu próbowałam zrobić wrażenie na ludziach. Zawsze uważałam, że Joe jest ode mnie lepszy. Chciałam, żeby mnie lubił.

— Dlaczego myślałaś, że Joe jest od ciebie lepszy? Ponieważ twoi rodzice tak uważali?

Nora poczuła złość na bezpośredniość pani Elm. Ale może kobieta miała rację.

— Zawsze musiałam robić to, co chcieli rodzice, chciałam im zaimponować. Joe miał oczywiście swoje problemy. Ale tak naprawdę nie

rozumiałam jego kłopotów, póki się nie dowiedziałam, że jest gejem. Podobno rodzeństwo nie rywalizuje między sobą, lecz walczy o uwagę rodziców, a ja zawsze czułam, że nasi rodzice to jego bardziej zachęcają do spełniania marzeń.

— Tak jak w przypadku muzyki?

— Właśnie. Kiedy Joe i Ravi postanowili, że chcą zostać gwiazdami rocka, rodzice kupili bratu gitarę, a potem pianino elektryczne.

— I jak było?

— Z gitarą Joe radził sobie dobrze. W ciągu tygodnia nauczył się grać *Smoke On The Water*, ale do pianina nie miał cierpliwości i zdecydował, że nie będzie mu zagracało pokoju.

— Wtedy trafiło do ciebie. — Bibliotekarka wypowiedziała to zdanie jako stwierdzenie, a nie jako pytanie. Wiedziała. Oczywiście, że o wszystkim wiedziała.

— Tak.

— Przeniesiono je do twojego pokoju, a ty je powitałaś jak przyjaciela i z niezachwianą determinacją zaczęłaś się uczyć na nim grać. Wydawałaś kieszonkowe na podręczniki do nauki gry na pianinie, na *Mozarta dla początkujących* i *The Beatles na fortepian*. Ponieważ ci się to podobało. Lecz także dlatego, że chciałaś zaimponować starszemu bratu.

— Nigdy pani tego nie mówiłam.

Krzywy uśmiech.

— Nie musiałaś. Przeczytałam książkę.

— Racja. Naturalnie. Tak. Rozumiem.

— Może powinnaś przestać zabiegać o aprobatę innych, Noro — pouczyła ją pani Elm szeptem, co zwiększyło moc i intymność jej sugestii. — Nie musisz prosić o specjalne zezwolenie, jeśli chcesz...

— Tak. Rozumiem.

I naprawdę to rozumiała.

Każde życie, które wypróbowała, odkąd po raz pierwszy weszła do

biblioteki, aż do tej pory, było tak naprawdę spełnianiem marzeń innej osoby. O małżeńskim życiu w pubie marzył Dan. Podróż do Australii stanowiła spełnienie marzeń Izzy, a Nora, zamiast żałować, że nie poleciała, czuła się winna, że zawiodła przyjaciółkę. Mistrzynią pływacką miała zostać dla ojca. Hm, no dobrze, to prawda, że gdy była młodsza, interesowała się Arktyką i chciała zostać glaciolożką, ale na ten pomysł dość znacząco wpłynęły rozmowy z panią Elm w bibliotece szkolnej. A zespół The Labyrinths, cóż, zawsze był marzeniem jej brata.

Może nie istniało dla niej idealne życie, ale gdzieś na pewno było takie, które warto było zachodu. A jeśli miała znaleźć takie życie, będzie się musiała rzucić na głęboką wodę.

Pani Elm miała rację. Gra się nie skończyła. Żaden gracz nie powinien się poddawać, jeśli na planszy pozostały jeszcze jakieś pionki.

Wyprostowała się i uniosła wysoko głowę.

— Musisz wybierać życie bardziej z dolnych lub górnych półek. Próbowalaś poradzić sobie z najbardziej oczywistymi rzeczami, których żałujesz. Książki z wyższych i dolnych półek opowiadają o życiu nieco odleglejszym. W każdym z nich żyjesz w takim czy innym uniwersum, ale nie życiem, jakie sobie wyobrażałaś, jakie opłakiwałaś lub o jakim myślałaś. Każde z nich jest życiem, które mogłabyś prowadzić, ale o którym nigdy nie marzyłaś.

— Więc jestem w nich nieszczęśliwa?

— W niektórych z nich tak, a w innych nie. Po prostu nie są to życia najbardziej oczywiste. Wejście w nie może wymagać odrobiny wyobraźni. Ale jestem pewna, że potrafisz się do nich dostać...

— Nie może mnie pani poprowadzić?

Pani Elm się uśmiechnęła.

— Mogę przeczytać ci wiersz. Bibliotekarki lubią wiersze. — A potem zacytowała Roberta Frosta. — *Dwie drogi rozchodziły się w lesie, a ja... / ja wybrałem tę mniej uczęszczaną, / I to wszystko zmieniło...*

— A jeśli w lesie rozchodzą się więcej niż dwie drogi? Co wtedy, gdy dróg jest więcej niż drzew? Co, jeśli nie ma końca wyborom, których można dokonać? Co zrobiłby w takiej sytuacji Robert Frost?

Pamiętała, jak na pierwszym roku filozofii studiowała dzieła Arystotelesa. Trochę przygnębiła ją jego teza, że doskonałość nigdy nie jest przypadkiem. Że doskonałe rezultaty były wynikiem mądrego wyboru spośród wielu opcji. I teraz znalazła się w tej uprzywilejowanej pozycji, gdy mogła wypróbować wiele potencjalnych opcji. To był taki skrót do mądrości, a może i skrót do szczęścia. Postrzegała go już nie jako ciężar, lecz jako dar, który należy cenić.

— Spójrz na tę szachownicę, którą ponownie ustawiliśmy na właściwym miejscu — zauważyła cicho pani Elm. — Widzisz, jaka wydaje się uporządkowana, bezpieczna i spokojna teraz, zanim rozpocznie się gra. Jest taka piękna. Ale jest nudna. Nie jest żywa. Do czasu, gdy wykonasz ruch, bo wtedy wszystko się zmieni. Dochodzi do chaosu. I ten chaos narasta wraz z każdym wykonanym ruchem.

Nora usiadła przy stoliku naprzeciwko pani Elm. Zapatrzyła się w szachownicę, a potem przesunęła pionek o dwa pola do przodu.

Bibliotekarka wykonała ten sam ruch swoim pionkiem.

— W szachy łatwo się gra — zadumała się Nora. — Ale trudno zostać mistrzem. Każdy ruch otwiera zupełnie nowe możliwości.

Wykonała ruch jednym ze skoczków.

Przez pewien czas grały.

W końcu pani Elm skomentowała:

— Na początku rozgrywki nie ma żadnych opcji. Bierki można ustawić na planszy tylko w jeden sposób. Ale po pierwszych sześciu ruchach istnieje już dziewięć milionów możliwych wariantów. A po ośmiu jest ich dwieście osiemdziesiąt osiem miliardów. I te możliwości wciąż rosną. Istnieje więcej potencjalnych gier w szachy, niż wynosi liczba atomów w dającym się zaobserwować wszechświecie. Rośnie więc utrudnienie. I nie ma dobrej metody, a raczej jest ich bardzo wiele. W szachach, tak jak w życiu, podstawą

wszystkiego są możliwości. Każda nadzieja, każde marzenie, każdy żal, każda chwila życia.

W końcu Nora wygrała. Podejrzewała, że pani Elm pozwoliła jej wygrać, ale i tak czuła się nieco lepiej.

— No dobrze — powiedziała bibliotekarka. — Myślę, że czas na książkę. Którą wybierzesz?

Nora popatrzyła na półki. Gdyby tylko książki miały dokładniejsze tytuły. Gdyby tylko była wśród nich jedna zatytułowana: *Oto idealne życie*.

W pierwszym odruchu chciała zignorować pytanie kobiety. Ale wszędzie tam, gdzie znajdują się książki, zawsze istnieje pokusa, by je otworzyć. I Nora zdała sobie właśnie sprawę, że tak samo jest z życiem.

Pani Elm powtórzyła słowa, które wypowiedziała już wcześniej:

— Nigdy nie lekceważ wielkiego znaczenia drobiazgów.

Stwierdzenie okazało się przydatne.

— Chcę — powiedziała Nora — dobrego życia. Takiego, w którym pracowałabym wśród zwierząt. Takiego, w którym zamiast etatu w Teorii Strun, wybrałabym pracę w schronisku dla zwierząt, do której przygotowywałabym się już w trakcie szkoły. Tak. Proszę dać mi takie życie.

Dobre życie

Okazało się, że w to szczególne życie Norze dość łatwo było się wślizgnąć.

Nieźle w tym życiu sypiała i na nogi postawił ją dopiero budzik, który zadzwonił kwadrans przed ósmą. Starym, podniszczonym hyundaiem, w którym pachniało psami i ciastkami, a wszędzie wały się okruszki, pojechała do pracy, mijając szpital i centrum sportowe, aż zatrzymała się na małym parkingu przed centrum ratownictwa weterynaryjnego — nowoczesnym, jednopiętrowym budynkiem z szarej cegły.

Poranek spędziła na karmieniu i wyprowadzaniu psów. Powodem, dla którego tak łatwo jej było wkroczyć w to konkretne życie, a przynajmniej jednym z powodów, był fakt, że powitała ją sympatyczna, praktyczna kobieta o brązowych kręconych włosach. Mówiła z akcentem z Yorkshire. Miała na imię Pauline i powiedziała jej, że ma zacząć pracę w schronisku dla psów, zamiast w schronisku dla kotów, co dało Norze uzasadniony pretekst, dzięki któremu mogła zapytać, co robić, i miała prawo wyglądać na zdezorientowaną. A ponieważ wszyscy tutejsi pracownicy nosili identyfikatory, rozwiązała się również kwestia znajomości imion.

Nora pochodziła wokół pola za schroniskiem z bullmastiffką. Pauline powiedziała, że suczka dopiero co przybyła, a poprzedni właściciel okropnie ją traktował. Wskazała na kilka małych okrągłych blizn na ciele suczki.

— Przypalał ją papierosami.

Nora chciałaby żyć w świecie, w którym nie istnieje okrucieństwo, ale dostępne były dla niej jedynie światy z ludźmi. Bullmastiffka wabiła się Sally i bała się wszystkiego. Własnego cienia. Krzewów. Innych psów. Nóg Nory. Trawy. Powietrza. A jednak wyraźnie Norę polubiła i nawet pozwoliła (bardzo szybko) głaskać się po brzuchu.

Później Nora pomogła wysprzątać kilka chat dla małych psów. To znaczy,

wyobraziła sobie, że nazywa się je tutaj chatkami, ponieważ brzmiało to lepiej niż słowo „klatki”, które stanowiło ich właściwe określenie. Spotkała tam trójnogiego owczarka alzackiego imieniem Diesel, który najwyraźniej przebywał w schronisku od dłuższego czasu. Kiedy rzucała mu piłeczkę, odkryła, że pies ma dobry refleks i prawie zawsze łapie piłkę. Norze podobało się takie życie — a ściślej, jej wersja w tym życiu. Sądząc po tonie, jakim mówili do niej ludzie, była miłą osobą. Świadomość, że jest dobrym człowiekiem, była przyjemna, a także pocieszająca, wręcz krzepiąca.

Myślało jej się tu również inaczej. Dużo się w tym życiu zastanawiała, ale w tych myślach nie było żalu czy złości, tylko łagodność.

„Podstawą moralności jest współczucie” — napisał filozof Arthur Schopenhauer w okresie, gdy zajmował się etyką. Może współczucie było także podstawą życia.

W schronisku pracował też pewien mężczyzna, Dylan. Miał świetne podejście do wszystkich psów. Był mniej więcej w jej wieku, może ciut młodszy. Miał życzliwy, delikatny i smutny wyraz twarzy. Jego długie jak u surfera włosy skojarzyły się Norze z sierścią retrievera. W porze lunchu podszedł i usiadł obok na ławce z widokiem na pole.

— Co masz dzisiaj? — zapytał słodko, kiwając ku jej pudełku na kanapki.

Nora naprawdę tego nie wiedziała — znalazła je już przygotowane, kiedy tego ranka otworzyła swoją ozdobioną licznymi magnesami i kalendarzami lodówkę. Uniosła teraz pokrywkę i znalazła w środku kanapkę z serem i marmite oraz paczkę chipsów z solą i octem. W tym momencie niebo pociemniało i wzmógł się wiatr.

— O cholera — powiedziała Nora. — Będzie padać.

— Może, ale psy wciąż są w swoich klatkach.

— Że co?

— Psy potrafią wyczuć nadejście deszczu i chcąc go uniknąć, często wchodzą wtedy do pomieszczeń. Czy to nie jest fajne? Że potrafią przewidzieć przyszłość... nosem?

— Tak — zgodziła się. — Bardzo fajne.

Ugryzła kanapkę z serem. I wtedy Dylan objął ją ramieniem. Aż podskoczyła.

— ...do diabła! — mruknęła.

Dylan wyglądał na ogromnie skruszonego. I trochę przerażonego własnym gestem.

— Och, przepraszam. Uderzyłem cię w ramię?

— Nie... Ja tylko ... Cóż... Nie, nie. Nic się nie stało.

Odkryła, że Dylan jest jej chłopakiem i że chodził do tej samej szkoły średniej co ona. Hazeldene Comp. I że był dwa lata od niej młodszy.

Przypomniała sobie dzień, w którym umarł jej ojciec, a ona była akurat w szkolnej bibliotece i patrzyła, jak blondynek, który chodził dwie klasy niżej, przebiegał za nakrapianym deszczem oknem. Albo kogoś gonił, albo ktoś ścigał jego. To był on. Z daleka nawet jej się spodobał, ale tak naprawdę nigdy go nie poznała ani o nim nie myślała.

— Nic ci nie jest, Norster? — zapytał Dylan.

„Norster?!”

— Nie. Ja po prostu... Tak. Nic mi nie jest.

Usiadła ponownie na ławce, ale tym razem nieco dalej od chłopaka. Na pierwszy rzut oka z Dylanem było wszystko w porządku. Był słodki. I na pewno w tym życiu szczerze go lubiła. Może go nawet kochała. Ale wejście w alternatywne życie nie łączyło się niestety z otrzymaniem zestawu emocji odpowiedniczki.

— Zamówiłaś stolik u Gino?

U Gino. Włoski lokal. Bywała tam jako nastolatka. Zaskoczyła ją informacja, że restauracyjka wciąż działa.

— Co?

— U Gino? Pizzeria? Dzisiejszy wieczór? Mówiłaś, że znasz kierownika.

— Mój tata znał go kiedyś, tak.

— Więc udało ci się zadzwonić?

— Tak — skłamała. — Ale okazało się, że knajpka jest zarezerwowana.

— W ciągu tygodnia? Dziwne. Szkoda. Uwielbiam pizzę. I spaghetti. I lasagne. I...

— Jasne — powiedziała. — Tak. Rozumiem. Całkowicie to rozumiem. Wiem, że to dziwne. Ale mieli kilka dużych rezerwacji.

Dylan już wyjął swój telefon. Był podekscytowany.

— Spróbuję zadzwonić do La Cantina. Wiesz, to meksykańska knajpka. Mają mnóstwo dań wegańskich. Uwielbiam kuchnię meksykańską, a ty?

Nora nie umiała wymyślić uzasadnionego powodu, dla którego miałyby tam nie pójść, oprócz niezbyt intrygującej rozmowy z Dylanem, ale w porównaniu z kanapką, którą w tej chwili jadła, i stanem reszty jej lodówki, meksykańskie jedzenie brzmiało obiecująco.

Więc Dylan zarezerwował dla nich stolik. A potem gawędzili dalej, podczas gdy w budynku za nimi czekały psy. W trakcie rozmowy wyszło na jaw, że się zastanawiają, czy nie zamieszkać razem.

— Moglibyśmy obejrzeć *Saloon ostatniej szansy* — zaproponował Dylan.

Właściwie go nie słuchała.

— Co to jest?

Uświadomiła sobie, że Dylan jest nieśmiały. Że nie nawiązuje z nią kontaktu wzrokowego. Tak, naprawdę był uroczy.

— Wiesz, ten film z Ryanem Baileyem, który chciałaś obejrzeć. Widzieliśmy trailer do niego. Mówiłaś, że podobno ma być zabawny, więc zrobiłem rozeznanie i ma osiemdziesiąt sześć procent w serwisie Rotten Tomatoes, a jest na Netfliksie, dlatego...

Zastanawiała się, czy Dylan by jej uwierzył, gdyby mu powiedziała, że w innym życiu jest wokalistką popularnego na całym globie zespołu pop-rockowego i światową ikoną, która rzeczywiście spotykała się, a następnie sama z własnej woli zerwała z Ryanem Baileyem.

— Brzmi nieźle — oceniła, wpatrując się w puste opakowanie po chipsach unoszące się nad rzadką trawą.

Dylan zerwał się z ławki, złapał opakowanie i wrzucił je do pobliskiego kosza.

Wrócił i z uśmiechem usiadł obok Nory. Zrozumiała, co widziała w nim tamta druga. Było w nim coś czystego. Jakby sam był psem.

Po co chcieć innego wszechświata, skoro w tym są psy?

Restauracja znajdowała się przy Castle Road, tuż za rogiem zajmowanym przez Teorię Strun, więc żeby tam dotrzeć, musieli przejść obok sklepu. Czowała się dziwnie. Tak dobrze znała ten sklep. Ale kiedy dotarła do witryny, zauważyła, że coś jest nie w porządku. W oknie nie było gitar. Nie było w nim nic, z wyjątkiem przyklejonej do wnętrza szyby wyblakłej kartki formatu A4.

Rozpoznała pismo Neila.

Niestety, Teoria Strun nie jest już w stanie handlować w tym obiekcie. Po podniesieniu czynszu po prostu nas na to nie stać. Dziękujemy wszystkim naszym lojalnym klientom. „Nie rozpamiętujcie, nic się nie stało. Możecie pójść własną drogą ¹¹”. Dacie radę.

Cytat rozbawił towarzysza Nory.

— Wiem, co to znaczy. — A potem dodał: — Dostałem imię na cześć Boba Dylana. Mówiłem ci kiedyś o tym?

— Nie pamiętam.

— Wiesz, tego muzyka.

— Tak, Dylanie. Słyszałam o Bobie Dylanie.

— Moja starsza siostra ma na imię Suzanne. Na cześć piosenki Leonarda Cohena.

Nora się uśmiechnęła.

— Moi rodzice uwielbiali Leonarda Cohena.

— Byłaś tam kiedyś? — zapytał. — To był chyba fajny sklepik.

— Kilka razy.

— Tak sobie pomyślałem, bo przecież jesteś muzykalna. Kiedyś grałaś na pianinie, no nie?

„Kiedyś!”

— Tak. Na instrumentach klawiszowych. Trochę.

Odkryła, że kartka wygląda na starą. Przypomniała sobie, co powiedział jej tamtego dnia Neil. „Nie mogę ci płacić za to, że odstręczasz klientów, patrząc na nich z miną ponurą jak deszczowy weekend”.

„No cóż, Neilu, może mimo wszystko wcale nie chodziło o moją minę”.

Szli dalej.

— Dylanie, wierzysz we wszechświaty równoległe?

Wzruszył ramionami.

— Myślę, że tak.

— Jak sądzisz, co porabiasz w innym życiu? Uważasz, że ten świat jest dobry? A może wolałbyś żyć w takim, w którym wyjechałbyś z Bedford?

— Raczej nie. Jestem tu szczęśliwy. Po co chcieć innego wszechświata, skoro w tym są psy? Psy są tu takie same jak w Londynie. Wyjechałem stąd, wiesz? Dostałem się na weterynarię na uniwersytecie w Glasgow. Nie było mnie tydzień, a już bardzo tęskniłem za moimi psami... Zresztą wtedy mój tata stracił pracę i nie stać mnie było na studia. Więc cóż, nigdy nie zostałem weterynarzem. A naprawdę chciałem. Ale nie żałuję. Mam dobre życie. Mam paru fajnych przyjaciół. I mam swoje psy.

Na twarzy Nory znów pojawił się uśmiech. Lubiła Dylana, nawet jeśli wątpiła, czy pociąga ją tak bardzo jak jej tutejszą odpowiedniczkę. Był dobrym człowiekiem, a dobrzy ludzie to rzadkość.

Gdy dotarli do restauracji, zobaczyli biegnącego w ich kierunku wysokiego ciemnowłosego mężczyznę w stroju sportowym. Po chwili Nora uświadomiła sobie, że ma przed sobą Asha — Asha-chirurga, tego, który był klientem Teorii Strun i który zaprosił ją na kawę, tego, który pocieszał ją w szpitalu i który zapukał wczoraj do jej drzwi, w innym świecie, a potem ją poinformował o śmierci Woltera. To wspomnienie wydawało się takie świeże, a jednak należało tylko do niej. Zapewne i tu Ash trenował do niedzielnego półmaratonu. Nie miała powodu sądzić, że tutejszy Ash różni się od Asha

w jej głównym życiu, chociaż tu prawdopodobnie ubiegłej nocy nie znalazł martwego Woltera. A może znalazł kota, tyle że ten kot nie wabił się tutaj Wolter.

— Cześć — powiedziała, zapominając, w którym jest świecie.

I Ash uśmiechnął się do niej, jednak z zakłopotaniem. Z zakłopotaniem, lecz uprzejmie, przez co — z jakiegoś powodu — Nora poczuła się jeszcze bardziej zażenowana. Ponieważ w tym życiu nie było pukania do drzwi ani zaproszenia na kawę, ani zakupu śpiewnika z piosenkami duetu Simon & Garfunkel.

— Kto to był? — zapytał Dylan.

— Och, tylko ktoś, kogo znałam w innym życiu.

Chłopak wyglądał na zmieszanego, lecz otrząsnął się z tego uczucia jak z deszczu.

Weszli do lokalu.

Kolacja z Dylanem

La Cantina prawie wcale się nie zmieniła.

Nora przypomniła sobie ten wieczór sprzed lat, kiedy przyprowadziła tutaj Dana podczas jego pierwszej wizyty w Bedford. Usiedli wówczas przy stoliku w rogu i wypili zbyt wiele margarit, rozmawiając o wspólnej przyszłości. Wtedy po raz pierwszy Dan podzielił się z nią swoim marzeniem o posiadaniu pubu na wsi. Właśnie mieli ze sobą zamieszkać, dokładnie tak jak Nora i Dylan w tym życiu. Teraz przypomniła sobie, że Dan był dość niegrzeczny dla obsługi, co ona rekompensowała kelnerowi przesadnymi uśmiechami. To była jedna z życiowych zasad: „Nigdy nie ufaj komuś, kto jest bez powodu niegrzeczny wobec słabo opłacanych pracowników obsługi”; Dan zawiódł w tej kwestii, podobnie jak w wielu innych. Nora musiała też przyznać, że nie uznałaby La Cantiny za najlepsze miejsce na powrót.

— Uwielbiam tę knajpkę — wyznał Dylan, rozglądając się po ruchliwym pomieszczeniu i jego jaskrawym czerwono-żółtym wystroju.

Nora po cichu się zastanawiała, czy istniały jakieś miejsca, których Dylan nie uwielbia. Wyglądało na to, że gdyby usiadł na polu niedaleko Czarnobyli, to pewnie podziwiałby piękne krajobrazy.

Nad *taco* z czarną fasolą rozmawiali o psach i o szkole. Dylan rzeczywiście był dwie klasy niżej niż Nora i zapamiętał ją przede wszystkim jako „dziewczynę, która dobrze pływała”. Pamiętał nawet szkolny apel — ten, o którym ona od dawna próbowała zapomnieć — gdy została wywołana na scenę i otrzymała dyplom za reprezentowanie szkoły Hazeldene Comp. Teraz przyszło jej do głowy, że być może właśnie w tamtym momencie pływanie przestało jej sprawiać frajdę. Od tamtej pory trudniej jej się było spotykać z przyjaciółmi i znalazła się na marginesie szkolnego życia.

— Widywałem cię w bibliotece podczas przerw — powiedział Dylan,

uśmiechając się do własnych wspomnień. — Pamiętam, że grywałaś w szachy z bibliotekarką, którą wtedy mieliśmy... Jak ona się nazywała...?

— Pani Elm — podsunęła.

— Dokładnie tak! Pani Elm! — A potem powiedział coś jeszcze bardziej zaskakującego: — Widziałem ją któregoś dnia.

— Naprawdę?

— Tak. Stała na Shakespeare Road. Z mężczyzną w specyficznym stroju... chyba pielęgniarzem. Myślę, że wyszła na spacer z kimś z domu opieki. Wyglądała bardzo krucho. Bardzo staro.

Z jakiegoś powodu Nora zakładała, że pani Elm zmarła wiele lat temu, a zapamiętana ze szkoły wersja kobiety, którą zawsze widziała w bibliotece, czyniła to założenie bardzo prawdopodobnym, ponieważ zachowała się w jej pamięci niczym komar w bursztynie.

— Och nie. Biedna pani Elm. Bardzo ją lubiłam.

Saloon ostatniej szansy

Po posiłku poszli do domu Dylana, gdzie mieli obejrzeć film z Ryanem Baileyem. Z restauracji pozwolono im zabrać na wpół wypitą butelkę wina. Nora tłumaczyła sobie zgodę na pójście do niego tym, że Dylan był miły, szczery i miała nadzieję łatwo, bez szczególnego wysiłku wydobyć od niego szczegóły na temat ich życia.

Dylan mieszkał przy Huxley Avenue w małym szeregowcu, który odziedziczył po matce. Dom wydawał się jeszcze mniejszy z powodu liczby zamieszkujących go psów. Nora doliczyła się pięciu, choć być może na górze czaiło się ich więcej. Zawsze uważała, że nie przeszkadza jej psi zapach, ale tam uświadomiła sobie jednak, że ta sympatia ma swoje granice.

Siadając na kanapie, poczuła pod pośladkiem coś twardego — plastikowy gryzak w kształcie pierścienia. Odłożyła go na dywan między inne psie zabawki. Sztuczną kość. Piłkę z gąbki z odgryzionymi kawałkami. Jakiś częściowo zmasakrowany miękki przedmiot.

Chihuahua z zaciętą próbował uprawiać seks z jej prawą nogą.

— Przestań, Pedro — powiedział Dylan ze śmiechem i odciągnął od niej pieska.

Kolejne zwierzę, olbrzymi, umięśniony kasztanowy nowofundland usiadł obok na kanapie i zaczął lizać ucho Nory jęzorem wielkości pantofla, co oznaczało, że Dylan musiał się zadowolić miejscem na podłodze.

— Chcesz odzyskać kanapę?

— Nie, dobrze mi na podłodze.

Nora nie naciskała. W gruncie rzeczy poczuła ulgę. Dzięki temu łatwiej im będzie oglądać *Saloon ostatniej szansy* bez dalszych niezręczności. Zwłaszcza że nowofundland przestał ją lizać po uchu i ułożył się z głową na jej kolanie. Nora poczuła się — cóż, niezupełnie szczęśliwa, ale też nie przygnębiona.

A jednak gdy patrzyła, jak Ryan Bailey mówi swojemu filmowemu obiektowi westchnień, że „Życie, kochana, jest po to, by żyć”, a jednocześnie sama słyszała od Dylana, że zastanawia się, czy pozwolić spać w łóżku jeszcze jednemu psu („Piszczy całe noce. Chce do swojego tatusia”), zdała sobie sprawę, że jednak nie jest zachwycona tym życiem.

A także że Dylan zasługuje na inną Norę. Taką, która zdołałaby się w nim zakochać. To były nowe emocje — czuła się tak, jakby zajmowała czyjeś miejsce.

Uświadomiwszy sobie, że ma w tym życiu dużą tolerancję na alkohol, naląła sobie trochę więcej wina. Był to dość kiepski kalifornijski zinfandel. Spojrzała na etykietkę z tyłu butelki. Z jakiegoś powodu umieszczono tam krótką notkę autobiograficzną kobiety i mężczyzny, Janine i Terence’a Thorntonów, właścicieli winnicy, w której wyprodukowano wino. Nora przeczytała ostatnie zdanie: „Odkąd się pobraliśmy, marzyliśmy o otwarciu własnej winnicy. I teraz urzeczywistniliśmy to marzenie. Tutaj, w Dry Creek Valley, nasze życie smakuje równie dobrze jak kieliszek zinfandela”.

Pogłaskała ogromnego nowofundlanda, który wcześniej lizał ją po uchu, wyszeptała w jego sierść „Do widzenia”, po czym opuściła Dylana i jego psy.

Winnica Buena Vista

Podczas następnej wizyty w Bibliotece o Północy pani Elm pomogła Norze znaleźć życie, które byłoby najbliższe przedstawionemu na etykiecie butelki wina z restauracji. Dała więc Norze książkę, która wysłała dziewczynę do Stanów Zjednoczonych.

W tym życiu Nora nazwała się Martínez i była żoną czarnookiego mężczyzny tuż po czterdziestce, z pochodzenia Meksykanina, imieniem Eduardo, którego poznała podczas rocznej przerwy (w swoim pierwotnym życiu po ukończeniu uniwersytetu zawsze żałowała, że w czasie studiów nie zrobiła sobie takiej przerwy). Gdy jego rodzice zginęli w wypadku na łodzi (dowiedziała się o tym z własnego profilu w czasopiśmie „Entuzjasta Win”, który wisiał oprawiony w ramkę na ścianie w ich obitej dębową boazerią sali degustacyjnej), Eduardo otrzymał skromny spadek, za który kupili maleńką winnicę w Kalifornii. Po trzech latach radzili sobie na tyle dobrze — szczególnie dzięki swoim odmianom szczepu Syrah — że stać ich było na nabycie sąsiedniej winnicy, kiedy wystawiono ją na sprzedaż. Swoją, usytuowaną u podnóża gór Santa Cruz, nazwali Buena Vista, mieli też syna imieniem Alejandro, który uczęszczał do szkoły z internatem w pobliżu zatoki Monterey.

Znaczną część swojej działalności zawdzięczali miłośnikom enoturystyki. Co godzinę na teren winiarni przyjeżdżały autokary pełne ludzi. Norze łatwo było improwizować, ponieważ turyści byli naprawdę naiwni. Wyglądało to tak: przed przybyciem autokaru Eduardo decydował, które wina zostaną wystawione w kieliszkach, i wręczał Norze butelki. „Prr, Nora, *despacio*¹², *un poco*¹³ za dużo” — beształ ją swoją zabawną mieszanką hiszpańskiego i angielskiego, gdy nieco zbyt hojnie rozdzielala trunki. Kiedy zjawiali się turyści, wdychała zapach wina, które popijali lub sączyli, i próbowała

naśladować Eduarda i mówić właściwe rzeczy: „W bukicie tego trunku jest drzewna nuta” albo „W tym winie zauważycie państwo owocowe aromaty, mocne wyraziste jeżyny i aromatyczne nektarynki, doskonale zrównoważone posmakiem dymnym”.

Każde życie, którego do tej pory doświadczyła, było inne jak różne fragmenty symfonii, a w tym czuła się odważną optymistką. Eduardo był człowiekiem niezwykle łagodnym, a ich małżeństwo wydawało się udane. Być może mogłoby nawet rywalizować z losem pary z etykiety kiepskiego wina, które w innym życiu wypła z Dylanem, oblizywana przez jego astronomicznie wielkiego psa. Pamiętała nawet imiona i nazwisko tych ludzi. Janine i Terence Thorntonowie. A teraz czuła się tak, jakby i ona żyła w etykiecie na butelce. I tak też wyglądała. Idealne kalifornijskie włosy, „kosztowne” zęby, opalona i zdrowa mimo — przypuszczalnie — dość znacznego spożycia wina syrah. Miała tu płaski, twardy brzuch, który sugerował godziny spędzane na uprawianiu pilatesu.

Jednak w tym życiu było jej łatwo nie tylko udawać posiadanie nieposiadanej wiedzy o winie. Łatwo jej było udawać właściwie... wszystko, co mogło oznaczać, że kluczem do jej pozornie udanego związku z Eduardem jest fakt, że mężczyzna tak naprawdę nieszczególnie zwraca na nią uwagę.

Po wyjściu ostatniego z turystów usiedli we dwoje pod gwiazdami z kieliszkiem wina własnej produkcji.

— Pożary w LA już dogasają — powiedział Eduardo.

Nora zastanawiała się, kto mieszka w domu w Los Angeles, tym, którego posiadaczką była jako gwiazda muzyki.

— Na szczęście.

— Tak.

— Czy nie jest piękna? — zapytała mężczyznę, wpatrując się w czyste, pełne gwiazdozbiorów niebo.

— Co?

— Galaktyka.

— A tak.

Przez chwilę przeglądał swój telefon i niewiele mówił. A potem odłożył komórkę, lecz nadal milczał.

Do tej pory Nora знаła trzy rodzaje ciszy w związkach. Była oczywiście cisza bierno-agresywna oraz taka, w której ludzi nie mieli sobie już nic do powiedzenia, a także taka, która łączyła ją i Eduarda. Cisza wynikająca z braku potrzeby mówienia. Gdy jest się po prostu ze sobą, razem. Coś w rodzaju wspólnego szczęśliwego milczenia.

Nora chciała jednak porozmawiać.

— Jesteśmy szczęśliwi, prawda?

— Skąd to pytanie?

— Och, wiem, że jesteśmy. Po prostu lubię słyszeć, jak to czasami mówisz.

— Jesteśmy szczęśliwi, Noro.

Popijała wino i patrzyła na męża. Miał na sobie sweter, chociaż wcale nie było zimno. Posiedzieli jeszcze przez chwilę, a później Eduardo postanowił pójść spać.

— Ja chciałabym tu jeszcze trochę zostać.

Mężczyzna najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Pocałował ją w czubek głowy i odszedł.

Nora wzięła kieliszek z winem i przez jakiś czas chodziła wśród oświetlonych księżycem winorośli.

Wpatrywała się w czyste niebo pełne gwiazd.

W tym życiu nie było absolutnie nic złego, ale czuła, że pragnie innych możliwości, innego życia. Odnosiła wrażenie, jakby wciąż unosiła się w powietrzu i nie była gotowa wylądować. Może była bardziej podobna do Hugona Lefèvre'a, niż zdawała sobie z tego sprawę. Może mogłaby przeglądać dostępne żywoty jak książki.

Przełknęła resztę wina, wiedząc, że nie grozi jej kac.

— Ziemia i drewno — powiedziała do siebie. Zamknęła oczy.

To nie potrwa długo.

I nic nie musiała robić.

Po prostu stała w miejscu i czekała, aż zniknie.

Wiele wcieleń Nory Seed

Coś zrozumiała. Coś, czego Hugo nigdy jej do końca nie wyjaśnił wtedy, w kuchni na Svalbardzie. Że nie trzeba się cieszyć każdym aspektem kolejnego życia, aby mieć możliwość doświadczania następnych. Nie wolno po prostu rezygnować z myśli, że gdzieś rzeczywiście istnieje życie, którym można by się cieszyć. Jednocześnie to, że cieszymy się jakimś życiem, wcale nie oznacza, że musimy się w nim zatrzymać. Na zawsze zostalibyśmy w danym życiu tylko wtedy, gdybyśmy nie potrafili sobie wyobrazić lepszego, a jednak — co paradoksalne — im więcej światów wypróbujemy, tym łatwiej przychodzi nam myśl o innym, lepszym, ponieważ wraz z każdym nowym życiem nasza wyobraźnia coraz lepiej pracuje.

Tak więc przez jakiś czas i z pomocą pani Elm Nora zdejmowała z półek kolejne książki i smakowała jedno życie po drugim, poszukując tego najbardziej dla siebie odpowiedniego. Odkryła, że próbując „naprawić” jakiś żal, tak naprawdę usiłuje spełniać własne życzenia. I że — właściwie — mogła wieść niemal każde życie.

Raz trafiła do Paryża, gdzie prowadziła dość samotniczy żywot, ucząc języka angielskiego w college’u w dzielnicy Montparnasse, jeździła na rowerze nad Sekwaną i czytała dużo książek na ławce w parku. W innym była nauczycielką jogi i potrafiła skrócić szyję niemal w tym samym stopniu co sowy.

W jednym życiu wciąż pływała, chociaż nigdy nie próbowała się zakwalifikować na olimpiadę. Robiła to raczej dla zabawy. Pracowała w tamtym życiu jako ratowniczką w nadmorskim kurorcie Sitges, niedaleko Barcelony, mówiła biegle zarówno po katalońsku, jak i po hiszpańsku, i przyjaźniła się z wesołą dziewczyną imieniem Gabriela, która uczyła ją surfować i z którą dzieliła odległe o pięć minut od plaży mieszkanie.

Istniało życie, w którym Nora zawodowo zajmowała się pisaniem beletrystyki, co rzeczywiście przez jakiś czas rozważała podczas studiów. Teraz była chętnie publikowaną autorką. Jej powieść *Kształt żalu* otrzymała entuzjastyczne recenzje i znalazła się na liście najpoważniejszych kandydatów do jednej z głównych nagród literackich. W tym życiu Nora jadła właśnie obiad w rozczarująco banalnym prywatnym klubie w Soho z dwoma uprzejmymi, wyrozumiałymi producentami z Magic Lantern Productions, którzy chcieli adaptować jej książkę na film. Niestety, skończyło się na tym, że zakrztusiła się kawałkiem chlebka pita, a później straciła kieliszek z czerwonym winem na spodnie jednego z mężczyzn, czym zepsuła całe spotkanie.

W pewnym życiu miała nastoletniego syna Henry'ego, którego właściwie nigdy nie spotykała, ponieważ wciąż zatrząskiwał jej drzwi przed nosem.

W innym była pianistką koncertową, która przebywała na tournée w Skandynawii, gdzie co wieczór grywała dla zachwyconych tłumów (a wróciła do Biblioteki o Północy podczas jednej katastrofalnej interpretacji II koncertu fortepianowego Chopina w helsińskiej Finlandia Talo).

W innym życiu żywiła się wyłącznie tostami.

W następnym życiu ukończyła studia na Oksfordzie, została wykładowczynią filozofii w tamtejszym Kolegium Świętej Katarzyny i mieszkała samotnie w pięknej georgiańskiej kamienicy w eleganckim szeregowcu w szacownej, spokojnej okolicy.

W kolejnym życiu Nora była jedną wielką masą emocji. Wszystko odczuwała bardzo głęboko. Każdą radość i każdy smutek. Pojedyncza chwila mogła dla niej oznaczać zarówno intensywną przyjemność, jak i intensywny ból, tak jakby obie emocje były od siebie zależne niczym poruszające się wahadło. W trakcie zwykłego spaceru po dworze potrafiła czuć ogromny smutek tylko dlatego, że słońce właśnie zaszło za chmury. A równocześnie spotkanie z psem, który był wyraźnie wdzięczny za jej uwagę, przepełniało ją tak wielką radością, że miała wrażenie, iż za chwilę być może rozplynie się

z czystej rozkoszy i wtopi w chodnik. W tym życiu obok łóżka miała książkę z wierszami Emily Dickinson, a także playlisty — jedną opatrzoną nazwą „Ekstremalne stany euforii” oraz drugą zatytułowaną „Klej, który mnie skleja, gdy się rozpadam”.

W jednym życiu była vlogerką, która pisała o podróżach i miała milion siedemset pięćdziesięciu subskrybentów na YouTube oraz niemal tyle samo obserwatorów na Instagramie, a jej najpopularniejszy film pokazywał, jak wypadła z gondoli w Wenecji. Inny, na temat Rzymu, nazywał się „Rzymska terapia”.

W jednym życiu była samotną matką niemowlęcia, które prawie nie sypiało.

W jednym życiu prowadziła kolumnę na temat showbiznesu w tabloidzie i pisała o związkach miłosnych Ryana Baileya.

W jednym życiu była kierowniczką działu fotoreporterskiego w „National Geographic”.

W jednym życiu była odnoszącą sukcesy ekoarchitektką, która mieszkała w neutralnym pod względem emisji dwutlenku węgla, zaprojektowanym przez siebie parterowym domu, który wykorzystywał energię słoneczną i zebraną wodę deszczową.

W jednym życiu była pracowniczką organizacji pomocowej w Botswanie.

W jednym życiu zatrudniała się jako kocia niania.

W jednym życiu była wolontariuszką w schronisku dla bezdomnych.

W jednym życiu spała na kanapie należącej do jedynej przyjaciółki.

W jednym życiu nauczała muzyki w Montrealu.

W jednym życiu całe dni spędzała, dyskutując z nieznanymi na Twitterze, a sporą część swoich tweetów kończyła sugestią: „Postaraj się bardziej”, wiedząc w gruncie rzeczy, że tak naprawdę mówi to do siebie.

W jednym życiu nie miała żadnych kont w mediach społecznościowych.

W jednym życiu nigdy nie wypła ani grama alkoholu.

W jednym życiu była mistrzynią szachową i właśnie uczestniczyła w turnieju na Ukrainie.

W jednym życiu była żoną drugorzędnego członka rodziny królewskiej i nienawidziła każdej minuty swojej egzystencji.

W jednym życiu na swoich kontach na Facebooku i Instagramie znalazła jedynie cytaty z Rumiego i Lao Tzu.

W jednym życiu miała trzeciego męża i już była znudzona.

W jednym życiu była weganką i uprawiała podnoszenie ciężarów.

W jednym życiu podróżowała po Ameryce Południowej i przeżyła trzęsienie ziemi w Chile.

W jednym życiu miała przyjaciółkę imieniem Becky, która — ilekroć działo się coś miłego — mawiała: „Och, ale heca!”.

W jednym życiu Nora ponownie spotkała Hugona nurkującego u wybrzeży Korsyki. Porozmawiali o mechanice kwantowej i pili w barze przy plaży do czasu, aż Hugo, w połowie zdania, wyśliznął się z tego życia, a ona przez chwilę zwracała się do jego zmieszanego odpowiednika, który usiłował sobie przypomnieć jej imię.

W takim czy innym życiu przyciągała mnóstwo uwagi. W innych nie pociągała nikogo. W jednych była bogata. W innych — biedna. W jednych była zdrowa. W innych nie była w stanie wejść po schodach bez zadyszki. W niektórych żyła w związku, w innych samotnie, w wielu była gdzieś pośrodku. W niektórych wcieleniach miała własne dzieci, lecz w większości nie była matką.

Była gwiazdą rocka, olimpijką, nauczycielką muzyki, nauczycielką w szkole podstawowej, profesorką, dyrektorką generalną firmy, czyjąś asystentką, szefem kuchni, glaciologką, klimatologką, akrobatką, sadowniczką zajmującą się drzewami, specjalistką do spraw audytu, fryzjerką, profesjonalną wyprowadzaczką psów, urzędniczką, programistką, recepcjonistką, sprzątaczką w hotelu, polityczką, prawniczką, złodziejką sklepową, szefową charytatywnej organizacji zajmującej się ochroną oceanów, pracowniczką sklepu (ponownie), kelnerką, przedstawicielką najniższej kadry kierowniczej, dmuchaczką szkła i wykonywała tysiące innych zawodów. Do

pracy musiała dojeżdżać samochodami, autobusami, pociągami, promami, na rowerze, chodzić pieszo. Otrzymywała tysiące wiadomości e-mail. Raz miała pięćdziesięcioletniego szefa z cuchnącym oddechem, który dotykał jej nogi pod stołem i wysyłał Norze ememesy ze zdjęciem swojego penisa. Pracowała z ludźmi, którzy opowiadali o niej kłamstwa, albo z takimi, którzy ją uwielbiali, i (głównie) z takimi, którym była całkowicie obojętna. W wielu wcieleniach postanowiła nie pracować, były też takie, w których chciała poszukać pracy, lecz nie mogła żadnej znaleźć. Niektóre jej odpowiedniczki awansowały, a inne tylko pragnęły się przebić. Miewała za wysokie i zbyt niskie kwalifikacje. Sypiała znakomicie i okropnie. W niektórych wcieleniach brała leki przeciwdepresyjne, w innych nie przyjmowała nawet ibuprofenu na ból głowy. Czasami bywała fizycznie zdrową hipochondryczką, innym razem poważnie chorą hipochondryczką, w większości przypadków w ogóle nie cierpiała z powodu hipochondrii. Było życie, w którym doświadczyła przewlekłego zmęczenia, takie, w którym miała raka, takie, w którym zdiagnozowano u niej dyskopatię, i takie, gdzie złamała żebra w wyniku wypadku samochodowego.

Krótko mówiąc, istniało wiele dostępnych żywotów.

A ona pośród nich śmiała się i płakała, czuła spokój, przerażenie i wszystko pomiędzy.

A przed każdym kolejnym życiem zawsze widywała w bibliotece panią Elm.

I na początku odnosiła wrażenie, że wraz z każdym następnym życiem z transferem wiąże się coraz mniej problemów. Nigdy jej się nie wydawało, że biblioteka zaraz się rozpadnie czy kompletnie zniknie. W trakcie wielu z tych okresów przejściowych już nawet nie migotały światła. Było tak, jakby Nora osiągnęła pewien poziom akceptacji życia i jeśli zdarzały się jej złe doświadczenia, nie były one wyłącznie takie. Uświadomiła sobie, że nie próbowała zakończyć swojego życia, ponieważ była nieszczęśliwa, ale

dlatego, że zdołała przekonać samą siebie, iż nie istnieje wyjście z tego pasma niepowodzeń.

Było to, jak podejrzewała, podstawą jej depresji, a także różnicy między strachem a rozpaczą. Strach pojawia się wówczas, gdy wchodzimy do piwnicy i martwimy się, że drzwi się zatrzasną. A rozpacz ogarnia nas, kiedy drzwi rzeczywiście się za nami zatraskują.

Ale wraz z każdym kolejnym życiem Nora widziała, jak te metaforyczne drzwi otwierają się coraz szerzej — w miarę jak coraz lepiej wykorzystywała swoją wyobraźnię. Czasami przebywała w jakimś życiu krócej niż minutę, podczas gdy w innych trwała przez kilka dni lub tygodni. Zauważyła, że im więcej światów odwiedza, tym trudniej jest się gdzieś poczuć jak w domu.

Problem polegał na tym, że w końcu zaczęła tracić poczucie tożsamości. Niczym szeptane słowo przekazywane z ucha do ucha nawet własne imię zaczęło dla niej brzmieć jak zwykły, nic nieznaczący dźwięk.

— To nie działa — pożaliła się Hugonowi w trakcie ich ostatniej rzeczywistej rozmowy w barze na korsykańskiej plaży. — I już nie jest zabawnie. Nie jestem taka jak ty. Muszę się gdzieś zatrzymać. Ale podłoże nigdy nie jest stabilne.

— Zabawa tkwi w przeskakiwaniu, *mon amie* ¹⁴.

— A jeśli chcę wylądować?

W tym momencie jednak Hugo wrócił do swojego czyścicowego sklepu wideo.

— Przykro mi — powiedziało jego inne ja, kiedy mężczyzna na tle zachodzącego słońca wypił łyk wina. — Zapomniałem, kim jesteś.

— Nie przejmuj się — odrzekła mu. — Ja też.

I wówczas ona również zniknęła niczym pochłonięte właśnie przez horyzont słońce.

Zagubiona w bibliotece

— Pani Elm?

— Tak, Noro, co się stało?

— Jest ciemno.

— Zauważyłam.

— To nie jest dobry znak, prawda?

— Nie — odparła bibliotekarka, wyraźnie podenerwowana. — Wiesz doskonale, że nie jest.

— Nie mogę iść dalej.

— Zawsze tak mówisz.

— Wyczerpałam możliwości. Prowadziłam już każde możliwe życie. A jednak za każdym razem wracam tutaj. Zawsze coś zakłóca moją radość. Zawsze! Chyba jestem niewdzięczna.

— Cóż, nie powinnaś się tak czuć. I niczego nie wyczerpałaś. — Pani Elm przerwała na chwilę i westchnęła. — Wiesz, że za każdym razem, gdy wybierasz książkę, nigdy nie wraca ona na półkę?

— Tak.

— Właśnie dlatego nigdy nie możesz wrócić do życia, którego spróbowałaś. Zawsze to musi być jakaś... wariacja na temat. W Bibliotece o Północy nie można wziąć dwukrotnie tej samej książki.

— Nie nadążam.

— Cóż, nawet mimo ciemności wiesz, że te półki są równie pełne jak ostatnim razem, gdy na nie patrzyłaś. Sprawdź, jeśli chcesz.

Nora nie sprawdziła.

— Tak. Wiem, że tam są.

— Półki są dokładnie tak samo zapełnione, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy tutaj przybyłaś.

— Ja nie...

— To oznacza, że wciąż masz przed sobą tak samo dużo możliwości. Dokładnie mówiąc, istnieje nieskończona liczba możliwości. Nigdy ci ich nie zabraknie.

— Ale można przestać ich chcieć.

— Och, Noro.

— Ale co?

W ciemnościach zapadła cisza.

Nora nacisnęła małe światło na zegarku, ot tak, dla pewności.

„00:00:00”.

— Myślę... — powiedziała w końcu kobieta — ...jeśli mogę to powiedzieć w miarę uprzejmie... że trochę się zgubiłaś.

— Czy nie dlatego przyszedłam do Biblioteki o Północy? Ponieważ się zgubiłam?

— No cóż, tak... Ale teraz zgubiłaś się w swoim... zagubieniu. To znaczy, że jesteś naprawdę bardzo zagubiona. W ten sposób nie dowiesz się, jak chcesz żyć.

— A jeśli to nigdy nie było możliwe? Co, jeśli jestem... w pułapce?

— Dopóki na półkach są książki, nigdy nie znajdziesz się w pułapce. Każda książka jest potencjalną ucieczką.

— Po prostu nie rozumiem życia — nadała się Nora.

— Nie trzeba go rozumieć. Trzeba po prostu żyć.

Potrząsnęła głową. To było trochę za dużo jak na absolwentkę filozofii.

— Ale nie chcę być taka — wyjaśniła bibliotekarce. — Nie chcę być taka jak Hugo. Nie chcę bez końca przeskakiwać z życia do życia.

— W porządku. Więc musisz mnie uważnie wysłuchać. Chcesz mojej rady?

— No cóż, tak. Oczywiście, że chcę. Trochę chyba na to za późno, ale tak, pani Elm, byłabym bardzo wdzięczna za poradę w tej sprawie.

— Dobrze. Świetnie. Myślę, że dotarłaś do momentu, w którym szczegóły przesłaniają ci istotę rzeczy.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem, co ma pani na myśli.

— Masz rację, jeśli myślisz o takim czy innym życiu jak o pianinie, na którym grasz utwory, choć nie są naprawdę twoje. Zapominasz, kim jesteś. Stając się każdym, stajesz się nikim. Zapominasz o swoim pierwotnym życiu. Zapominasz o tym, co ci się udawało, a co nie. Zapominasz o swoich żalach.

— Przerobiłam już swoje żale.

— Nie. Nie wszystkie.

— Cóż, pewnie kilka pomniejszych zostało. Nie przeczę.

— Musisz jeszcze raz zajrzeć do *Księgi żalów*.

— Jak mogę to zrobić w ciemnościach?

— Możesz, bo znasz już całą książkę. Ponieważ ona jest w tobie. Dokładnie tak jak... ja.

Przypomniała sobie, jak Dylan mówił, że widział panią Elm w pobliżu domu opieki. Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym kobiecie, ale zrezygnowała.

— Racja.

— Znamy tylko to, co widzimy. Wszystko, czego doświadczamy, jest ostatecznie tylko naszym wyobrażeniem. „Liczy się nie to, na co patrzysz, lecz to, co widzisz”.

— Zna pani Thoreau?

— Oczywiście. Jeśli ty go znasz.

— Rzecz w tym, że ja już nie wiem, czego żałuję.

— Hm, sprawdźmy. Twierdzisz, że jestem jedynie wyobrażeniem. Więc dlaczego mnie sobie wyobraziłaś? Dlaczego widzisz właśnie mnie... panią Elm?

— Nie wiem. Pewnie dlatego, że pani ufałam. Ponieważ była pani dla mnie miła.

— Życzliwość to wielka siła.

— I rzadka.

— Może szukasz w niewłaściwych miejscach.

— Może.

Ciemność rozjaśniła się powoli dzięki rosnącemu światłu pochodzącemu z żarówek w całej bibliotece.

— Więc gdzie indziej w swoim pierwotnym życiu doświadczałaś życzliwości?

Nora przypomniała sobie tę noc, kiedy do jej drzwi zapukał Ash. Może zabranie martwego kota z drogi, przeniesienie jego ciała w deszczu do małego ogródka na tyłach mieszkania Nory i zakopanie go tam, ponieważ ona, pijana, tylko szlochała z żalu, nie było najbardziej romantycznym wyczynem na świecie. Ale rezygnacja z joggingu na czterdzieści minut, poświęcenie tego czasu na pomoc komuś w potrzebie i przyjęcie w zamian jedynie szklanki wody z pewnością kwalifikuje się jako życzliwość.

W tamtym momencie Nora tak naprawdę nie była w stanie docenić tego gestu dobroci. Jej żal i rozpacz były zbyt silne. Ale teraz, gdy się nad nim zastanowiła, uznała, że był naprawdę niezwykły.

— Myślę, że wiem — odpowiedziała. — Doświadczyłam życzliwości w noc poprzedzającą moją próbę samobójczą.

— Masz na myśli wczorajszy wieczór?

— Tak przypuszczam... Tak. Ash. Chirurg. Mężczyzna, który znalazł Woltsa. Ten, który kiedyś zaprosił mnie na kawę. Przed laty. Wtedy, gdy byłam z Danem. Odmówiłam, ponieważ chodziłam z Danem. A gdybym wówczas Ashowi nie odmówiła? Gdybym zerwała z Danem i poszła na tę randkę, gdybym się odważyła w tamtą sobotę w sklepie, na oczach wszystkich, przyjąć propozycję wspólnego wypicia kawy, co wtedy? Na pewno istnieje życie, w którym w tamtym momencie byłam singielką i odpowiedziałam Ashowi to, co chciałam mu odpowiedzieć. W którym mu odpowiedziałam: „Tak, Ash, chciałabym kiedyś pójść z tobą na kawę, byłoby cudownie”. Życie, w którym wybrałam Asha. Chciałabym spróbować takiego życia. Zobaczyć, dokąd by mnie ta decyzja doprowadziła.

I Nora w ciemności usłyszała znajomy dźwięk. Półki zaczęły się przesuwać,

najpierw powoli, ze skrzypieniem, a później szybciej, płynniej, aż pani Elm dostrzegła książkę z życiem, o którym rozmawiały.

— Oto i ono!

Perła w muszli

Nora obudziła się z płytkiego snu, otworzyła oczy i natychmiast poczuła, że jest niesamowicie zmęczona. W mroku zobaczyła na ścianie obraz. Malowidło przedstawiało nieco abstrakcyjną interpretację drzewa. Z gatunku niezbyt wysokich i patykowatych. Było niskie, rozłożyste i obsypane kwieciami.

Obok Nory spał mężczyzna. Leżał odwrócony do niej plecami i przykryty kołdrą, a ponieważ panowały ciemności, nie była w stanie stwierdzić, czy ten mężczyzna to Ash.

Z jakiegoś powodu w tym świecie czuła się dziwniej niż zwykle. Oczywiście leżenie w łóżku z mężczyzną, który jedynie pomógł jej zakopać zmarłego kota i z którym przeprowadziła tylko kilka ciekawych rozmów z za kontuaru sklepu muzycznego, w normalnej sytuacji powinno się wydawać sytuacją dość osobliwą. Ale przecież od chwili, gdy Nora po raz pierwszy weszła do Biblioteki o Północy, powoli przyzwyczaiła się już chyba do wszelakich dziwności.

Choć właśnie dlatego, że mężczyzna mógł być Ashem, było też możliwe, że wcale nim nie jest. Nie mogła przewidzieć wyniku tamtej jednej decyzji. Wyjście z Ashem na kawę mogło się na przykład zakończyć w ten sposób, że Nora zakochała się w bariście, który im tę kawę podał. Taka była po prostu nieprzewidywalna natura fizyki kwantowej.

Wyczuła pierścionek na palcu serdecznym.

Dwa pierścionki.

Mężczyzna się odwrócił.

Objął ją w ciemnościach ramieniem, a ona delikatnie je podniosła i położyła z powrotem na kołdrze. Potem wstała z łóżka. Postanowiła zejść na dół, może położyć się na jakiejś kanapie i jak zwykle poszukać informacji o sobie w wyszukiwarce telefonu.

To było ciekawe, że bez względu na to, do jakiego życia trafiała i jak bardzo to konkretne różniło się od pozostałych, prawie zawsze miała przy łóżku swój telefon komórkowy. W tym życiu również tak było, więc złapała komórkę i ruszyła cicho do drzwi wyjściowych. Kimkolwiek był ten mężczyzna, spał głęboko i nawet się nie poruszył.

Popatrzyła na niego.

— Nora? — wymamrotał, na wpół uśpiony.

To był on. Była tego pewna. Ash.

— Idę tylko do toalety — uspokoiła go.

Wymamrotał coś zbliżonego do „okej” i ponownie zasnął.

Nora delikatnie stąpała po deskach podłogowych. Ale w chwili, gdy otworzyła drzwi i wyszła z pokoju, omal nie wyskoczyła ze skóry.

Bo tam, przed nią, w półmroku na podeście stała inna osoba. Mała. Wielkości dziecka.

— Mamusiu, miałam koszmar.

W słabym świetle przyciemnionej żarówki widziała buzię dziewczynki, jej cienkie rozczochrane od snu włosy, kosmyki przyklejone do wilgotnego czółka.

Nora nic nie odpowiedziała. To była jej córka.

Jak mogła cokolwiek powiedzieć?

Nasunęło jej się znajome już pytanie: Jak mogła po prostu włączyć się do życia, na które spóźniła się o dobrych parę lat? Zamknęła oczy. Trafiała już wcześniej do świata, w którym miała dzieci i zwykle nie przebywała tam dłużej niż kilka lub kilkanaście minut. Wchodziła na nieznane sobie terytorium.

Jej ciało zatrzęsało się z powodu tych wszystkich emocji, które próbowała w sobie zatrzymać. Nie chciała nawet przyjrzeć się małej. Nie tylko ze względu na samą siebie, lecz także z powodu dziewczynki. To wyglądało jak zdrada. Była jej matką, lecz także w inny, ważniejszy sposób: nie była nią.

Była jedynie obcą kobietą w obcym domu, która patrzyła na obce sobie dziecko.

— Mamusiu? Słyszysz? Miałam koszmar.

Dotarło do niej, że mężczyzna w pokoju za nią porusza się w łóżku. Uznała, że gdyby się obudził, sytuacja stałaby się jeszcze bardziej niezręczna. Postanowiła porozmawiać z dzieckiem sama.

— Ojej, to niefajnie — szepnęła. — Ale to nie było prawdziwe. To tylko sen.

— Chodziło o niedźwiedzie.

Nora zamknęła za sobą drzwi od sypialni.

— Niedźwiedzie?

— Z powodu tej historii.

— Racja. Tak. Historia. Chodź, wróć do łóżka... — Uświadomiła sobie, że zabrzmiało to szorstko. — Kochanie — dodała, zastanawiając się, jak ona — jej córka w tym świecie — ma na imię. — Tu nie ma niedźwiedzi.

— Tylko pluszowe misie.

— Tak, tylko one...

Dziewczynka rozbudziła się trochę bardziej. Jej oczy rozbłysły. Widziała w niej swoją matkę, toteż Nora przez chwilę rzeczywiście się tą matką poczuła. Matką tej dziewczynki. To było dziwne uczucie, to połączenie ze światem poprzez inną osobę.

— Mamusiu, co akurat robiłaś?

Dziecko mówiło głośno. Było bardzo poważne w sposób, w jaki potrafią być poważne tylko czterolatki (dziewczynka nie mogła być dużo starsza).

— Ciii — syknęła Nora. Naprawdę musiała się dowiedzieć, jak mała ma na imię. Imiona mają moc. Jeśli nie zna się imienia własnej córki, nad niczym nie ma się kontroli. — Słuchaj — szepnęła. — Zamierzam po prostu zejść na dół i coś zrobić. Wracaj do łóżka.

— Ale niedźwiedzie...

— Nie ma żadnych niedźwiedzi.

— Są w moich snach.

Nora przypomniała sobie pędzącego do niej we mgle niedźwiedzia polarnego. Przypomniała sobie ten strach. I nagle pragnienie życia, które w tamtym momencie poczuła.

— Tym razem tak nie będzie. Obiecuję.

— Mamusiu, dlaczego tak mówisz?

— Ale jak?

— No tak.

— Szeptem?

— Nie.

Nora nie miała pojęcia, o co chodzi dziewczynce. I jak wielka jest przepaść między nią, Norą, a matką małej, jej odpowiedniczką. Czy macierzyństwo wpłynęło na jej sposób wyrażania się?

— Jakbyś się bała — wyjaśniła dziewczynka.

— Nie boję się.

— Chcę, żeby ktoś potrzymał mnie za rękę.

— Co takiego?

— Chcę, żeby ktoś trzymał mnie za rękę.

— Dobrze.

— Głupia mamusia!

— Tak. Jestem niemądra.

— A ja naprawdę się strasznie boję.

Powiedziała to cicho, rzeczowo. I wtedy Nora na nią spojrzała. Uważnie. Dziewczynka wydawała jej się kompletnie obca, a równocześnie absolutnie znajoma. Norę ogarnęła fala emocji, emocji potężnych i niepokojących.

Mała wpatrywała się w nią w taki sposób, w jaki nikt nigdy wcześniej na nią nie patrzył. Własne emocje Norę przeraziły. Dziewczynka miała jej usta. I to nieco zagubione spojrzenie, które czasem przypisywali jej ludzie. Była śliczna i była jej (w pewnym sensie jej) dzieckiem. Nora poczuła falę irracjonalnej miłości, przyływ uczucia. Wiedziała, że musi przed nim uciec,

nawet jeśli biblioteka jej natychmiast do siebie nie ściągnie (co się rzeczywiście nie stało).

— Mamusiu, potrzywasz mnie za rękę...?

— Ja...

Dziewczynka wcisnęła rączkę w dłoń Nory. Rączka była mała i ciepła, a gdy zaległa w jej dłoni, tak naturalnie jak perła w muszli, Norę ogarnął smutek. Dziewczynka pociągnęła ją w kierunku sąsiedniego pomieszczenia — własnej sypialni. Nora zamknęła czy raczej prawie zatrzasnęła za nimi drzwi i próbowała sprawdzić godzinę na zegarku, ale w tym życiu nosiła klasycznie wyglądający zegarek analogowy bez podświetlenia, więc jej wzrok przyzwyczajął się do mroku dobre kilka sekund. Później sprawdziła też czas po raz drugi, na ekranie swojego telefonu. Była godzina 2:32. Nora nie wiedziała, kiedy ta wersja jej ciała położyła się do łóżka, ale raczej nie spała zbyt długo. Na pewno nie czuła się wyspana.

— Mamusiu, a co się dzieje, kiedy się umrze?

W pokoju małej nie było ciemno. Pod drzwiami widać było strużkę światła wsączającego się z korytarza, a przez zasłonki z wzorkiem w pieśni prześwitywał nikły poblask latarni ulicznej. Nora zobaczyła przysadzisty prostokąt, który okazał się łóżkiem. Na podłodze leżała przytulanka w kształcie pluszowego słonia. Nora widziała też inne zabawki. To był zagracony pokoik radosnego dziecka.

Dziewczynka zwróciła na nią błyszczące oczy.

— Nie wiem — odrzekła jej. — Sądzę, że nikt tego nie wie.

Dziewczynka zmarszczyła brwi. Taka odpowiedź jej nie zadowalała. Ani trochę jej nie zadowalała.

— Posłuchaj — podjęła Nora. — Być może tuż przed śmiercią dostaniesz szansę na ponowne życie. Będziesz mogła zrobić coś, czego wcześniej nie zdążyłaś. Będziesz mogła wybrać sobie inne życie.

— Brzmi fajnie.

— Ale jeszcze bardzo długo nie musisz się o to martwić. Będziesz miała

życie pełne ekscytujących przygód. Czeka cię wiele szczęśliwych zdarzeń.

— Jak na kempingu!

Kiedy Nora uśmiechała się do tej słodkiej dziewczynki, poczuła ciepło na sercu.

— Tak. Jak na kempingu!

— Uwielbiam, gdy jedziemy na kemping!

Nora wciąż miała na ustach uśmiech, a równocześnie oczy jej się zaszklily. To życie wydawało się naprawdę dobre. Własna rodzina. Córeczka, z którą można spędzić wakacje na kempingu.

— Wiesz co — zasugerowała, zdając sobie sprawę, że w najbliższym czasie prawdopodobnie nie uda jej się wymknąć z sypialni dziecka. — Kiedy boisz się o sprawy, których nie znasz, takie na przykład jak przyszłość, dobrze jest przypomnieć sobie te, które na pewno znasz.

— Nie rozumiem — bąknęła dziewczynka, moszcząc się pod kołderką, podczas gdy Nora usiadła na podłodze obok niej.

— Widzisz, to jest jak gra.

— Lubię gry!

— Zagramy w grę?

— Tak. — Uśmiechnęła się jej córka. — Zagrajmy.

Gra

— Spytam cię o coś, co już wiemy, a ty mi odpowiesz. Więc jeśli zapytam: „Jak się nazywa twoja mamusia?”, ty odpowiesz: „Nora”. Rozumiesz?

— Chyba tak.

— Więc jak masz na imię?

— Molly.

— Okej, a jak ma na imię tatuś?

— Tatuś!

— Ale jak naprawdę ma na imię?

— Ash!

„No cóż. To był naprawdę udany wypad na kawę”.

— A gdzie mieszkamy?

— W Cambridge!

W Cambridge! To miało sens. Nora zawsze lubiła Cambridge, a odległość między Bedford a Cambridge wynosiła zaledwie pięćdziesiąt kilometrów. Ashowi też to się zapewne podobało. A jeśli pracował w Londynie, mógł stąd bez problemu dojeżdżać. Nora w swoim pierwotnym życiu po ukończeniu studiów w Bristolu postanowiła zostać magistrem filozofii i zaproponowano jej miejsce w Caius College.

— W jakiej części Cambridge? Pamiętasz? Jak nazywa się nasza ulica?

— Mieszkamy przy... Bol... Bolton Road.

— Dobra robota! Czy masz braci albo siostry?

— Nie!

— A czy mama i tata się lubią?

Molly trochę rozśmieszyło to pytanie.

— Tak!

— Czy kiedykolwiek krzyczymy?

Tym razem mała zaśmiała się nieco zawadiacko.

— Czasami! Zwłaszcza mamusia!

— Przepraszam!

— Krzyczysz tylko wtedy, gdy jesteś naprawdę, naprawdę zmęczona i potem przepraszasz, więc nic nie szkodzi. Jeśli przeprosisz, wszystko jest w porządku. Tak mówisz.

— Czy mama wychodzi do pracy?

— Tak. Czasami.

— Czy mama nadal pracuje w sklepie, w którym poznała tatusia?

— Nie.

— To co mamusia robi w pracy?

— Uczy ludzi!

— A jak ona... jak ja uczę ludzi? Czego ich uczę?

— Filo... filo-lo-fi...

— Filozofii?

— Tak powiedziałam!

— A gdzie mama tego uczy? Na uniwersytecie?

— Tak!

— Na którym uniwersytecie? — Potem przypomniała sobie, gdzie mieszkali. — Na Uniwersytecie Cambridge?

— Właśnie tak!

Próbowała wypełnić luki. Być może w tym życiu po uzyskaniu tytułu magistra zdecydowała się zostać na uniwersytecie i nauczać.

Tak czy inaczej, jeśli zamierzała pozostać na trochę w tym życiu, będzie musiała się nieco doksztąpić z filozofii. Wtedy jednak Molly powiedziała:

— Ale teraz przestajesz.

— Przestaję uczyć? Dlaczego?

— Żeby pisać książki!

— Książki dla ciebie?

— Nie, głupia mamusiu. Chcesz napisać książkę dla dorosłych.

— Piszę książkę?

— Tak! Przecież właśnie powiedziałam.

— Wiem. Po prostu chcę, żebyś powiedziała niektóre rzeczy po dwa razy. Ponieważ to jest podwójnie miłe. I wtedy niedźwiedzie stają się jeszcze mniej przerażające. W porządku?

— Tak.

— Czy tatuś pracuje?

— Tak.

— Czy wiesz, na czym polega praca tatusia?

— Tak. Tatuś tnie ludzi!

Na krótką chwilę Nora zapomniała, że Ash jest chirurgiem, i zastanowiła się, czy nie trafiła do domu seryjnego zabójcy.

— Tnie ludzi?

— Tak, przecina ludziom ciała i ich poprawia!

— Ach tak. Oczywiście, że tak.

— Ratuje ludzi!

— Tak, ratuje.

— Z wyjątkiem, kiedy jest smutny, a osoba zmarła.

— Tak, to jest smutne. A powiedz, czy tatuś nadal pracuje też w Bedford?

A może teraz pracuje w Cambridge?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

— W Cambridge?

— Czy tatuś gra muzykę?

— Tak. Tak, gra! Ale bardzo, bardzo, bardzo źle! — Gdy to powiedziała, zachichotała.

Nora również się roześmiała. Chichot Molly był zaraźliwy.

— A jeszcze... Masz jakieś ciotki i wujków?

— Tak, mam ciocię Jayę.

— Kim jest ciocia Jaya?

— Siostrą taty.

— Kogoś jeszcze?

— Tak, jest wujek Joe i wujek Ewan.

Nora poczuła ulgę, że tutaj jej brat żyje. I że jest z tym samym mężczyzną, z którym był w jej życiu olimpijskim. Wyraźnie odwiedzali się nawzajem na tyle często, że Molly poznała imię Ewana.

— Kiedy ostatnim razem widzieliśmy wujka Joego?

— W Boże Narodzenie!

— Lubisz wujka Joego?

— Tak! Jest zabawny! I dał mi pandę!

— Pandę?

— Moją najlepszą przytulankę!

— Pandy też są niedźwiedziami.

— Ale miłymi niedźwiedziami.

Molly ziewnęła. Robiła się senna.

— Czy mama i wujek Joe się lubią?

— Tak! Stale rozmawiacie przez telefon!

To było interesujące. Do tej pory Nora zakładała, że nadal pozostaje w dobrych stosunkach z bratem tylko w takim życiu, w jakim nigdy nie grała w The Labyrinths (w odróżnieniu od postanowienia, by dalej pływać, randka z Ashem nastąpiła później w czasie niż gra w zespole). Lecz ta sytuacja podważała tę teorię. Nora nie mogła się nie zastanawiać, czy ta śliczna Molly nie jest aby brakującym ogniwem. Może mała dziewczynka, którą miała teraz przed sobą, złagodziła rozdzźwięk między nią a bratem.

— Czy masz dziadków?

— Tylko babcię Sal.

Nora chciała zadać więcej pytań dotyczących śmierci swoich rodziców, ale to najprawdopodobniej nie była odpowiednia ku temu pora.

— Jesteś szczęśliwa? To znaczy... nie myślisz już o niedźwiedziach?

— Chyba tak.

— Czy mama i tata są szczęśliwi?

— Tak — odpowiedziała powoli. — Czasami. Kiedy nie jesteś zmęczona!

— A czy my się dużo bawimy?

Dziewczynka przetarła oczy.

— Tak.

— A mamy jakieś zwierzęta?

— Tak. Platona.

— Kim jest Platon?

— Naszym psem.

— A jakiego rodzaju psem jest Platon?

Ale nie otrzymała odpowiedzi, ponieważ Molly już spała. A Nora leżała na dywanie i zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, po twarzy lizał ją pies.

Labrador o uśmiechniętych oczach i ruchliwym ogonie wyglądał na rozbawionego lub podekscytowanego jej widokiem.

— Platon? — zapytała sennie.

„To ja” — wydawał się potwierdzać pies, merdając ogonem.

Był ranek. Teraz przez zasłony wlewało się światło dnia. Na podłodze leżały porozrzucone zabawki-przytulanki — w tym panda i słoń, którego odkryła już wcześniej. Spojrzała na łóżko i zobaczyła, że jest puste. Molly nie było w pokoju. A po schodach ktoś wchodził — ktoś cięższy niż Molly.

Nora usiadła i pomyślała, że na pewno wygląda strasznie po przespaniu nocy na dywanie w workowatej koszulce z logo zespołu The Cure (którą rozpoznała) i kraciastych spodniach od piżamy (których nie rozpoznała). Czuła, że twarz ma pomarszczoną w miejscu, na którym leżała, a jej włosy są prawdopodobnie brudne i potargane. Próbowała przybrać tak reprezentacyjny wygląd, jak to było możliwe w ciągu dwóch sekund, ponieważ miała się właśnie spotkać z mężczyzną, z którym niby sypiała każdej nocy, a jednocześnie z którym tak naprawdę nie spała nigdy. Ash, można by rzec, był takim męzowskim odpowiednikiem kota Schrödingera.

A potem nagle się przed nią zjawił.

Idealne życie

W tej nowej roli ojca był równie szczupły, przystojny i chłopięcy jak wcześniej, choć może wyglądał na bardziej zmęczonego. Jeśli już, prezentował się zdrowiej niż wtedy, u progu jej mieszkania, lecz tak jak wtedy, miał na sobie strój do biegania, chociaż tym razem jego ubiór wyglądał na droższy i nieco bardziej elegancki, a na ramieniu Ash nosił przypięty jakiś monitor aktywności.

Mężczyzna uśmiechał się i trzymał w dłoniach dwie filiżanki kawy, z których jedna była przeznaczona dla niej. Nora zastanawiała się, ile kawy wypili razem od czasu tamtej pierwszej.

— Ojej, dziękuję ci.

— Och nie, Nor, spałaś tutaj przez całą noc? — zapytał.

„Nor”.

— Przez większość. Chciałam wrócić do łóżka, ale Molly była roztrzęsiona. Musiałam ją uspokoić, a potem najwyraźniej nie miałam już siły stąd wyjść.

— Wybacz. Naprawdę mi przykro. Nie usłyszałem jej. — Wydawał się autentycznie zmartwiony. — To była prawdopodobnie moja wina. Wczoraj przed wyjściem do pracy pokazałem jej niedźwiedzie na YouTube.

— Nie przejmuj się.

— W każdym razie wyprowadziłem już Platona. W szpitalu muszę być dopiero w południe. Wrócę późno. Wciąż chcesz dzisiaj pójść do biblioteki?

— Och... Wiesz, co? Mogę sobie odpuścić.

— Okej, no cóż, dałem już Mol śniadanie i podrzucę ją do przedszkola.

— Mogę ją odebrać — zaoferowała się. — Jeśli masz trudny dzień.

— Nie, nie, nic niezwykłego. Z tego, co wiem, czeka mnie jeden pęcherzyk żółciowy i jedna trzustka. Niezbyt skomplikowane. Zamierzam pobiegać.

— Racja. Tak. Oczywiście. Na niedzielny półmaraton.

— Że co?

— Nic, nic. Nieważne — powiedziała Nora. — Pewnie trochę bredzę po tym spaniu na podłodze.

— W porządku. Słuchaj, zadzwoniła moja siostra. Chcą, żeby zilustrowała kalendarz dla Kew Gardens. To dużo roślin. Jest naprawdę zadowolona.

Uśmiechnął się. Chyba naprawdę cieszył się szczęściem swojej siostry, której Nora nigdy nie spotkała. Chciała mu podziękować za to, że tak dobrze zadbał o ciało jej martwego kota, ale oczywiście nie mogła tego zrobić, więc po prostu powiedziała:

— Dziękuję ci.

— Za co?

— No wiesz, po prostu za wszystko.

— Och. Dobrze. W porządku.

— Dziękuję.

Pokiwał głową.

— To miło. Tak czy owak, czas leci.

Dopił kawę i zniknął. Nora przeszukała pokój, wchłaniając każdą nową informację. Każdą przytulankę, książeczkę i gniazdko w ścianie niczym fragmenty układanki składającej się na jej życie.

Godzinę później Molly jechała już do przedszkola, a Nora zajęła się tym co zwykle. Sprawdziła swoje e-maile i media społecznościowe. W mediach społecznościowych nie była w tym życiu szczególnie aktywna, co zawsze uznawała za dobry znak, dostawała jednak bardzo dużo e-maili. Dowiedziała się z nich, że nie tylko w tej chwili po prostu „przestaje” uczyć, lecz że już oficjalnie przestała. Przebywała na urlopie naukowym, ponieważ zamierzała napisać książkę o Henrym Davidzie Thoreau i jego znaczeniu dla współczesnego ruchu ekologicznego. Później w tym roku planowała odwiedzić Walden Pond w Concord, w stanie Massachusetts, finansując wyprawę z grantu badawczego.

Wszystko to wyglądało całkiem dobrze.

Niemal denerwująco dobrze!

Miłe życie z miłą córeczką i miłym mężczyzną w ładnym domu w ładnym mieście. Wręcz nadmiar dobra. Życie, w którym mogła siedzieć przez cały dzień, czytając, rozmyślając i pisząc o swoim ulubionym filozofie.

— Jest świetnie — mruknęła do psa. — No nie?

Platon obojętnie ziewnął.

Potem zaczęła zwiedzać dom, a labrador obserwował ją z kanapy wyglądającej na wygodną. Salon był ogromny. Stopy Nory zapadły się w miękki dywan.

Białe deski podłogowe, telewizor, żelazny piecyk na drewno, pianino elektryczne, dwa nowe laptopy podłączone do prądu, mahoniowa skrzynia, na której rozłożono ozdobne szachy, starannie ustawione książki na półkach. Niezła gitara stojąca w kącie. Nora natychmiast rozpoznała model jako elektroakustyczny „Midnight Satin” Fender Malibu. Sprzedała jedną taką w trakcie swojego ostatniego tygodnia pracy w Teorii Strun.

Wszędzie w salonie rozmieszczono zdjęcia w ramach. Przedstawiwały dzieci, których nie знаła, wraz z kobietą, która wyglądała jak Ash, więc przypuszczalnie była jego siostrą. Nora znalazła też stare zdjęcie swoich zmarłych rodziców z dnia ich ślubu oraz jedno ze ślubu jej i Asha. W tle dostrzegła swojego brata. Było też zdjęcie Platona. I niemowlęcia, którym prawdopodobnie była Molly.

Nora przejrzała książki. Podręczniki do jogi, ale nie te używane, które posiadała w swoim pierwotnym życiu. Dzieła z zakresu medycyny. Rozpoznała dwie książki, które miała od czasów uniwersyteckich — egzemplarz *Dziejów filozofii Zachodu* Bertranda Russella oraz *Walden, czyli życie w lesie* Henry’ego Davida Thoreau. Były tu również znajome *Zasady geologii*. Zauważyła sporo publikacji poświęconych Thoreau. *Państwo Platona* i *Korzenie totalitaryzmu* Hannah Arendt, które również miała w swoim pierwotnym życiu, choć nie w tych wydaniach. Intelktualnie wyglądające tomy autorstwa Julii Kristevej, Judith Butler i Chimamandy

Ngozi Adichie. Było wiele prac na temat filozofii Wschodu, których Nora nigdy przedtem nie czytała. Zastanawiała się, czy jeśli zostanie w obecnym życiu — a nie miała nic przeciwko — istnieje sposób na przeczytanie ich wszystkich, zanim będzie musiała znów nauczać w Cambridge.

Była też beletrystyka, trochę powieści Dickensa, *Szklany klosz* Sylvii Plath, książki popularyzujące naukę, kilka dzieł na temat muzyki, kilka podręczników dla rodziców, *Natura* autorstwa Ralph Waldo Emersona i *Silent Spring* Rachel Carson, kilka tomów poświęconych zmianom klimatu i duży album w twardej oprawie o nazwie *Arctic Dreams: Imagination and Desire in a Northern Landscape*.

Wcześniej, rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, była tak konsekwentną intelektualistką. Widać została nią, kiedy postanowiła napisać i obronić pracę magisterską na uniwersytecie w Cambridge, a ostatnio wzięła nawet urlop naukowy, żeby napisać książkę o swoim ulubionym filozofie.

— Zrobiłam na tobie wrażenie — oznajmiła psu. — Musisz to przyznać.

Znalazła też stertę śpiewników muzycznych i aż się uśmiechnęła, gdy zobaczyła na wierzchu nuty do piosenek Simona & Garfunkela, które sprzedała Ashowi w dniu, w którym zaprosił ją na kawę. Na niskim stoliczku leżała ładna, błyszcząca książka w twardej oprawie ze zdjęciami hiszpańskiej scenerii, a na kanapie tom o nazwie *Encyklopedia roślin i kwiatów*.

W stojaku na czasopisma dostrzegła nowy numer „National Geographic”, ten z wizerunkiem czarnej dziury na okładce.

Na ścianie wisiał obraz. A dokładniej reprodukcja obrazu Miró z barcelońskiego muzeum.

— Powiedz, Platonie, czy ja i Ash byliśmy razem w Barcelonie?

Wyobraziła sobie ich oboje, jak — trzymając się za ręce — wędrują ulicami Dzielnicy Gotyckiej, wchodzą do jakiegoś baru na *tapas* i rioję.

Z kolei na ścianie naprzeciwko regałów z książkami znajdowało się lustro. Szerokie, w ozdobnej białej ramie. Nory już nie dziwiły różnice we własnym wyglądzie z kolejnych wcieleń. Widziała już siebie w każdym gabarytach

i w każdej możliwej fryzurze. W tym życiu wyglądała sympatycznie. Chciałaby się z tą osobą zaprzyjaźnić. Nie na olimpijkę teraz patrzyła ani nie na gwiazdę rocka czy akrobatkę z Cirque du Soleil, ale na kobietę, która najprawdopodobniej wiodła dobre życie. Na osobę dorosłą, która całkiem nieźle wie, kim jest i co robi w życiu. Krótkie włosy, ale nie dramatycznie krótkie, skóra zdrowsza niż w życiu głównym — może dzięki diecie, unikaniu czerwonego wina, ćwiczeniom lub produktom do demakijażu i kremom nawilżającym. Znalazła je w łazience i z pewnością były droższe od wszystkich, które kiedykolwiek stosowała w swoim pierwotnym życiu.

— Cóż — powiedziała do psa. — To jest miłe życie, tak?

A Platon wydawał się z nią zgadzać.

Duchowe poszukiwanie głębszego połączenia z wszechświatem

Nora znalazła w kuchni szufladę z lekarstwami. Przejrzała plastry, opakowania ibuprofenu, calpolu i multiwitamin oraz ściągacze kolanowe dla biegaczy, ale nie znalazła żadnych środków przeciwdepresyjnych.

Może to było to. Może to było w końcu życie, w którym zechce pozostać. Życie, które wybierze. Życie, które nie wróci na półkę.

„Mogłabym tu być szczęśliwa”.

Nieco później, pod prysznicem, obejrzała dokładnie własne ciało, szukając nowych znaków. Nie nosiła tatuaży, ale miała bliznę. Nie po ranie, którą zadałaby sobie sama, lecz ślad po przecięciu, które wyglądało na chirurgiczne — długa, delikatna pozioma kreska pod pępkiem. Wcześniej widziała już u siebie bliznę po cesarskim cięciu i gdy pogładziła ją teraz kciukiem, pomyślała, że nawet jeśli pozostanie w tym życiu, będzie się w jakiś sposób czuła na nie spóźniona.

Ash wrócił do domu po odwiezieniu Molly.

Nora pośpiesznie się ubrała, żeby nie zobaczył jej nagiej.

Zjedli razem śniadanie. To znaczy usiedli we dwoje przy stole kuchennym, przeglądali w komórkach aktualności, jedli tosty na zakwasie i wyglądali jak żywa reklama małżeństwa.

A potem Ash pojechał do szpitala, a ona została w domu, zamierzając przez cały dzień badać dzieła Thoreau. Przeczytała to, co napisała do tej pory, czyli tekst, który miał już imponującą liczbę czterdziestu dwóch tysięcy siedmiuset dwudziestu dziewięciu słów, następnie usiadła i zjadła kolejne tosty, a potem odebrała Molly z przedszkola.

Dziewczynka chciała pójść do parku i „jak zwykle” nakarmić kaczki, więc

tam się skierowały, chociaż Nora ukrywała fakt, że używa do nawigacji map Google'a.

Pchała huśtawkę z małą, aż rozbolały ją ramiona, zjechała z nią na zjeżdżalni i czołgała się za nią przez duże metalowe tunele. Później rzuciły kaczkom płatki owsiane prosto z pudełka.

Po powrocie usiadła wraz z Molly przed telewizorem, a potem dała jej kolację i przeczytała bajkę na dobranoc, wszystko to przed powrotem Asha.

Gdy Ash wrócił do domu, w drzwiach stanął również jakiś mężczyzna i próbował wejść, więc zamknęła mu drzwi przed nosem.

— Noro?

— Tak.

— Dlaczego tak dziwnie potraktowałaś Adama?

— Co?

— Chyba się trochę zdenerwowałam.

— Tak?

— Potraktowałaś go jak obcego.

— Oj. — Uśmiechnęła się. — Przepraszam.

— Jest naszym sąsiadem od trzech lat. Pojechaliliśmy z nim i z Hanną na kemping do Lake District.

— Tak, wiem. Oczywiście.

— Można było odnieść wrażenie, że nie pozwalasz mu wejść. Jakby był intruzem.

— Naprawdę?

— Zamknęłam mu drzwi przed nosem.

— Zamknęłam drzwi. Ale nie przed jego nosem. To znaczy, tak, naturalnie, jego nos rzeczywiście tam był. W sensie technicznym. Ale po prostu nie chciałam, aby Adam myślał, że może sobie tak do nas wparowywać.

— Przecież odnosił nam węża.

— Och, racja. Cóż, nie potrzebujemy węża. Szkodzą planecie.

— Wszystko z tobą w porządku?

— Dlaczego pytasz?

— Po prostu się o ciebie martwię...

Jednak ogólnie rzecz biorąc, sprawy toczyły się całkiem nieźle i chociaż każdego wieczoru Nora się zastanawiała, czy nie obudzi się przypadkiem ponownie w Bibliotece, wciąż tkwiła w tym życiu. Pewnego dnia po zajęciach jogi usiadła na ławce nad rzeką Cam i znów przeczytała kilka tekstów Thoreau. Nazajutrz w telewizji śniadaniowej obejrzała wywiad, którego Ryan Bailey udzielił na planie filmu *Saloon ostatniej szansy 2* i w którym powiedział, że zamiast się przejmować koniecznością „ustatkowania się w sensie romantycznym” jest raczej w trakcie „duchowego poszukiwania głębszego połączenia z wszechświatem”.

Otrzymała od Izzy zdjęcia wielorybów i odpisała jej na WhatsAppie, że słyszała o niedawnym strasznym wypadku samochodowym w Australii i kazała przyjaciółce obiecać, że zawsze będzie jeździła ostrożnie.

Z ulgą odkryła, że nie ma ochoty sprawdzać, co ze swoim życiem zrobił Dan. Była natomiast bardzo wdzięczna losowi za to, że jest z Ashem. A ściślej: wyobrażała sobie, że czuje się wdzięczna, ponieważ Ash był cudownym człowiekiem i przeżyli razem tyle wspólnych chwil wypełnionych radością, śmiechem i miłością.

Jej mąż brał długie dyżury, ale kiedy był w domu, poświęcał im dużo czasu, nawet w tych dniach, w których miał za sobą sporo „krwi, stresu i pęcherzyków żółciowych”. Był też trochę dziwakiem. Podczas spacerów z psem zawsze witał na ulicy starszych ludzi uprzejmym „Dzień dobry”, choć ci czasem go ignorowali. Śpiewał piosenki, które leciały w radiu samochodowym. Najwyraźniej nie potrzebował zbyt dużo snu. I zawsze chętnie czuwał w nocy przy Molly, nawet gdy następnego dnia operował.

Uwielbiał zarzucać Molly obrzydliwymi faktami — że żołądek co cztery dni wytwarza nowy nabłonek, że woskowina uszna to rodzaj potu, że na rzęsach dziewczynki żyją stworzenia zwane roztocami — i uwielbiał być niestosowny. Entuzjastycznym tonem powiedział (nad stawem z kaczkami,

gdy Molly była blisko i słyszała), że samce kaczek mają penisy w kształcie korkociągu.

W te wieczory, gdy wracał do domu na tyle wcześnie, że chciało mu się gotować, przyrządzał wielką *dhaal* z soczewicy lub całkiem dobre *penne arrabiata*, miał też zwyczaj wrzucać całą główkę czosnku do każdego dania, które gotował. Ale Molly miała absolutną rację: jego artystyczne talenty nie obejmowały zdolności muzycznych. I rzeczywiście, kiedy przy akompaniamencie gitary śpiewał *The Sound of Silence*, Norę ogarniały wyrzuty sumienia, ponieważ pragnęła, żeby potraktował tytuł dosłownie i zamilkł.

Był, innymi słowy, trochę gamoniem, gamoniem, który na co dzień ratował ludziom życie, lecz wciąż gamoniem. I dobrze. Nora lubiła takich ludzi, zresztą podobnie się czuła, co pomogło się jej pogodzić z tą podstawową „dziwnością”, czyli faktem, że mieszka z mężem, którego dopiero poznaje.

„To jest dobre życie” — myślała.

Rodzicielstwo było męczące, tak, ale małą Molly łatwo było kochać, przynajmniej w ciągu dnia. Właściwie, Nora lubiła, gdy dziewczynka wracała z przedszkola do domu, ponieważ przebywanie z nią stanowiło wyzwanie w egzystencji, która poza tym była raczej bezproblemowa. Nie istniał tu stres związany ani ze sprawami damsko-męskimi, ani z pracą, ani z brakiem pieniędzy.

Mogła być wdzięczna losowi za wiele rzeczy.

Co nieuchronne, zdarzały jej się naturalnie trudniejsze momenty. Wypełniało ją wtedy znajome uczucie — jakby grała w sztuce, nie znając swojej kwestii.

— Czy coś jest nie tak? — zapytała pewnej nocy Asha.

— Po prostu... — Spojrzał na nią ze swoim życzliwym uśmiechem, lecz intensywnym, badawczym wzrokiem. — Nie wiem. Zapomniałaś, że zbliża się nasza rocznica. Uważasz, że nie widziałaś filmów, które widziałaś.

I odwrotnie. Zapomniałaś, że masz rower. Nie pamiętasz, gdzie są talerze. Zakładasz moje kapcie. Kładziesz się po mojej stronie łóżka.

— Jezu, Ash — mruknęła. — Czuję się, jakby mnie przesłuchiwały trzy niedźwiedzie.

— Po prostu się martwię...

— Nic mi nie jest. Może nieco za bardzo zagubiłam się w świecie badań. W lesie. W lesie Thoreau.

*

W takich chwilach obawiała się, że znów wróci do Biblioteki o Północy. Czasami przypominała sobie słowa, które pani Elm wypowiedziała podczas jej pierwszej wizyty. „Jeśli naprawdę wystarczająco intensywnie zapragniesz któregoś życia, nie musisz się martwić. /.../ W chwili, gdy zdecydujesz, że chcesz tego życia, że naprawdę go chcesz, wtedy wszystko, co istnieje teraz w twojej głowie, łącznie z Biblioteką o Północy, w końcu stanie się snem. Będzie wspomnieniem tak niejasnym i nieuchwytnym, aż w końcu niemal zniknie”.

I tu nasuwało się pytanie: skoro to było idealne życie, dlaczego nie zapomniała jeszcze o Bibliotece?

Jak długo trwa proces zapominania?

Od czasu do czasu Nora czuła symptomy łagodnego ataku chandry, ot tak, bez rzeczywistego powodu, na szczęście stanowiły jedynie lekką uciążliwość w porównaniu ze straszliwym przygnębieniem, które odczuwała w głównym życiu i, tak naprawdę, w wielu innych. To było jak porównywanie lekkiego pociągania nosem do zapalenia płuc. Kiedy myślała o tym, jak źle jej było w dniu, w którym straciła pracę w Teorii Strun, o rozpacz, samotności i desperackim pragnieniu, by przestać istnieć, musiała przyznać, że obecne emocje ani trochę tamtych nie przypominają.

Każdego wieczoru kładła się spać z nadzieją, że znów obudzi się w tym samym życiu, ponieważ było ono — biorąc pod uwagę wszystkie aspekty —

najlepszym, jakie znała. Zaczęła od zwyczajnego założenia, że zostanie w tym życiu, ale potem wraz z każdym dniem coraz bardziej bała się zasnąć, na wypadek, gdyby miała obudzić się gdzie indziej.

Niemniej jednak noc po nocy zasypiała i każdego kolejnego ranka budziła się w tym samym łóżku. Albo — raz na jakiś czas — na dywanie, lecz ten ból dzieliła z Ashem, a poza tym dochodziło do takiej sytuacji rzadko, ponieważ Molly sypiała coraz spokojniej.

Zdarzały się oczywiście dziwne sytuacje. Nora nigdy nie znała drogi do żadnego miejsca ani nie wiedziała, gdzie w domu znajdują się różne przedmioty, toteż Ash czasami głośno się zastanawiał, czy nie powinna pójść do lekarza. Początkowo unikała seksu, ale pewnej nocy doszło między nimi do zbliżenia i później Nora poczuła się winna z powodu kłamstwa, w którym żyła.

Po stosunku przez chwilę leżeli milcząco w ciemnościach, ale wiedziała, że musi poruszyć ten temat. Zbadać grunt.

— Ash — zagaiła.

— Tak?

— Wierzysz w teorię wszechświatów równoległych?

Zobaczyła, jak jego twarz wygładza się w uśmiechu. Wyraźnie trafiła z tym tematem w sedno.

— Tak, tak mi się wydaje.

— Ja też. To znaczy... teoria jest zgodna z nauką, prawda? Nie jest tak, że jakiś szalony fizyk pomyślał sobie: „Hej, równoległe wszechświaty są ekstra. Stwórzmy sobie wokół nich teorię”.

— Cóż — zgodził się. — Nauka nie ufa temu, co brzmi zbyt fajnie. Co za bardzo przypomina science fiction. Naukowcy są z reguły sceptykami.

— No właśnie, ale niektórzy fizycy wierzą we wszechświaty równoległe.

— W takim kierunku po prostu zmierza nauka, prawda? Wszystko w mechanice kwantowej i teorii strun wskazuje na istnienie wielu światów. Wielu, wielu wszechświatów.

— No tak, a co byś powiedział, gdybym ci wyznała, że odwiedziłam kilka innych moich żywotów i sądzę, że wybiorę ten?

— Uznałbym cię za wariatkę. Ale nadal bym cię lubił.

— Ale tak było. Odwiedziłam wiele światów.

Uśmiechnął się.

— Świetnie. Jest taki, w którym znów mnie całujesz?

— Jest taki, w którym pochowałeś mojego martwego kota.

Zaśmiał się.

— Ekstra, Nor. Najbardziej w tobie lubię to, że dzięki tobie zawsze czuję się normalnie.

W tym rzecz.

Nora uświadomiła sobie, że można być w życiu tak szczerym, jak to tylko możliwe, ale ludzie dostrzegają prawdę tylko wtedy, gdy jest wystarczająco bliska ich postrzeganiu rzeczywistości. Jak napisał Thoreau: „Liczy się nie to, na co patrzysz, lecz to, co widzisz”. A Ash widział tylko tę Norę, w której się kiedyś zakochał i którą poślubił, dzięki czemu ona niejako się tamtą drugą stawała.

Hammersmith

W trakcie ferii, podczas gdy Molly nie chodziła do przedszkola, a także we wtorki, kiedy Ash nie miał dyżuru w szpitalu, wsiadali w pociąg do Londynu i jechali spotkać się z bratem Nory i Ewanem w ich mieszkaniu w Hammersmith.

Joe wyglądał dobrze, a jego mąż tak samo jak wtedy, kiedy Nora widziała go na zdjęciu w swoim życiu olimpijki na ekranie telefonu brata. Mężczyźni poznali się na zajęciach w lokalnej siłowni. Joe w tym życiu pracował jako inżynier dźwięku, podczas gdy Ewan — a konkretnie doktor Ewan Langford — był radiologiem w Royal Marsden Hospital, co oznaczało, że mieli z Ashem wiele wspólnych tematów medycznych i mogli razem ponarzekać na pracę w szpitalu.

Joe i Ewan chętnie zajmowali się Molly, wypytując ją szczegółowo, co porabia jej panda. A Joe przyrządził dla wszystkich wspaniały czosnkowy makaron z brokułami.

— To podobno potrawa z Apulii — powiadomił siostrę. — Posmakujemy w niej trochę naszego dziedzictwa.

Nora pomyślała o ich włoskim dziadku i zastanawiała się, jak się czuł wtedy, kiedy do niego dotarło, że siedziba London Brick Company w rzeczywistości znajduje się w Bedford. Czy był rozczarowany? A może po prostu postanowił w pełni ten fakt wykorzystać? Być może w swoim innym życiu pojechał właśnie do Londynu i pierwszego dnia potracił go piętrowy autobus na Piccadilly Circus.

Joe i Ewan mieli w kuchni pełny stojak na wino, a Nora zauważyła, że jedna z butelek zawierała kalifornijski syrah z winnicy Buena Vista. Poczowała dreszczyk, gdy zobaczyła na dole etykiety dwa wydrukowane podpisy Alicii i Eduarda Martínezów. Uśmiechnęła się na myśl, że Eduardo jest w tym życiu

równie szczęśliwy. Przez chwilę zastanawiała się, kim jest Alicia i jaka jest. Przypomniała sobie tamtejszy piękny zachód słońca.

— Wszystko w porządku? — zapytał ją Ash, gdy z roztargnieniem wpatrywała się w nalepkę.

— Tak, na pewno. Sądzę, że to wygląda na smaczne.

— Moje ulubione — przyznał Ewan. — Naprawdę piekielnie dobre wino. Możemy je otworzyć?

— No cóż — powiedziała Nora — tylko w przypadku jeśli i tak zamierzałeś się go napić.

— Cóż, ja spasuję — wtrącił się Joe. — Ostatnio trochę przesadziłem. Narzuciłem sobie krótki okres abstynencji.

— Wiesz, jaki jest twój brat — dodał Ewan, wyciskając całusa na policzku Joego. — Wszystko albo nic.

— O tak. Dokładnie tak.

Ewan już trzymał w dłoni korkociąg.

— Miałem okropny dzień w pracy. Więc jeśli nikt się do mnie nie przyłączy, z wielką przyjemnością wypiję połowę tej butelkę, nawet bez kieliszka.

— Ja do ciebie dołączę — zadeklarował się Ash.

— Ja też — stwierdziła Nora, myśląc o tym, że gdy po raz ostatni widziała brata, w pomieszczeniu szumnie nazywanym biznesowym salonikiem dla VIP-ów, Joe przyznał się, że jest alkoholikiem.

Gospodarze podarowali Molly książkę z obrazkami i Nora czytała ją wraz z dziewczynką na kanapie.

Tak mijał im wieczór. Omówili nowiny, porozmawiali o polityce, muzyce i filmach. Joemu i Ewanowi bardzo się podobał *Saloon ostatniej szansy*.

Po pewnym czasie i ku zaskoczeniu wszystkich Nora zboczyła z bezpiecznych rejonów popkultury i spytała brata wprost:

— Czy kiedykolwiek się na mnie wkurzyłeś? Wiesz, za to, że odeszłam z zespołu?

— To było wieki temu, siostra. Było, minęło.

— Ale chciałeś zostać gwiazdą rocka.

— Nadal jest gwiazdą — powiedział ze śmiechem Ewan. — Ale jest cały mój.

— Ciągle czuję, że cię zawiodłam, Joe.

— No cóż, nie. Chociaż... Ja również mam wrażenie, że cię zawiodłem. Bo zachowywałem się jak idiota... Przez jakiś czas byłem dla ciebie okropny.

Te słowa były balsamem na jej duszę, czekała na nie wiele lat.

— Nie przejmuj się tym — wydukała.

— Zanim spotkałem Ewana, nie miałem pojęcia o zdrowiu psychicznym. Sądziłem, że ataki paniki to nic takiego... Wiesz, wyższość ducha nad materią. Wystarczy się ogarnąć i już... Ale kiedy zauważyłem je u Ewana, do diabła, zrozumiałem, jakie to straszne.

— U mnie to nie były zwyczajne ataki paniki. Po prostu było mi źle. Nie wiem... Jeśli ma to jakieś znaczenie, myślę, że jesteś szczęśliwszy w obecnym życiu niż w tym, w którym jesteś... — o mało nie powiedziała „martwy” — ...w zespole.

Jej brat się uśmiechnął i spojrzał na swego partnera. Nora wątpiła, by jej uwierzył, lecz musiała zaakceptować, że — o czym obecnie wiedziała aż nazbyt dobrze — czasami prawdy po prostu nie sposób pojąć.

Trójkołowy rowerek

Mijały tygodnie i Nora zaczęła odczuwać coś niezwykłego.

Przypominały jej się takie aspekty obecnego życia, których nigdy nie przeżyła.

Na przykład, pewnego dnia osoba, której w pierwotnym życiu nigdy nie spotkała — przyjaciółka poznana tutaj rzekomo podczas studiów i pracy na uniwersytecie — zadzwoniła z propozycją wspólnego lunchu. Kiedy dzwoniła, na ekranie telefonu pojawiło się jej imię „Lara”, a wtedy Norze przyszło na myśl nazwisko — „Lara Bryan” — a później całkowicie sobie tę kobietę wyobraziła, skądś też wiedziała, że jej partner nazywa się Mo i mają małego synka Aldousa. A potem spotkała się z Larą i wszystko to się potwierdziło.

Tego rodzaju *déjà vu* zdarzało się jej coraz częściej. Tak, oczywiście, miała też na swoim koncie sporadyczne potknięcia — tak jak „zapomnienie”, że Ash cierpi na astmę (którą starał się utrzymywać pod kontrolą dzięki bieganiu):

— Jak długo ją masz?

— Chorobę zdiagnozowano, gdy miałem siedem lat!

— Och tak, naturalnie. Myślałam, że mówiłeś o egzemie.

— Noro, nic ci nie jest?

— Nie, nic. W porządku. Po prostu wypiałam podczas lunchu z Larą trochę wina i jestem nieco wstawiona.

Ale powoli takich wpadek było coraz mniej. Nora odnosiła wrażenie, że każdy dzień jest kolejnym elementem układanki, dzięki czemu coraz łatwiej potrafiła przewidzieć, jak wyglądają brakujące kawałki.

Podczas gdy we wszystkich dotychczasowych wcieleniach nieustannie szukała wskazówek i czuła się jak aktorka na scenie, w tym życiu coraz

częściej odkrywała, że im bardziej się angażuje, tym więcej faktów do niej dociera.

Uwielbiała też spędzać czas z Molly.

Bezkarne, niczym nieograniczone zabawy w sypialni, subtelna więź łącząca je podczas cwieczornego rytuału, gdy Nora czytała dziewczynce choćby o tygrysku, który przyszedł na herbatę, wspólne przebywanie w ogrodzie.

— Patrz na mnie, mamusiu — zawołała Molly w sobotę rano, pedałużąc na trójkołowym rowerku. — Mamusiu, popatrz! Patrzysz?

— Bardzo dobrze ci idzie, Molly. Bardzo ładnie jedziesz.

— Mamusiu, zobacz! Zobacz!

— Jedź, Molly, jedź!

Ale potem przednie kółko trójkołowca ześlizgnęło się z trawnika i wbiło w kwietnik. Molly spadła i mocno uderzyła głową w mały kamień. Nora podbiegła, podniosła małą i ją obejrzała. Dziewczynka bez wątpienia odniosła obrażenia (Nora widziała zadrapania na czole małej, otartą skórę i krew), ale mimo iż drżał jej podbródek, wyraźnie nie chciała pokazać, że cierpi.

— Nic mi nie jest, mamusiu — zapewniała Norę kruchym jak porcelana głósikiem. — Zupełnie nic. Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. — Wraz z każdym stwierdzeniem dziewczynka wydawała się bliższa łez, a później ponownie się uspokajała. Mimo wszystkich nocnych lęków Molly łatwo się nie poddawała, była twarda, a Nora podziwiała w niej tę cechę. Ta drobna istotka pochodziła z jej ciała, była w jakiś sposób jej częścią, a skoro ona miała w sobie ukryte siły, to może Nora też...

Przytuliła małą.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie... Moja dzielna córeczka. Nic się nie stało. Jak się teraz czujesz, maleńka?

— Dobrze. Tak jak na wakacjach.

— Na wakacjach?

— Tak, mamusiu... — mruknęła, trochę zdenerwowana, że Nora nie pamięta. — Zjeżdżalnia.

— Ojej, no tak, oczywiście. Zjeżdżalnia. Tak, tak. Ja niemądra. Niemądra mamusia.

Natychmiast ogarnęły ją pewne emocje. Coś w rodzaju strachu, tak rzeczywistego jak ten, którego doznała na arktycznym szkierze, gdy stała naprzeciwko zbliżającego się do niej niedźwiedzia polarnego.

Strach przed tym, co czuła.

Przed miłością.

Można jadać w najlepszych restauracjach, doświadczać wszelakich zmysłowych przyjemności, można śpiewać na scenie w São Paulo dla dwudziestu tysięcy ludzi, można napawać się burzą oklasków, podróżować na krańce Ziemi, mieć miliony obserwujących w Internecie, zdobywać medale olimpijskie, lecz bez miłości wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia.

A kiedy teraz myślała o swoim pierwotnym życiu, właśnie brak miłości uznała za podstawowy problem. To on czynił ją tak bezradną i niepewną. W tamtym życiu nie chciał jej znać nawet własny brat. Od śmierci Woltsa nie miała nikogo. Nikogo nie kochała i nikt nie kochał jej. Była pusta, jej życie było puste, kręciła się w kółko i udawała normalną osobę, a była jak rozumny manekin, uosobienie rozpacz. Chodząca kukiełka.

I teraz tu, w ogrodzie w Cambridge, pod pochmurnym, szarym niebem poczuła moc uczucia, przerażającą moc głębokiej troski i intensywnej opiekuńczości. No cóż, jej rodzice w tym życiu też nie żyli, lecz tutaj była Molly, był Ash, był Joe... I miłość, która powstrzymywała Norę przed upadkiem.

Z drugiej strony, niestety w głębi duszy przeczuwała całą sobą, że to wszystko się wkrótce skończy. Że mimo całej doskonałości tego świata było też coś niewłaściwego. Coś złego, czego nie sposób było naprawić, ponieważ wada tkwiła w samej jego stosowności. Inaczej mówiąc, niby wszystko było w porządku, tyle że Nora na to życie nie zasłużyła; nie zdobyła go. Dołączyła w połowie do kręconego od jakiegoś czasu filmu. Wypożyczyła książkę z biblioteki, lecz jej nie kupiła. Obserwowała swoje życie jakby zza okna. Tak,

zaczęła to czuć, była oszustką. Chciała, żeby to było j e j życie. Jej prawdziwe życie. Bo takie niestety nie było, a ona po prostu chciała zapomnieć o tym jednym szczególe. Naprawdę.

— Mamusiu, ty płaczesz?

— Nie, Molly, nie. Nic mi nie jest. Mamusia ma się dobrze.

— Wyglądasz, jakbyś płakała.

— Chodź, pójdziemy się trochę umyć...

*

Później tego samego dnia Molly pracowała nad układanką o zwierzątkach z dżungli, a Nora siedziała na kanapie, głaszcząc Platona, którego ciepła, ciężka głowa spoczywała na jej kolanach. Zapatrzyła się na bogato zdobiony zestaw szachów, który stał na mahoniowej skrzyni.

Pewna myśl nie dawała jej spokoju. Najpierw Nora ją odrzuciła, ta jednak dalej ją prześladowała.

Jak tylko Ash przyszedł do domu, powiedziała mu, że chce się zobaczyć ze starą przyjaciółką z Bedford i wróci za kilka godzin.

Za późno

Od razu gdy weszła do domu opieki Oak Leaf, jeszcze zanim w ogóle dotarła do recepcji, zobaczyła wątlęgo starszego mężczyznę w okularach. Rozpoznała go. Prowadził ożywioną rozmowę z pielęgniarką, a ta wyglądała na poirytowaną. Pan Banerjee narzekał.

— Naprawdę chciałbym wejść do ogrodu — upierał się.

— Przykro mi, ale w ogrodzie odbywają się dziś zajęcia.

— Chcę tylko usiąść na ławce. I poczytać gazetę.

— Może trzeba się było zapisać na zajęcia z prac ogrodniczych...

— Nie interesują mnie prace ogrodnicze. Chcę zadzwonić do Dhavaka.

Jestem tu przez pomyłkę.

Kiedy w pierwotnym życiu Nora przynosiła leki swojemu staremu sąsiadowi, słyszała już wcześniej o jego synu, Dhavaku. Starzec żalił się wtedy, że syn bardzo nalega na umieszczenie go w ośrodku opiekuńczym, a on chce zostać w swoim domu.

— Nie ma sposobu, żebym mógł po prostu...

W tym momencie zauważył, że Nora się na niego gapi.

— Panie Banerjee? — spytała.

Wpatrywał się w nią zdezorientowany.

— Tak? Kim pani jest?

— Jestem Nora. Wie pan, Nora Seed. — Potem, ze zdenerwowania, dorzuciła bez zastanowienia: — Jestem pana sąsiadką. Z Bancroft Avenue.

Potrząsnął głową.

— Myślę, że musiałaś się pomylić, kochanie. Nie mieszkam tam od trzech lata. I jestem pewien, że nie byłaś moją sąsiadką.

Pielęgniarka przechyliła głowę i popatrzyła na niego jak na zagubionego szczeniaczka.

— Może już zapomniałeś.

— Nie, nie — powiedziała Nora szybko, zdając sobie sprawę ze swojego błędu. — Ten pan ma rację. Coś pokręciłam. Mam czasem problemy z pamięcią. Nigdy tam nie mieszkałam. To było gdzie indziej. I chodzi o kogoś innego. Przepraszam.

Mężczyzna z kobietą wznowili dyskusję, a Nora myślała o ogrodzie przed domem pana Banerjee, miejscu pełnym irysów i kwiatów naparstnicy.

— Mogę jakoś pani pomóc?

Odwróciła się i spojrzała na recepcjonistę. Łagodny, rudowłosy mężczyzna w okularach miał krostowatą skórę i mówił z lekkim szkockim akcentem.

Powiedziała mu, kim jest i że wcześniej telefonowała.

Początkowo nie wiedział, o co chodzi.

— Twierdzi pani, że zostawiła wiadomość?

Cicho nucąc, zaczął szukać e-maila od Nory.

— Tak, ale przez telefon. Próbowałam się dodzwonić, nie udało mi się, więc ostatecznie się nagrałam. Chociaż e-mail też wysłałam.

— No cóż, rozumiem. Proszę mi wybaczyć. Chce się pani spotkać z członkiem rodziny?

— Nie — wyjaśniła. — Nie jestem z rodziny. Po prostu kiedyś tę panią znałam. Powinna mnie pamiętać. Nazywa się Elm... — Próbowała przypomnieć sobie imię bibliotekarki. — Przepraszam. Louise. Louise Elm. Gdyby podał jej pan moje nazwisko... Nora. Nora Seed. Kiedyś była moją... Pracowała w szkolnej bibliotece, w Hazeldene. Pomyślałam, że może miałyby ochotę na odwiedziny.

Mężczyzna podniósł wzrok znad komputera i popatrzył na nią z ledwie ukrywanym zaskoczeniem. Z początku Nora pomyślała, że coś źle zrozumiała. Albo że Dylan się pomylił, gdy mówił o pani Elm tamtego wieczoru w La Cantina. A może kobietę w tym życiu spotkał inny los. Chociaż nie bardzo wiedziała, jak jej własna decyzja o pracy w schronisku dla zwierząt miałyby

wpłynąć na los pani Elm w tym życiu. To nie miało sensu. Ponieważ w żadnym życiu nie kontaktowała się z bibliotekarką od czasów szkoły.

— Co się stało? — zapytała recepcjonistę.

— Szalenie mi przykro, ale Louise Elm już tutaj nie ma.

— Gdzie jest?

— Zmarła trzy tygodnie temu.

W pierwszej chwili Nora pomyślała, że może ktoś źle wprowadził dane do systemu.

— Jest pan pewny?

— Tak. Absolutnie pewny.

— Och — bąknęła. Naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. I co powinna czuć. Spojrzała na swoją torbę, która podczas drogi stała obok niej na siedzeniu w samochodzie. W torbie znajdował się zestaw szachowy, który przywiozła, bo chciała zagrać z panią Elm. — Przykro mi. Nie miałam pojęcia. Nie... Rozumie pan, nie widziałam jej od lat. Od wielu, wielu lat. Ale usłyszałam od kogoś, że tu przebywa i...

— To smutne — zauważył recepcjonista.

— Och, proszę się nie przejmować. Chciałam jej tylko podziękować. Za to, że była dla mnie taka miła.

— Umarła bardzo spokojnie — powiedział. — We śnie.

Więc Nora się uśmiechnęła i grzecznie wycofała.

— To pocieszające. Dziękuję panu. Dziękuję, że się nią opiekowaliście... Pójdę już. Do widzenia...

Incydent z policją

Wyszła z powrotem na Shakespeare Road z torbą, w której znajdował się zestaw szachów, i naprawdę nie wiedziała, co robić. Czuła w ciele mrowienie. A może raczej było to dziwne, niewyraźne, elektrostatyczne uczucie, które ogarniało ją już przedtem, ilekroć zbliżała się do końca określonego istnienia.

Próbując zignorować te doznania, skierowała się w stronę parkingu. Minęła swoje stare mieszkanie z wyjściem do ogrodu pod numerem 33A przy Bancroft Avenue. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała, wynosił śmieci. Pomyślała o ślicznym domu w Cambridge, w którym teraz mieszkała. Trudno go było nie porównywać do tego obskurnego mieszkania na zaśmieconej ulicy. Mrowienie nieco ustąpiło. Przeszła obok domu pana Banerjee czy raczej domu, który kiedyś do niego należał, i przyjrzała się tej jedynej kamienicy, której właściciel nie podzielił na mieszkania, choć teraz budynek prezentował się inaczej. Niewielki frontowy trawnik był zaniedbany i zarośnięty, nie było też śladu po powojnikach ani donicach z niecierpkami, które Nora podlewała ubiegłego lata, gdy pan Banerjee wracał do zdrowia po operacji stawu biodrowego.

Na chodniku zauważyła kilka zgniecionych puszek po piwie.

Zobaczyła też opaloną blondynkę uczesaną w kok, która szła w jej stronę po chodniku wraz z dwójką małych dzieci w podwójnym wózku. Kobieta wyglądała na wyczerpaną. To właśnie z nią Nora rozmawiała w kiosku tamtego dnia, gdy postanowiła umrzeć. Tyle że wtedy kobieta wydawała się szczęśliwa i zrelaksowana. Kerry-Anne. Teraz nie zauważyła Nory, ponieważ jedno z dzieci głośno płakało i próbowała je uspokoić — zrozczonego chłopca o czerwonych policzkach — machając przed nim plastikowym dinozaurem.

„Ja i Jake byliśmy jak króliki, gdy się poznaliśmy. Mamy dwa małe

potwory. Ale warto, wiesz? Po prostu czuję się teraz kompletna! Mogę ci pokazać kilka fotek...”.

Potem kobieta podniosła wzrok i ją dostrzegła.

— Znam cię, prawda? ...Nora?

— Tak.

— Cześć, Noro.

— Cześć, Kerry-Anne.

— Zapamiętałaś moje imię? O rany. W szkole szczerze cię podziwiałam! Myślałam wtedy, że możesz mieć wszystko. Byłaś kiedyś na tych igrzyskach olimpijskich?

— Tak, właściwie tak. W pewnym sensie. Jedno z moich wcieleń. Okazało się jednak, że nie tego chcę. Ale tak naprawdę nigdy się tego nie wie, prawda?

Kerry-Anne przez moment patrzyła na nią zdezorientowana. A później jej synek rzucił na chodnik dinozaura, który wylądował obok jednej ze zgniecionych puszek.

— Prawda.

Nora podniosła dinozaura (po bliższym poznaniu okazał się stegozaurem) i podała go Kerry-Anne. Kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością i skierowała się do domu, który powinien należeć do pana Banerjee, gdy chłopiec zaczął wrzeszczeć w straszliwym napadzie złości.

— Pa — rzuciła za nią Nora.

— Tak. Pa, pa.

Nora zastanawiała się, jaka zaszła różnica. Co sprawiło, że pan Banerjee zgodził się zamieszkać w domu opieki, chociaż był absolutnie zdecydowany tego nie robić? Jediną różnicę między dwoma światami pana Banerjee stanowiła ona, Nora, ale jaka zaszła różnica?! Co robiła w swoim pierwotnym życiu? Założyła mu sklep internetowy... Kilka razy zrealizowała jego receptę...

„Nigdy nie lekceważ wielkiego znaczenia drobiazgów — powiedziała pani Elm. — Zawsze musisz o tym pamiętać”.

Nora zagapiła się we „własne” okno. Pomyślała o sobie w pierwotnym życiu, gdy tkwiła w sypialni między życiem a śmiercią, można by rzec, w równej odległości od obu stanów. I po raz pierwszy zaniepokoiła się o siebie w sposób, w jaki niepokoiłaby się o kogoś innego. Nie jedynie o kolejną swoją wersję, lecz o inną rzeczywistą osobę. Jakby w końcu, po tych wszystkich doświadczeniach stała się kimś, kto współczuł swojemu dawnemu ja. Nie, nie użalała się nad sobą, ponieważ teraz była kimś innym.

I wtedy ktoś pojawił się w jej oknie. Kobieta, która nie była nią, trzymała w rękach kota, który nie był Wolterem.

I chociaż Nora znów poczuła się słabo i niewyraźnie, to jednak ten widok dał jej nadzieję.

Ruszyła do miasta. Szła główną ulicą.

Tak, teraz była inna. Silniejsza. Miała w sobie niewykorzystane rezerwy. Rezerwy, których być może wcale by nie odkryła, gdyby nie zaśpiewała na scenie, nie odparła ataku niedźwiedzia polarnego, nie odczuwała tak wielkiej miłości, strachu i odwagi.

Przed drogerią Boots panowało zamieszanie. Funkcjonariusze policji aresztowali dwóch chłopców, a detektyw z pobliskiego sklepu mówił przez krótkofalówkę.

Rozpoznała jednego z chłopców i podeszła do niego.

— Leo?

Policjant kazał jej się wycofać.

— Kim pani jest? — zapytał Leo.

— Ja... — Nora uświadomiła sobie, że nie może się przedstawić jako jego „nauczycielka gry na pianinie”. Zdała też sobie sprawę, jakim szaleństwem, biorąc pod uwagę pełną napięcia atmosferę, będzie powiedzieć to, co zamierzała. Niemniej jednak i tak zapytała: — Czy pobierasz lekcje muzyki?

Leo spojrział w dół, na swoje nadgarstki, które skuwał funkcjonariusz.

— Nigdy nie brałem lekcji muzyki...

W głosie chłopca nie było już brawury.

Policjant za to wyglądał teraz na sfrustrowanego.

— Proszę pani, proszę zostawić tę sprawę nam.

— To dobre dziecko — upierała się Nora. — Niech pan nie będzie dla niego zbyt surowy.

— Cóż, ten dobry dzieciak właśnie ukradł stamtąd dwieście funtów. Okazało się również, że posiada broń.

— Broń?

— Nóż.

— Nie, nie. Na pewno zaszła pomyłka. On taki nie jest.

— Słyszysz to? — zwrócił się do swojego partnera funkcjonariusz. — Ta pani myśli, że nasz przyjaciel, Leo Thompson, nie jest dzieckiem, które pakuje się w kłopoty.

Jego towarzysz roześmiał się.

— Dokładnie mówiąc, pakuje się z jednych w drugie.

— A teraz przepraszamy panią — oznajmił pierwszy policjant. — Proszę, niech pani pozwoli nam wykonywać naszą pracę...

— Tak, oczywiście — powiedziała Nora. — Naturalnie. Rób wszystko, co ci każą, Leo...

Popatrzył na nią jak na jakiś chory żart.

Kilka lat temu jego mama, Doreen, przyszła do Teorii Strun, ponieważ chciała kupić mu tani instrument klawiszowy. Martwiła się, że syn zachowuje się źle w szkole, a ponieważ interesował się muzyką, szukała dla niego nauczyciela gry na pianinie. Nora wyjaśniła jej, że ma pianino elektryczne i potrafi na nim grać, ale nie ma formalnego przygotowania pedagogicznego. Doreen odpowiedziała, że nie jest zbyt majątna, a mimo to zawarły umowę i Nora cieszyła się wtorkowymi wieczorami, gdy uczyła o różnicy między durowymi i molowymi akordami septymowymi Leo, którego uważała za wspaniałego i chętnego do nauki chłopca.

W tamtym życiu Nory Doreen zauważyła, że jej syn „wpadł w złe towarzystwo”, ale kiedy zajął się muzyką, zaczął sobie dobrze radzić w wielu

sprawach, które wcześniej sprawiały mu kłopoty. Nagle przestał mieć problemy z nauczycielami i potrafił z taką samą starannością i zaangażowaniem zagrać wszystko: od Chopina, przez Scotta Joplina, po Franka Oceana i Johna Legenda, czy Rexa Orange'a County'ego.

Norze przypomniało się teraz to, co powiedziała pani Elm, gdy spotkały się w Bibliotece o Północy po raz pierwszy:

„Na każde życie składa się wiele milionów decyzji. Niektóre są poważne, inne — niewiele znaczące. Ale za każdym razem, gdy podejmujemy taką a nie inną decyzję, zmienia się ciąg dalszy. Następuje nieodwracalna zmiana, która z kolei prowadzi do następnych zmian. Te książki są portalami prowadzącymi do każdego możliwego życia, które mogłabyś wieść...”.

Na tej osi czasu, w tej chwili, tu, gdzie Nora ukończyła studia magisterskie na uniwersytecie w Cambridge, była żoną Asha i miała córeczkę, nie przebywała w Teorii Strun w owym dniu przed czterema laty, kiedy do sklepu przyszła Doreen z Leo. W tym świecie Doreen nigdy nie znalazła nauczyciela muzyki, który byłby wystarczająco tani, więc Leo nigdy nie zajmował się grą na instrumencie na tyle długo, żeby odkryć w sobie talent. Tu nigdy nie siadywał obok Nory we wtorkowe wieczory, oddając się pasji, którą rozwijałyby następnie w domu, komponując własne melodie.

Nora odnosiła wrażenie, że opada z sił. To już nie było jedynie mrowienie, lecz coś silniejszego, poczucie pogrążania się w nicości, któremu towarzyszyły krótkie okresy, kiedy przed oczami miała ciemność. Pojawiły się obawy, że gdzieś czai się kolejne jej wcielenie, gotowe zacząć kolejne życie w momencie, w którym to zniknie. Umysł gotowy wypełnić wszelkie luki, ustalić powód, dla którego warto się było wybrać na jednodniową wycieczkę do Bedford, dopowiedzieć wszystkie momenty nieobecności tak, jakby ta inna Nora była tu przez cały czas.

Martwiąc się, że wie, co te emocje oznaczają, odwróciła się od Leo i jego kolegi, których eskortowano do radiowozu na oczach wszystkich mieszkańców ulicy w Bedford, i ruszyła szybko w stronę parkingu.

„To jest dobre życie... — powtarzała sobie. — To jest dobre życie... To jest dobre życie...”.

Nowy sposób postrzegania

Nora zbliżała się do stacji. Mijając tak jaskrawe, że przyprawiające o ból głowy czerwono-żółte zygzaki meksykańskiej La Cantiny, patrzyła, jak w środku kelner zdejmuje krzesła ze stolików. Przejechała też obok Teorii Strun. Sklep był zamknięty. Przeczytała na drzwiach odręczną notatkę:

Niestety, Teoria Strun nie jest już w stanie handlować w tym obiekcie. Po podniesieniu czynszu po prostu nas na to nie stać. Dziękujemy wszystkim naszym lojalnym klientom. „Nie rozpamiętujcie, nic się nie stało. Możecie pójść własną drogą”. Dacie radę.

Była to dokładnie ta sama karteczka, którą Nora widziała w świecie z Dylanem. Sądząc po dacie, napisanej małymi literkami flamastrem ręką Neila, obwieszczenie pochodziło sprzed prawie trzech miesięcy.

Norę ogarnął smutek, ponieważ Teoria Strun dla wielu osób dużo znaczyła. Niemniej jednak Nora nie pracowała tam, kiedy właściciel wpadł w tarapaty.

„No cóż. Przypuszczam, że sprzedałam sporo pianin elektrycznych. A także całkiem sporo niezłych gitar”.

*

Gdy dorastali, Nora i Joe, jak to nastolatki, stale żartowali na temat swojego rodzinnego miasta. Mawiali wtedy, że więzienie HMP Bedford to tylko więzienie wewnętrzne, a pozostała część miasta to więzienie zewnętrzne i należy wykorzystać każdą okazję, by stamtąd uciec.

Ale teraz, kiedy Nora docierała do stacji, zaszło już słońce i odniosła wrażenie, że przez te wszystkie lata patrzyła na to miejsce w niewłaściwy sposób. Przejeżdżając obok posągu reformatora więziennictwa, Johna Howarda na placu Świętego Pawła, z otaczającymi go drzewami i odbijającą światło rzeką płynącą tuż za nim, zachwyciła się okolicą tak, jakby widziała ją po raz pierwszy.

„Liczy się nie to, na co patrzysz, lecz to, co widzisz”.

*

Jadąc z powrotem do Cambridge, odizolowana w swoim wspaniałym audi, niemal obrzydliwie śmierdzącym winylem, tworzywem sztucznym i innymi materiałami syntetycznymi, przeciskając się przez ruch uliczny, mijając samochody niczym jedno czy drugie zapomniane życie, głęboko żałowała, że nie zdołała się zobaczyć z panią Elm, tą prawdziwą, zanim umarła. Byłoby dobrze rozegrać z nią ostatnią przed jej śmiercią partię szachów. Nora pomyślała też o biednym Leo, którego posadzono w małej, pozbawionej okna celi na komisariacie Bedford, gdzie czekał, aż Doreen przyjdzie i go stamtąd odbierze.

— To jest najlepsze życie — powiedziała sobie, już trochę desperacko. — To jest najlepsze życie. Zostaję tutaj. To jest życie dla mnie. To jest najlepsze życie. To właśnie życie jest najlepsze.

Ale wiedziała, że nie ma dużo czasu.

Kwiatki mają wodę

Zaparkowała przed domem i wbiegła do środka, a tam podszedł powoli i radośnie powitał ją Platon.

— Hej? — zawołała z rozpaczą w głosie. — Ash? Molly?

Musiała ich zobaczyć! Wiedziała, że długo w tym świecie nie przetrwa. Czowała, że Biblioteka o Północy już na nią czeka.

— Na zewnątrz! — odpowiedział wesoło Ash z tylnego ogrodu.

Więc Nora wyszła tam i natychmiast dostrzegła dziewczynkę, która — niezrążona wcześniejszym wypadkiem — znów jeździła na trójkołowym rowerku, Ash natomiast zajmował się kwietnikiem.

— Jak ci minęła podróż?

Molly zsiadła z trójkołowca i podbiegła.

— Mamusiu! Tęskniłam za tobą! Już naprawdę dobrze jeżdżę!

— Naprawdę, kochanie?

Przytuliła córeczkę, zamknęła oczy i wdychała zapach włosów dziewczynki, psa, płynu do płukania tkanin i dzieciństwa w nadziei na cud, który pomoże jej tu pozostać.

— Kocham cię, Molly, chcę, żebyś to wiedziała. Na zawsze, rozumiesz?

— Tak mamusiu, no pewnie.

— Kocham też twojego tatę. I wszystko będzie w porządku, bo cokolwiek się stanie, zawsze będziesz miała tatusia i mamusię, może po prostu ja już nie będę z tobą dokładnie w taki sam sposób jak teraz. Będę tutaj, ale... — Uświadomiła sobie, że Molly nie musi nic więcej wiedzieć. — Kocham cię.

Molly wyglądała na zaniepokojoną.

— Zapomniałaś o Platonie!

— Och, oczywiście, że kocham też Platona... Jak mogłabym o nim zapomnieć? Platon wie, że go kocham, prawda, piesku? Kocham cię, Platonie.

Usiłowała nad sobą zapanować.

„Cokolwiek się stanie, będą mieli opiekę. Będą kochani. I będą mieli siebie nawzajem. I będą szczęśliwi”.

Potem podszedł Ash w rękawicach ogrodniczych.

— Nic ci nie jest, Nor? Wyglądasz trochę blado. Coś się stało?

— Och, opowiem ci o tym później. Kiedy Molly będzie w łóżku.

— Okej. Słuchaj, mają przywieźć zakupy... Nasłuchuj furgonetki, dobra?

— Jasne. Tak. Tak...

A potem Molly zapytała, czy może pójść po konewkę, a Ash jej wyjaśnił, że ponieważ ostatnio sporo padało, nie trzeba podlewać kwiatków, bo zatroszczyło się o nie niebo.

— Nic im nie będzie. Są pod opieką. Kwiatki mają wodę.

Te słowa ponownie przeleciały Norze przez głowę: „Nic im nie będzie. Są pod opieką. Kwiatki mają wodę”.

Później Ash mówił coś o wieczornym wyjściu do kina i uzgodnieniu wszystkiego z opiekunką, o czym Nora kompletnie zapomniała, lecz tylko się uśmiechnęła i bardzo starała się trzymać fason, ponieważ chciała pozostać w tym świecie, ale, niestety, odchodziła. Tak, to się działo — wiedziała o tym każdą cząstką siebie i w absolutnie żaden sposób nie była w stanie tego procesu zatrzymać.

Nigdzie na ziemi

— NIE!

Ale stało się.

Nora bez wątpienia wróciła do Biblioteki o Pólnocy.

Pani Elm była przy komputerze. Światła nad ich głowami trzęsły się, drżały i migotały w szybkich, arytmicznych mrugnięciach.

— Przestań, Noro. Uspokój się. Bądź grzeczną dziewczynką. Muszę to uporządkować.

Kurz spadał cienkimi pasmami ze szczelin w suficie, z rozpadlin rozprzestrzeniających się niczym tkane z nienaturalną prędkością pajęczyny. Rozległ się dźwięk sugerujący nagłe, aktywne zniszczenie, które Norze — smutnej i wściekłej — jakoś udało się zignorować.

— Nie jest pani panią Elm. Pani Elm nie żyje... Czy ja nie żyję?

— Już to omawiałyśmy. Ale teraz gdy o tym wspomniałaś, może masz um...

— Dlaczego tam nie zostałam? Dlaczego już mnie tam nie ma? Czułam, że tamten świat mi ucieka, lecz nie chciałam odchodzić. Mówiła pani, że jeśli znajdę życie, w którym będę chciała pozostać... którym naprawdę będę chciała żyć... to tam zostanę. Mówiła pani, że wtedy zapomnę o tej głupiej bibliotece. I zapewniała mnie pani, że zdołam znaleźć życie, którego pragnę. To było życie, którego pragnęłam. To było to życie!

Jeszcze przed chwilą przebywała wraz z Ashem, Molly i Platonem w ogrodzie tętniącym życiem i miłością, a teraz była tutaj.

— Proszę mnie zabrać z powrotem...

— Wiesz, że to tak nie działa.

— No dobra, więc proszę mnie przenieść do życia najbardziej podobnego do tamtego. Niech to będzie życie najbliższe z możliwych do tamtego. Proszę,

pani Elm, to na pewno jest możliwe. Musi istnieć życie, w którym poszłam na kawę z Ashem i w którym mieliśmy... Molly i Platona, ale... zrobiłam coś nieco inaczej. W sensie technicznym byłyby to inne życie od tamtego. Na przykład wybrałam inną obrozę dla Platona. Albo... Albo... Lub takie życie, w którym... no nie wiem... ćwiczyłam pilates, a nie jogę? Albo poszłam do innego college'u w Cambridge? Lub, jeśli trzeba się cofnąć jeszcze bardziej wstecz, niech to będzie życie, w którym zamiast kawy na randce z Ashem wypiałam herbatę. Takie życie! Proszę mnie zabrać do życia, w którym to zrobiłam. No, dalej. Proszę. Niech mi pani pomoże. Chciałabym wypróbować jedną z takich egzystencji, proszę...

Komputer zaczął dymić. Ekran zrobił się czarny. Monitor rozpadał się na kawałki.

— Nie rozumiesz — powiedziała pani Elm, pokonana, i osunęła się w tył, na oparcie fotela biurowego.

— Tak to się przecież odbywa, prawda? Wybieram żal. Coś, czego żałuję, bo chciałam to zrobić inaczej... I wówczas pani znajduje mi książkę, ja ją otwieram i ją... przeżywam. Tak działa ta biblioteka, czyż nie?

— Ale to nie jest takie proste.

— Dlaczego? Czy występuje teraz jakiś problem z... przeniesieniem? No wie pani, tak jak to się już wcześniej zdarzyło?

Bibliotekarka popatrzyła na nią ze smutkiem.

— Chodzi o coś więcej. Zawsze istniała możliwość, że twoje stare życie się skończy. Mówiłam ci o tym, prawda? Chciałaś umrzeć i być może tak się stanie.

— Tak, ale powiedziała pani, że po prostu muszę dokądś pójść. Że muszę gdzieś osiąść. Gdzieś wylądować. W innym życiu. Dokładnie takich słów pani użyła. A ja miałam jedynie wystarczająco intensywnie pomyśleć, wybrać dla siebie właściwe życie i...

— Wiem. Wiem. Ale to się nie udało.

Sufit opadał teraz całymi fragmentami, jakby tynk nie był czymś bardziej

stabilnym od lukru na weselnym torcie.

Nora zauważyła coś jeszcze bardziej niepokojącego. Z jednej z lamp wystrzeliła iskra i opadła na książkę, która w konsekwencji się zapaliła i wybuchnęła jasnym ogniem. Dość szybko ogień rozprzestrzenił się po całej półce, a książki płonęły błyskawicznie, jak oblane benzyną. To był cały strumień gorącego, rozszalałego, huczącego bursztynu. Po chwili kolejna iskra opadła na inną półkę, która również się zapaliła. Niemal w tym samym czasie duży kawałek pylistego sufitu wylądował u stóp Nory.

— Pod stół! — poleciła pani Elm. — Prędko!

Nora przykucnęła, a następnie podążyła za bibliotekarką — teraz przemieszczając się na czworakach — pod stół, gdzie uklękała i musiała, podobnie jak jej towarzyszka, pochylić głowę.

— Dlaczego nie może pani tego zatrzymać?

— Mamy teraz do czynienia z reakcją łańcuchową. Te iskry nie są przypadkowe. Książki zostaną zniszczone. A potem, co równie nieuchronne, zawali się cały ten budynek.

— Dlaczego? Nie rozumiem. Byłam tam. Znalazłam dla siebie odpowiednie życie. Jedyne życie dla mnie. Najlepsze ze wszystkich...

— Ale to właśnie jest problem — powiedziała pani Elm, nerwowo wypatrując spod drewnianych nóg stołu na kolejne półki pochłaniane przez ogień i osypujący się wszędzie wokół nich gruz. — To było wciąż za mało. Spójrz!

— Na co?

— Na swój zegarek. Przez chwilę.

Więc Nora popatrzyła na zegarek i na początku nie dostrzegła niczego niewłaściwego, później jednak... zegarek nagle zaczął działać jak zegarek. Zaczęło się odliczanie.

00:00:00

00:00:01

00:00:02

— Co się stało? — zapytała, zdając sobie sprawę, że cokolwiek się dzieje, prawdopodobnie nie jest to dla niej dobre.

— Czas. Oto, co się dzieje.

— Jak możemy stąd wyjść?

00:00:09

00:00:10

— Nie jesteśmy w stanie! — odrzekła twardo kobieta. — To znaczy ja nie mogę opuścić biblioteki. Kiedy ona zniknie, ja także. Ty masz szansę wyjść, choć nie przetrwasz zbyt długo. Nie dłużej niż minutę...

Nora właśnie straciła jedną panią Elm i nie chciała stracić również tej. Kobieta widziała jej rozpacz.

— Posłuchaj, Noro. Jestem częścią tej biblioteki. Ale cała ta biblioteka jest częścią ciebie. Rozumiesz? Nie ty istniejesz dzięki bibliotece, lecz to ona istnieje dzięki tobie. Pamiętasz, co ci powiedział Hugo? Że jest to najprostszy sposób, w jaki mózg tłumaczy sobie dziwną i różnorodną rzeczywistość wszechświata. Czyli że to tylko twój mózg coś sobie przekłada na własny użytek. Coś istotnego, a jednocześnie niebezpiecznego.

— Też do takiego wniosku doszłam.

— Ale jedno jest jasne: nie chciałaś żyć tym życiem.

— Było idealne!

— Tak czułaś? Przez cały czas?

— Tak, to znaczy... Chciałam tak czuć. Wie pani, pokochałam Molly. Mogłabym pokochać Asha. Ale chyba, może... cóż, to nie było moje życie. Nie osiągnęłam tego wszystkiego sama. Weszłam w inną wersję siebie. Wkopiowano mnie do idealnego życia. Ale to nie byłam ja.

00:00:15

— Nie chcę umrzeć — ciągnęła Nora, nagle podniesionym, lecz także łamiącym się głosem. Cała się trzęsła.

„Nie chcę umrzeć”.

Pani Elm spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Wyraźnie miała jakiś

pomysł.

— Musisz się stąd wydostać.

— Nie mogę! Ta cholerna biblioteka ciągnie się bez końca. Jak tylko weszłam, zniknęło wejście.

— Musisz je odnaleźć jeszcze raz.

— Jak? Nigdzie nie ma drzwi.

— Kto potrzebuje drzwi, kiedy ma książkę?

— Wszystkie płoną.

— Jest tam jedna, która nie będzie się palić. Właśnie ją musisz odszukać.

— *Księgę żalów?*

Kobieta niemal się roześmiała.

— Nie. To akurat ostatnia książka, jakiej potrzebujesz. Do tej pory obróciła się już zresztą w popiół. Była pierwsza w kolejce do spalenia. A ty musisz pójść tam! — Wskazała na lewo, w miejsce, gdzie panował chaos i pożar, gdzie spadał tynk. — Jedenaste przejście między regałami, licząc stąd. Trzecia półka od dołu.

— Ten budynek zaraz się zawali!

00:00:21

00:00:22

00:00:23

— Nie rozumiesz, Noro?

— Czego?

— To wszystko ma sens. Tym razem wróciłaś tutaj nie dlatego, że chciałaś umrzeć, lecz dlatego, że chcesz żyć! Biblioteka nie rozpada się dlatego, że chce cię zabić. Rozpada się, bo daje ci szansę na powrót. W końcu zdarzyło się coś ostatecznego. Zdecydowałaś, że pragniesz żyć. Teraz idź dalej, żywa, póki jeszcze masz szansę.

— Ale... a pani? Co się stanie z panią?

— Nie martw się o mnie — odrzekła bibliotekarka. — Obiecuję ci, że nic nie poczuję. — A potem powiedziała to, co powiedziała prawdziwa pani Elm,

kiedy przytuliła Norę w szkolnej bibliotece dawno temu, w dniu śmierci jej ojca: — Wszystko się ułoży, Noro. Wszystko będzie dobrze.

Kobieta położyła rękę na biurku i zaczęła pośpiesznie czegoś szukać. Sekundę później podała Norze plastikowe pomarańczowe pióro wieczne. Takie, jakim wieki temu Nora pisała w szkole. — Potrzebujesz go.

— Do czego?

— Tej książki jeszcze nie napisano. Musisz zacząć.

Nora wzięła pióro.

— Do widzenia, pani Elm.

Sekundę później na stół spadł potężny fragment sufitu, a je obie otoczyła gęsta, dusząca chmura gipsowego pyłu.

00:00:34

00:00:35

— Idź — zakaszła pani Elm. — Żyj!

Nie waż się poddawać, Noro Seed!

Nora przeszła przez mgłę pyłu i dymu w kierunku, który wskazała jej pani Elm, a sufit tymczasem nadal opadał.

Miała trudności z oddychaniem i niewiele widziała, ale próbowała się skupić na odliczaniu kolejnych przejść między regałami. Na głowę spadały jej iskry z lamp.

Pył wciskał się jej do gardła, niemal przyprawiając o wymioty. Ale mimo gęstej pylistej mgły zauważyła, że większość książek teraz płonie. Właściwie żadna z półek nie wyglądała na nietkniętą, a panujące gorąco wydawało się wręcz namacalne. Niektóre z półek i książek, które zapaliły się najwcześniej, niemal całkowicie zmieniły się w popiół.

Akurat kiedy dotarła do jedenastego przejścia, duży kawałek spadającego sufitu uderzył ją tak mocno, że upadła na podłogę.

Leżąc pod gruzem, poczuła, jak pióro wyslizguje się jej z dłoni, a po chwili już sunęło po posadzce.

Pierwsza próba ucieczki zatem się nie powiodła.

„I tak to jest. Umrę, czy tego chcę, czy nie. Umrę”.

Biblioteka zmieniła się w ruinę.

00:00:41

00:00:42

To już koniec.

Po raz kolejny Nora była tego pewna. Umrze tutaj, ponieważ wszędzie wokół niej ogień trawił wszystkie jej potencjalne wcielenia.

Ale potem, gdy na chwilę chmury się rozproszyły, coś zobaczyła. Tam, przed sobą, w jedenastym przejściu. Na trzeciej półce od dołu.

To była szczelina w ogniu, który pochłaniał wszystkie inne tomy na półce.

„Nie chcę umierać”.

Musiała się bardziej postarać. Musiała zapragnąć życia, o którym zawsze myślała, że go nie chce. Ponieważ dokładnie tak jak ta biblioteka była jej częścią, tak samo do niej, Nory, należały wszystkie jej inne egzystencje. Być może w swoim pierwotnym życiu nie doświadczyła tego wszystkiego, co czuła w innych żywotach, ale miała przecież potencjał. Może przegapiła te konkretne okazje, dzięki którym mogłaby wziąć udział w olimpiadzie, zostać podróżniczką, właścicielką winnicy, gwiazdą rocka, glaciologką ratującą planetę, absolwentką Cambridge, matką lub robić milion innych rzeczy, a z drugiej strony była przecież wszystkimi tymi osobami. A one wszystkie były nią. Mogłaby wykonywać wszystkie te niesamowite zawody i myśl ta nie przygnębiała jej już tak jak kiedyś. Właściwie w ogóle jej teraz nie przygnębiała. Raczej inspirowała. Ponieważ już wiedziała, co może osiągnąć, jeśli tylko zabierze się do pracy. I że w gruncie rzeczy życie, które do tej pory prowadziła, miało swoją własną logikę. Jej brat żył. Izzy żyła. A ona, Nora, pomogła młodemu chłopcu nie wpaść w tarapaty. Postrzegala coś jako pułapkę, a to po prostu jedynie zwodził ją własny umysł. Do szczęścia nie potrzebowała ani winnicy, ani kalifornijskiego słońca. Nie potrzebowała nawet dużego domu ani idealnej rodziny. Potrzebowała tylko potencjału. I była jednym wielkim potencjałem. Zadała sobie teraz pytanie, dlaczego nigdy nie widziała tego w ten sposób.

Usłyszała głos pani Elm przecinający hałas, dobiegający spod stołu, gdzieś daleko za nią.

— Nie poddawaj się! Nie waz się poddawać, Noro Seed!

Nie chciała umierać. Ale nie chciała też żyć żadnym innym życiem poza swoim pierwotnym. Moze wyglądało ono jak chaotyczna szamotanina, ale to była jej chaotyczna szamotanina. Piękna chaotyczna szamotanina.

00:00:52

00:00:53

Nora wila się, rozpychała i walczyła z ciężarem, który ją przytłaczał, aż

w końcu po jakimś czasie — dzięki ogromnemu wysiłkowi, który palił i dusił jej płuca — zdołała wstać.

Obmacała teren wokół siebie i znalazła wieczne pióro, grubo pokryte pyłem, a następnie pobiegła wśród dymu do jedenastego przejścia.

I tam ją zobaczyła.

Jedyną książkę, która nie płonęła. Wciąż tam była, idealnie zielona.

Wzdragając się przed gorącym, Nora ostrożnie zagięła palec wskazujący na grzbiecie książki i wysunęła ją z półki. Potem zrobiła to, co zawsze. Otworzyła książkę i próbowała znaleźć pierwszą stronę. Ale takiej strony nie było. W całej książce nie było ani jednego słowa. Była całkowicie pusta. Podobnie jak pozostałe to była książka o jej przyszłości. Tyle że w przeciwieństwie do innych, ta przyszłość nie została jeszcze napisana.

Czyli że to było to. Jej życie. Jej pierwotne życie.

Miała przed sobą pustą stronę.

Stała przez chwilę w miejscu, trzymając w ręku stare szkolne pióro. Od północy minęła już prawie minuta.

Z reszty książek na półkach pozostały czarne wióry, a wisząca żarówka migotała wśród pyłu, mętnie oświetlając pękający sufit. Wielki fragment sufitu wokół lampy — mniej więcej w kształcie Francji — w każdej chwili mógł spaść i Norę zmiażdżyć.

Zdjęła z pióra skuwkę i przycisnęła otwartą książkę do osmalonego stosu regałów.

Sufit zaskrzypiał.

Nie miała dużo czasu.

Zaczęła pisać: „Nora chciała żyć”.

Kiedy skończyła wpis, odczekała chwilę. Ku jej rozczarowaniu nic się nie wydarzyło i wtedy sobie przypomniała, co kiedyś powiedziała pani Elm: „Chcieć” to interesujące słowo. Oznacza brak czegoś.

Więc skreśliła zdanie i spróbowała ponownie:

„Nora postanowiła żyć”.

Nic. Spróbowała jeszcze raz.

„Nora była gotowa żyć”.

Nadal nic, nawet gdy podkreśliła wyraz „żyć”. Wszędzie wokół coś pękało i się rozpadało. Kawałki sufitu spadały, zrównując wszystko z ziemią, pokrywając półki z książkami stosami pyłu. Nora rozglądała się, aż zobaczyła panią Elm, która wyszła już spod biurka, pod którym się wcześniej schroniły, i stała teraz obok, bez cienia strachu, a potem całkowicie zniknęła, gdy runął prawie cały dach, przywalając resztki ognia, regały i wszystko inne.

Nora, dławiąc się, niczego już nie widziała.

Ale część biblioteki, w której się znajdowała, wciąż trwała w miejscu.

Chociaż Nora wiedziała, że w każdej chwili wszystko może zniknąć.

Przestała zatem się zastanawiać, co powinna napisać, i — z czystej irytacji — po prostu przelała na papier pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy, coś, co czuła w sobie jak wyzywający bezgłośny ryk, który mógłby stawić czoło wszelkiemu zewnętrznemu zniszczeniu. Jedyłą prawdę, którą posiadała, prawdę, z której była teraz dumna i zadowolona, prawdę, którą nie tylko zaakceptowała, lecz którą przyjęła z radością każdą ognistą cząsteczką swojego jestestwa. Prawdę, którą zapisała pośpiesznie, lecz stanowczo, mocno wciskając stalówkę w papier, wielkimi literami w czasie teraźniejszym z perspektywy pierwszej osoby.

Prawdę, która była początkiem i załączkiem wszystkiego, co możliwe. Dawną klątwą i obecnym błogosławieństwem.

Jedno proste słowo zawierające w sobie moc i potencjał wieloświatów.

ŻYJĘ.

Wtedy ziemia zatrzęsła się wściekle i wszelkie pozostałości Biblioteki o Północy obróciły się w proch.

Przebudzenie

W minutę i dwadzieścia siedem sekund po północy Nora Seed dramatycznie zaznaczyła swój powrót do życia, wymiotując na kłodrę.

Żyła, ale ledwo, ledwo.

Dławienie się, wyczerpanie, odwodnienie, szarpanina, drżenie, ciężar na piersi, majaczenie, ból w klatce piersiowej, jeszcze większy ból głowy; to było najgorsze życie, jakiego mogła doświadczyć, a jednak żyła, bo dokładnie tego chciała — chciała żyć.

Podniesienie się z łóżka wydawało się trudne, niemal niemożliwe, lecz Nora wiedziała, że musi stanąć prosto.

Gdy jakoś jej się to udało, od razu chwyciła swój telefon, okazał się jednak tak ciężki i śliski, że nie zdołała go utrzymać w dłoni i spadł na podłogę, znikając jej z oczu.

— Pomocy — wychrypiała i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.

Miała wrażenie, że korytarz się przechyła, jakby przebywała na statku podczas sztormu. Dotarła jednak do drzwi wyjściowych, nie tracąc przytomności, zdjęła łańcuch zabezpieczający i z wielkim trudem zdołała otworzyć drzwi.

— Pomocy, proszę.

Prawie nie zauważyła, że nadal pada deszcz, kiedy wyszła w poplamionej wymiocinami piżamie. Przekroczyła próg, na którym nieco ponad dobę wcześniej stał Ash i powiadamiał ją o śmierci Woltera.

W pobliżu nie było nikogo.

Nikogo w zasięgu wzroku. Dlatego ruszyła w stronę domu pana Banerjee. Po serii potknięć i zawrotów głowy zdołała zadzwonić do jego drzwi.

Za kwadratową szybką pojawiło się światło.

Drzwi się otworzyły.

Chociaż mężczyzna był bez okularów, zmieszał się, może z powodu jej stanu, może z powodu wizyty o tak późnej porze.

— Bardzo przepraszam, panie Banerjee. Zrobiłam coś bardzo głupiego. Może mógłby pan wezwać karetkę...

— O mój Boże. Ale co się, u licha, stało?

— Proszę...

— Tak. Już dzwonię. Natychmiast...

00:03:48

I właśnie wtedy Nora pozwoliła sobie na słabość i upadła, do przodu, bardzo szybko, prosto na wycieraczkę pana Banerjee.

*Niebo ciemnieje
Czerń ponad błękitem
A mimo to gwiazdy wciąż mają odwagę
Lśnić dla ciebie*

Po drugiej stronie rozpacz

„Życie — napisał kiedyś Sartre — zaczyna się po drugiej stronie rozpacz”.

Deszcz już nie padał.

Nora znajdowała się w pomieszczeniu i siedziała w szpitalnym łóżku. Położono ją na oddziale, już coś zjadła i czuła się znacznie lepiej. Po badaniu medycznym lekarze byli z jej stanu zadowoleni. Tkliwość brzucha nie była ponoć niczym niespodziewanym. Nora próbowała zaimponować lekarzowi, przekazując mu informacje, które otrzymała od Asha, o tym, że nabłonek żołądka odnawia się co kilka dni.

Potem przyszła pielęgniarka, usiadła na jej łóżku z podkładką do pisania i zadała Norze szereg pytań dotyczących kondycji jej umysłu. Nora postanowiła zachować swoje przeżycia z Biblioteki o Północy dla siebie, bo pomyślała, że taka opowieść nie wyglądałaby dobrze w formularzu oceny psychiatrycznej. Była przekonana, że mało znane fakty dotyczące teorii wieloświatów prawdopodobnie jeszcze nie zostały włączone w plany opieki medycznej Narodowego Funduszu Zdrowia.

Rozmowa trwała godzinę. Pytania obejmowały leki, śmierć matki Nory, Woltsa, utratę pracy, kłopoty finansowe i diagnozę w postaci depresji sytuacyjnej.

— Próbowałaś się wcześniej targnąć na życie? — zapytała pielęgniarka.

— Nie w tym życiu.

— A jak się teraz czujesz?

— Nie wiem. Trochę dziwnie. Ale już nie chcę umierać.

I pielęgniarka nabazgrała coś w formularzu.

Po jej odejściu Nora patrzyła przez okno na drzewa delikatnie poruszające się w popołudniowym wietrze i obserwowała odległą obwodnicę wokół Bedford, po której sunęły spowolnione godziną szczytu pojazdy. Poza

drzewami, ruchem ulicznym i mierną architekturą nie było tu nic, ale było tu też wszystko.

To było życie.

Nieco później Nora usunęła swoje samobójcze posty z mediów społecznościowych i — w chwili szczerzej sentymentalności — napisała coś innego. Zatyłowała post „To, czego się nauczyłam (Spisane przez nikogo, kto jest każdym)”.

To, czego się nauczyłam (Spisane przez nikogo, kto jest każdym)

Łatwo jest opłakiwać życie, które nam się nie przytrafiło. Łatwo żałować, że nie rozwinęliśmy niektórych talentów, że nie przyjęliśmy pewnych propozycji. Łatwo żałować, że nie pracowaliśmy intensywniej, nie kochaliśmy uważniej, nie myśleliśmy o finansach w sposób bardziej przenikliwy, nie staliśmy się popularniejsi, nie graliśmy w zespole, nie poleciliśmy do Australii, nie zaakceptowaliśmy zaproszenia na kawę, nie uprawialiśmy częściej cholernej jogi...

Nietrudno żałować przyjaźni, których nie zawarliśmy, pracy, której nie wykonywaliśmy, ludzi, których nie poślubiliśmy, dzieci, których nie mieliśmy. Nietrudno jest widzieć siebie na tle innych ludzi i żałować, że nie jesteśmy tymi wszystkimi innymi kalejdoskopowymi wersjami nas samych, takimi, jakimi chcielibyśmy być. Nietrudno żałować i żałować w nieskończoność, aż wypełni się nasz czas.

Prawdziwym problemem nie jest jednak życie, którego nie przeżyliśmy. Problemem jest sam żal. To on sprawia, że wędniemy, usychamy i czujemy się jak najgorszy wróg samych siebie i innych osób.

Nie potrafimy powiedzieć, czy któraś z tych innych wersji byłaby lepsza albo gorsza. To prawda, te wcielenia potencjalnie istnieją, ale my też się rozwijamy i musimy się skupić na własnym rozwoju.

Nie możemy oczywiście odwiedzić każdego miejsca, poznać każdej osoby ani wykonywać każdego zawodu, lecz większość emocji, których doświadczylibyśmy w każdym potencjalnym życiu, wciąż jest dla nas dostępna. Nie musimy grać w każdym meczu, aby wiedzieć, co czuje zwycięzca. Chcąc zrozumieć muzykę, nie musimy usłyszeć każdego utworu muzycznego na świecie. Nie musimy skosztować każdej odmiany winogron z każdej winnicy, aby poznać przyjemność, jaką daje wino. Miłość i śmiech, strach i ból to doznania uniwersalne.

Trzeba tylko zamknąć oczy i rozkoszować się smakiem stojącego przed nami napoju albo wsłuchać się w odtwarzaną piosenkę. Żyjemy tak totalnie i kompletnie, jak żylibyśmy w każdym innym życiu, i mamy dostęp do tego samego spektrum emocjonalnego.

Trzeba być tylko jedną osobą.

Trzeba czuć tylko jedno istnienie.

Nie musimy zrobić wszystkiego, aby „być wszystkim”, ponieważ każde z nas już i tak jest istotą nieskończoną. Póki żyjemy, zawsze mamy przed sobą przyszłość pełną różnorodnych możliwości.

Więc bądźmy mili dla ludzi z naszej własnej egzystencji. Od czasu do czasu podnieśmy głowy i spójrzmy sponad miejsca, w którym się znajdujemy, ponieważ gdziekolwiek stoimy, zawsze nad nami jest wieczne niebo.

Wczoraj uważałam, że nie mam przed sobą przyszłości i że nie zdołam zaakceptować mojego życia takim, jakim jest. A jednak dzisiaj to samo pokręcone życie wydaje mi się pełne nadziei. Pełne potencjału.

Mam wrażenie, że to, co niemożliwe, zdarza się poprzez życie.

Czy mój dalszy los będzie cudownie wolny od bólu, rozpacz, żalu, zawodów miłosnych, ciężkich doświadczeń, samotności, depresji? Nie.

Ale czy chcę żyć?

Tak. Tak!

Po tysiąc razy tak.

Życie kontra nieporozumienia

Kilka minut później przyszedł do niej brat. W nocy odsłuchał nagranie na poczcie głosowej, które mu zostawiła, i w odpowiedzi siedem minut po północy wysłał jej esemesa o treści: „W porządku, siostra?”. Potem, gdy skontaktowano się z nim ze szpitala, złapał pierwszy pociąg z Londynu. Podczas oczekiwania na stacji Saint Pancras kupił dla niej najnowszy numer magazynu „National Geographic”.

— Kiedyś go uwielbiałaś — powiedział, kładąc czasopismo obok szpitalnego łóżka.

— Nadal uwielbiam.

Dobrze było zobaczyć Joego. Te same gęste brwi i niepewny uśmiech. Podszedł trochę skrzepowany, z nisko pochyloną głową, a włosy miał dłuższe niż w swoich dwóch ostatnich wcieleniach, w których go widziała.

— Wybacz, że ostatnio trochę się odseparowałem — bąknął. — Nie chodziło o to, o czym ci mówił Ravi. Już wcale nie myślę o The Labyrinths. Mam po prostu za sobą dziwny okres. Po śmierci mamy spotykałem się z tantym facetem, strasznie brzydko się rozstaliśmy i nie chciałem o tym gadać ani z tobą, ani z nikim. Chciałem tylko pić. I piłem. Za dużo. To był prawdziwy problem. Ale poszukałem pomocy. I od tygodni nie piję. Chodzę teraz na siłownię. Ostro trenuję.

— Ojej, Joe, mój biedaku. Przykro mi z powodu zerwania. I wszystkiego innego.

— Tylko ciebie mam, siostrzyczko — jęknął nieco łamiącym się głosem. — Wiem, że cię nie doceniałem. Wiem, że gdy dorastaliśmy, nie zawsze byłem najlepszym bratem. Ale miałem własne kłopoty, rozumiesz. Przed ojcem udawałem chojraka. Ukrywałem swoją orientację. Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe, ale dla mnie także nie było. Byłaś we wszystkim taka dobra.

Szkoła, pływanie, muzyka. Nie potrafiłem z tobą konkurować... Poza tym, tato stale mi się przyglądał i usiłowałem dopasować się do jego wizji faceta. — Westchnął. — To takie dziwne. Prawdopodobnie każde z nas pamięta ten okres inaczej. Ale nie zostawiaj mnie, dobrze? Odejście z zespołu to jedno. Ale nie odchodź z... życia. Nie poradziłbym sobie z tym.

— Nie odejdę, jeśli ty nie odejdiesz — wydukała.

— Zaufaj mi, nigdzie się nie wybieram.

Pomyślała o smutku, który ją ogarnął w São Paulo na wieść, że Joe umarł z powodu przedawkowania, i poprosiła, żeby ją przytulił, a gdy to zrobił, delikatnie, poczuła bijące od niego ciepło życia.

— Dzięki, że próbowałeś wskoczyć za mną do rzeki — powiedziała.

— Co?

— Zawsze myślałam, że nie próbowałeś. Ale teraz wiem, że tak. Odciągnęli cię. Dziękuję.

Nagle zrozumiał, o czym ona mówi. I chyba się zastanowił, skąd to wiedziała, skoro wtedy płynęła tyłem do nich.

— Och, siostrzyczko. Bardzo cię kocham. Byliśmy durnymi dzieciakami.

*

Joe wyszedł na godzinkę. Wziął klucze od właściciela jej mieszkania i przywiózł Norze trochę ubrań i telefon.

Zobaczyła, że Izzy napisała wiadomość: „Wybacz, że w nocy nie odpisałam. Chciałabym podyskutować! Teza, synteza, antyteza. Wszystkie etapy. Jak się masz, kochana? Och, i zgadnij, co? Myślę o powrocie do Wielkiej Brytanii w czerwcu. Na dobre! Tęsknię za Tobą, przyjaciółko. Wysłałam ci też mnóstwo zdjęć z humbakiem. xxx”.

Nora wydała z siebie cichy odgłos mimowolnej radości.

Odpisała. Pomyślała, jakie to interesujące, że życie czasami po prostu daje nam zupełnie nową perspektywę, a później czeka tak długo, aż ją zobaczymy.

*

Weszła na stronę Międzynarodowego Instytutu Badań Polarnych (IPRI) na Facebooku. Było tam zdjęcie kobiety, z którą dzieliła kabinę (Ingrid stała wraz z kierownikiem terenowym Peterem i za pomocą specjalnego cienkiego przyrządu pomiarowego ustalała grubość pokrywy lodu morskiego), oraz link do artykułu zatytułowanego: *Badanie IPRI potwierdza, że w przypadku regionu arktycznego ostatnia dekada była najcieplejszą w historii*. Nora udostępniła ten link. I opublikowała komentarz: „Kontynuujcie swoją wspaniałą pracę!”. Zdecydowała też, że kiedy zarobi trochę pieniędzy, przekaże na ten cel darowiznę.

*

Lekarze stwierdzili, że Nora może wrócić do domu. Joe zamówił ubera. Kiedy wyjeżdżali z parkingu, zobaczyła, jak do szpitala wjeżdża Ash. Pewnie na nocny dyżur. W tym jej życiu jeździł innym samochodem. Nie zobaczył jej, chociaż się uśmiechała, i miała nadzieję, że jest szczęśliwy. Miała też nadzieję, że czekają go jedynie łatwe godziny w pracy, na przykład nic poważniejszego poza wycinaniem pęcherzyków żółciowych. Pomyślała, że może pójdzie i pokibicuje mu w niedzielę podczas bedfordzkiego półmaratonu. Może zaprosi go na kawę.

Kto wie.

Na tylnym siedzeniu samochodu, siedzący obok niej brat powiedział, że szuka jakiejś dorywczej pracy jako muzyk sesyjny.

— Zastanawiam się, czy nie zostać inżynierem dźwięku — wyznał. — Taka myśl mi w każdym razie chodzi po głowie.

Norę ta informacja ucieszyła.

— Uważam, że powinieneś spróbować. Sądzę, że ci się spodoba. Nie wiem, dlaczego. Mam takie przeczucie.

— Dobra.

— Wiesz, nie jest to może tak efektowne zajęcie jak kariera międzynarodowej gwiazdy rocka, ale może się okazać... bezpieczniejsze. Może nawet będziesz szczęśliwszy.

Nie potrafiła mu tego wyjaśnić, więc nie wyglądał na całkowicie przekonanego. Ale uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Właściwie, jest takie studio w Hammersmith i tam szukają inżynierów dźwięku. Tylko pięć minut od mojego domu. Może się tam przejdę.

— W Hammersmith? Tak. To właśnie to.

— Co masz na myśli?

— Chodzi mi o to, że po prostu dobrze brzmi. Hammersmith, inżynier dźwięku. Będziesz szczęśliwy.

Zaśmiał się z jej słów.

— Dobra, Nora. W porządku. Pamiętasz siłownię, o której ci opowiadałem? Jest tuż obok studia.

— O, fajnie. Przychodzą tam mili faceci?

— Właściwie tak, jest jeden. Ma na imię Ewan. Lekarz. Trenuje ze mną ogólnorozwojówkę.

— Ewan! Tak!

— Że co?

— Powinieneś się z nim umówić.

Joe zaśmiał się, najwyraźniej uważając, że Nora sobie po prostu żartuje.

— Nawet nie jestem w stu procentach pewien, czy jest gejem.

— Jest! Jest gejem. Jest w stu procentach gejem. I interesuje się tobą, na sto procent. Doktor Ewan Langford. Zaproś go gdzieś. Musisz mi zaufać! To będzie najlepsza decyzja w całym twoim życiu...

Jej brat się śmiał, a tymczasem samochód podjechał pod budynek numer 33A przy Bancroft Avenue. Joe zapłacił, ponieważ Nora wciąż nie miała przy sobie ani pieniędzy, ani portfela.

Pan Banerjee siedział przy oknie i czytał.

Na ulicy Nora zobaczyła, jak jej brat wpatruje się ze zdziwieniem w ekran

swojego telefonu.

— Co się dzieje, Joe?

Ledwo mógł mówić.

— Langford...

— Co takiego?

— Doktor Ewan Langford. Nawet nie wiedziałem, że tak się nazywa, ale to on...

Nora wzruszyła ramionami.

— Siostrzana intuicja. Ty też go dodaj. We wszystkich mediach społecznościowych. Wyślij mu wiadomość prywatną. Zrób wszystko, co trzeba. No, oczywiście bez żadnych nieproszonych nagich fotek. Ale on jest tym jedynym, mówię ci. Jest tym jedynym.

— Ale skąd wiedziałaś, że to będzie on?

Wzięła brata pod ramię, wiedząc, że nie istnieje wyjaśnienie, które mogłaby mu podać.

— Posłuchaj mnie, Joe. — Przypomniała sobie antyfilozofię pani Elm w Bibliotece o Północy. — Nie trzeba rozumieć życia. Trzeba nim żyć.

Gdy brat skierował się w stronę drzwi przy Bancroft Avenue 33A, Nora przyjrzała się wszystkim okolicznym domom szeregowym, wszystkim latarniom i drzewom pod niebem, i poczuła, jak jej płuca wypełniają się tlenem w zachwycie, że jednak przeżyła, że jest w tym cudownym miejscu i że mu się przygląda, jakby widziała je po raz pierwszy. Może w jednym z tych domów znajdował się inny podróżnik, ktoś w trzeciej, siedemnastej lub ostatecznej wersji siebie. Będzie ich wypatrywała.

Spojrzała na dom pod numerem 31.

Za oknem twarz pana Banerjee powoli się rozjaśniła, prawdopodobnie gdy starszy pan zrozumiał, że Nora jest cała i zdrowa. Uśmiechnął się i bezgłośnie wypowiedział słowo „dziękuję”, jak gdyby powinien być wdzięczny po prostu za to, że ona żyje. Postanowiła, że jutro wysupła trochę pieniędzy, pójdzie do

centrum ogrodniczego i kupi mu rośliny do jego kwietnika. Może naparstnice. Była pewna, że sąsiad je lubi.

— Nie — zawołała w odpowiedzi i posłała mu przyjacielskiego całusa. — To ja panu dziękuję, panie Banerjee! Dziękuję panu za wszystko!

Uśmiechnął się szerzej, a jego oczy były tak pełne dobroci i szczerego zainteresowania, że Nora przypomniała sobie, co to znaczy dbać o kogoś i się o niego troszczyć. Weszła za bratem do swojego mieszkania, zamierzając się zabrać za sprzątanie, po drodze zerkając na kępy irysów w ogrodzie pana Banerjee. Kwiaty, których wcześniej nie ceniła, teraz hipnotyzowały ją najwykwintniejszym fioletem, jaki kiedykolwiek widziała. Jakby nie były tylko kolorowymi płatkami, lecz fragmentami opowieści, nutami we wspaniałej kwiatowej melodii, równie potężnymi jak utwory Chopina, milcząco przekazującymi zapierający dech w piersiach majestat życia.

Wulkan

Niesamowicie jest odkryć, że miejsce, do którego chcieliśmy uciec, jest dokładnie tym samym, z którego uciekliśmy. Że więzieniem nie było samo miejsce, lecz nasze podejście do niego. A najbardziej niezwykłym ustaleniem, jakiego dokonała Nora, było stwierdzenie, że spośród wszystkich, skrajnie rozbieżnych wariantów samej siebie, które przetestowała, najbardziej radykalnego poczucia zmiany doświadczyła w pierwotnym życiu. Tym, od którego zaczęła i które chciała zakończyć.

Ta największa i najgłębsza zmiana nie dokonała się dlatego, że Nora się wzbogaciła, odniosła większy sukces lub zdobyła sławę, ani dlatego, że znalazła się wśród lodowców i niedźwiedzi polarnych Svalbardu. Nie, obudziła się dokładnie w tym samym łóżku, w tym samym okropnym, wilgotnym mieszkaniu ze zniszczoną kanapą, jedną juką oraz małymi kaktusikami w doniczkach, regałami i niewypróbowanymi podręcznikami do jogi.

Były tu to samo elektryczne pianino i książki. Ta sama smutna nieobecność kota i brak pracy. Ta sama niewiedza, co zrobić z dalszą częścią życia.

Niemniej jednak wszystko było inaczej.

A było inaczej, ponieważ Nora nie czuła już, że musi się dopasować do marzeń innych ludzi. Nie uważała, że spełnienie znajdzie jedynie jako wyimaginowana idealna córka, siostra, partnerka, żona, matka, pracownik czy w jakiegokolwiek innej roli niż rola osoby skupionej na własnych celach, człowieka, który odpowiada jedynie przed sobą.

I było inaczej, ponieważ Nora żyła, chociaż już prawie umarła. I ponieważ to był jej wybór. Wybrała życie. Ponieważ dotknęła jego bezkresu i wewnątrz tego bezkresu dostrzegła nie tylko rozliczne możliwości, lecz także potencjał uczuć. Różne gamy i różne melodie. Było w niej coś więcej niż tylko ciągła

linia stanów depresyjnych, od łagodnych po umiarkowane, przyprawionych sporadycznymi zawirowaniami rozpaczy. I to dawało jej nadzieję, a nawet budziło czułościową wdzięczność za to, że Nora może tu być i że może oglądać rozświetlone niebo i mierne komedie z Ryanem Baileym, a także z przyjemnością słuchać muzyki, rozmów i bicia własnego serca.

Lecz przede wszystkim było inaczej, ponieważ ta ciężka i bolesna *Księga żalów* została skutecznie obrócona w proch.

*

— Cześć, Noro. To ja, Doreen.

Nora ucieszyła się z jej telefonu, ponieważ akurat starała się napisać zgrabne ogłoszenie reklamujące naukę gry na pianinie.

— Och Doreen! Chciałabym cię przeprosić za to, że tamtego dnia nie odbyła się lekcja...

— Było, minęło.

— Wiesz, nie będę szczegółowo przedstawiać wszystkich powodów — wyrecytowała jednym tchem Nora. — Ale powiem tylko, że już nigdy więcej taka sytuacja nie będzie miała miejsca. Obiecuję, że w przyszłości, jeśli tylko zechcesz nadal posyłać do mnie Leo na lekcje gry, będę na miejscu. Nie zawiodę was. No i oczywiście zrozumiem, jeżeli powiesz, iż nie chcesz, żebym go dłużej uczyła. Chcę jednak, abyś wiedziała, że Leo to wyjątkowy talent. Chłopak ma dryg do gry na fortepianie. Mógłby zostać zawodowym pianistą. Studiować w Royal College of Music. Jeśli nie będzie chodził na lekcje do mnie, dobrze by było, żeby kontynuował naukę... gdziekolwiek. To tyle.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Nora słyszała tylko oddech rozmówczyni. W końcu Doreen się odezwała:

— Noro, kochana, wszystko w porządku, nie musisz wygłaszać tych... monologów. Prawda jest taka, że byliśmy wczoraj w mieście, we dwoje. Kupowałam Leo jakiś płyn do mycia twarzy, a on nagle mówi: „Będę nadal

grać na fortepianie, prawda?”. Powiedział to właśnie tam, w drogerii Boots. Możemy w przyszłym tygodniu rozpocząć od miejsca, w którym przerwaliśmy?

— Poważnie? To niesamowite. Tak, oczywiście. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

A kiedy Nora się rozłączyła, usiadła przy pianinie i zagrała coś, co właśnie wymyśliła. Spodobała jej się melodia, którą grała, i przyrzekła sobie, że ją zapamięta i dopisze do niej słowa. Może uda jej się skomponować fajną piosenkę, którą będzie mogła umieścić w Internecie. Może napisze więcej piosenek. A może zachowa ją na później, a bardziej się skupi na napisaniu pracy magisterskiej. A może zrobi i jedno, i drugie. Kto wie? W trakcie gry podniosła głowę i zobaczyła, że czasopismo — to, które kupił jej Joe — leży otwarte na zdjęciu Krakatoa, wulkanu w Indonezji.

Paradoks wulkanów polega na tym, że są symbolami zniszczenia, lecz także symbolami życia. Gdy spływająca lava spowolni i ostygnie, krzepnie i następnie z czasem się rozkłada, aż stanie się glebą — bogatą i żyzną.

Nora uznała, że nie jest czarną dziurą. Była wulkanem! I — tak jak wulkany — nie mogła od samej siebie uciec. Musiała pozostać na miejscu i zająć się sobą.

Coś stworzyć.

Jak to się kończy

Pani Elm wyglądała na znacznie starszą niż w Bibliotece o Północy. Jej niegdyś siwe włosy były teraz białe i cienkie, twarz miała zmęczoną i pomarszczoną jak stara mapa, a skórę dłoni w plamach, jednak w szachy grała z równą biegłością jak wtedy, przed wieloma laty, w bibliotece szkoły Hazeldene.

Dom opieki Oak Leaf miał własną szachownicę, choć trzeba ją było odkurzyć.

— Nikt tu nie gra — powiadomiła kobieta Norę. — Tak się cieszę, że przyszłaś mnie odwiedzić. Co za niespodzianka.

— Cóż, mogę przychodzić codziennie, jeśli pani chce, pani Elm.

— Louise, mów mi, proszę, Louise. Nie pracujesz?

Nora się uśmiechnęła. Mimo iż minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny, odkąd poprosiła Neila o wystawienie jej ogłoszenia w Teorii Strun, już została zasypana prośbami osób, które chciały się uczyć grać.

— Udzielam lekcji gry na fortepianie. Co drugi wtorek pomagam też w schronisku dla bezdomnych. Ale zawsze znajdę godzinkę... I, szczerze mówiąc, też nie mam z kim pograć w szachy.

Na twarzy pani Elm pojawił się znużony uśmiech.

— Cóż, byłoby cudownie — podsumowała, po czym zapatrzyła się w małe okno, a Nora podążyła za jej wzrokiem.

Zobaczyła mężczyznę z psem. Rozpoznała ich. To był Dylan, który wyprowadzał na spacer bullmastiffkę Sally. Nerwową suczkę z oparzeniami po papierosach, której Nora od razu przypadła do serca. Bezwiednie się teraz zastanowiła, czy właściciel jej mieszkania pozwoliłby jej trzymać psa. Na kota się przecież zgodził. Ale z tym pytaniem będzie musiała poczekać do czasu, aż ureguluje zaległości w czynszu.

— Bywa samotny — wyznała pani Elm. — Pobyt tutaj. Po prostu siedzę. Mam wrażenie, jakby gra się skończyła. Jakby na szachownicy został osamotniony król. Widzisz, nie wiem, jaką mnie zapamiętałaś, ale poza szkołą nie zawsze byłam... — zawahała się. — Zawiodłam kilka osób. Nie zawsze byłam... przystępna. Podjęłam parę decyzji, których żałuję. Byłam złą żoną. Nie zawsze też dobrą matką. Niektórzy mnie porzucili i nawet nie mogę ich za to winić.

— Cóż, dla mnie była pani miła... Louise. Kiedy miałam w szkole trudności, zawsze... wiedziałaś, co mi powiedzieć.

Bibliotekarka uspokoiła oddech.

— Dziękuję ci, Noro.

— I nie jesteś już sama na planszy. Przyszedł pionek i do ciebie dołączył.

— Nigdy nie byłaś pionkiem!

Kobieta wykonała ruch, stawiając skoczka w silnej pozycji. W kącikach jej ust pojawił się lekki uśmiech.

— Wygrasz tę partię — zauważyła Nora.

Oczy pani Elm rozbłysły w nagłym ożywieniu.

— No cóż, na tym polega urok, czyż nie? Naprawdę nigdy nie wiadomo, jakim wynikiem partia się zakończy.

A Nora uśmiechnęła się i, wpatrując się we wszystkie bierki i figury, którymi wciąż dysponowała, rozmyślała nad swoim następnym ruchem.

-
- 1 Zastrzelonego w roku rapera Tupaca ożywiono na jeden koncert za pomocą hologramu. (Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki.)
 - 2 Hermann Rorschach — szwajcarski psychiatra i psychoanalityk. Autor testu plam atramentowych (testu osobowości) wykorzystywanego jako narzędzie psychologiczne w diagnostyce.
 - 3 *Bonne chance* (fr.) — Powodzenia.
 - 4 Cytaty z *Walden czyli życie w lesie* Henry’ego Davida Thoreau w tłumaczeniu Haliny Ciepłińskiej.
 - 5 W rzeczywistości chodzi o Robina Dunbara.
 - 6 *Domesday Book* (1086 r.) — rodzaj katastru gruntowego, napisany po łacinie i sporządzony na żądanie Wilhelma Zdobywcy w podbitej przez niego Anglii.
 - 7 *Non. Ce n'est pas ça* (fr.) — Nie. Chodzi o coś więcej.
 - 8 *Vraiment* (fr.) — Naprawdę.
 - 9 *En fait* (fr.) — W rzeczywistości.
 - 10 *Exactement* (fr.) — Dokładnie tak.
 - 11 Nawiązanie do piosenki Boba Dylana *Don't Think Twice, It's All Right. You Can Go Your Own Way* (1962).
 - 12 *Despacio* (hiszp.) — spokojnie, powoli.
 - 13 *Un poco* (hiszp.) — trochę.
 - 14 *Mon amie* (fr.) — moja przyjaciółko.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Rozmowa o deszczu

Dziewiętnaście lat później

Mężczyzna przy drzwiach

Teoria Strun

Życie to cierpienie

Drzwi

Jak być czarną dziurą

Antymateria

00:00:00

Bibliotekarka

Biblioteka o Północy

Ruchome półki

Księga żalów

Nadmiar żalu

Każde życie zaczyna się teraz

Trzy Podkowy

Szachownica

Jedynym sposobem na naukę jest życie

Ogień

Akwarium

Życie pełne sukcesów

Herbata miętowa

Drzewo, które jest naszym życiem

Błąd systemu

Svalbard

Hugo Lefèvre

Chodzenie w kółko

Frustracja wynikająca z niemożliwości znalezienia biblioteki wtedy, gdy jej naprawdę potrzebujemy

Wyspa

Wieczna zmarzlina

Jedna noc w Longyearbyen

Oczekiwanie

Życie, śmierć i funkcja fal kwantowych

Jeśli coś ma mi się przydarzyć, chcę tam być

Bóg i inni bibliotekarze

Sława

Droga Mleczna

Dzika i wolna

Ryan Bailey

Srebrna tacka z miodowymi ciasteczkami

Podcast pełen rewelacji

Skowyt

Miłość i ból

Ekwidystanta (linia równoodległa)

Marzenia innych

Dobre życie

Po co chcieć innego wszechświata, skoro w tym są psy?

Kolacja z Dylanem

Saloon ostatniej szansy

Winnica Buena Vista

Wiele wcieleń Nory Seed

Zagubiona w bibliotece

Perła w muszli

Gra

Idealne życie

Duchowe poszukiwanie głębszego połączenia z wszechświatem

Hammersmith

Trójkołowy rowerek

Za późno

Incydent z policją

Nowy sposób postrzegania

Kwiatki mają wodę

Nigdzie na ziemi

Nie waz się poddawać, Noro Seed!

Przebudzenie

Po drugiej stronie rozpaczy

To, czego się nauczyłam (Spisane przez nikogo, kto jest każdym)

Życie kontra nieporozumienia

Wulkan

Jak to się kończy